A.B. Inc. W. Zosta

Gramy w amerykańskiego pokera, bez żadnych oporów godząc się na haniebne reguły gry.

Selekcja - str. 5

ROMAN KUBIAK

■ Często zatrzymujemy rozum... — str. 4

■ Biznes na śmieciach — str. 6

■ Komu salutowali milicjanci — str. 12

■ Z pamiętnika statysty — str. 14

■ Adiutant Pana Marszałka — str. 15

■ „Dzieci Arbatu" — str. 10

■ Losy autora listu otwartego do Józefa Stalina — str. 13

■ Nie lubimy pracować — str. 3

■ Tysiąc portretów ziemi — str. 8

■ Za bramą bez straży! — str. 16

■ Konkurs dla fotoamatorów — str. 14

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 31 (1531) ROK XXX 1 SIERPNIA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Foto: Witold Werner

To była tylko pierwsza runda. Czekała nas jeszcze druga.

Pistol

REMIGIUSZ CAŁOPAŁEK

1.

Pistola widziałem po raz pierwszy w akcji zimą osiemdziesiątego trzeciego roku. Jak napisał kiedyś znany łódzki autor — dżudo jest dla słabych, którzy walczą z jeszcze słabszymi, boks służy spragnionym sławy i zaszczytów przeciętniakom, a tu trzeba mieć serce do walki ulicznej. I Pistol miał serce do walki ulicznej, właśnie w walce ulicznej widziałem go zimą osiemdziesiątego trzeciego roku. Ale muszę od razu powiedzieć, że nie podoba mi się walka uliczna i w ogóle, jako sport, i w szczególnych wypadkach, kiedy chodzi rzekomo o szlachetne racje.

Amerykański film przedstawia walkę uliczną jako porywający fajerwerk — duży i gruby rąbie z całej siły w łeb małego i chudego, a ten wstaje i podejmuje bój, chociaż w rzeczywistości po takim uderzeniu już by go wieźli na cmentarz. Skoki kamery i choreografia sprawiają, że jakoś trawi się tę durną błazenadę, w życiu jednak wygląda to zupełnie inaczej — nie ma żadnych pięknych ciosów i efektownych uników; krew tylko leje się obficie, pękają żebra i gnaty.

Pistol zimą osiemdziesiątego trzeciego wdał się w szamotaninę pod „Savoyem", w tym przejściu, które prowadzi z Moniuszki na Traugutta. Było to ohydne widowisko, a brało w nim udział pięciu czy sześciu lekko pijanych mężczyzn, bo przecież ciężko pijany mężczyzna wbrew obiegowej opinii jest niegroźny i poradzi mu nawet kobieta.

Kiedy już nakładali sobie po mordzie i porwali na sobie palta, zaczęli się nagle godzić, poklepywać i snuć plany na resztę wieczoru, co było wiarygodnym sygnałem, że wcześniej czy później bójka rozgorzeje na nowo.

Jeden umorusany jak świnia, dźwignął się z błota i ruszył z drugim po pół litra na Włókienniczą, która, jako wszyscy wiemy, jest uliczką spokojną i miłą. Ten pierwszy był znanym śródmiejskim cynkiem, którego przed śmiercią każdy łodzianin musiał widzieć chociaż raz — wysoki, chudy, zgarbiony, mówiący basem tak ochrypłym, że głos Armstronga wydawał się przy nim śpiewem słowika. Drugi to był właśnie Pistol, czterdziestoletni osobnik ubrany nie bez pewnej elegancji; też wysoki, masywny ale bez tłuszczu — ćwiczył najwyraźniej w domu ze sztangą i niechybnie robił pompki.

Jeszcze przed chwilą obydwaj w przeciwnych drużynach i walczyli ze sobą, teraz łączyło ich krótkotrwa-

7

Idą żniwa

Rys. Sławomir Łuczyński

Bez zasadniczego rozliczenia się z przeszłością nie można mieć nadziei na uczciwą przyszłość.

Jak Fiodor Raskolnikow został „wrogiem ludu"

Bohater Wielkiego Października już w sierpniu 1938 roku oskarżył Józefa Stalina o liczne zbrodnie.

„OGONIOK" opublikował artykuł Wasilija Polikarpowa „Fiodor Raskolnikow". Postać ta — należąca do leninowskiego pokolenia bolszewików — jest stosunkowo mało znana.

Fiodor Raskolnikow urodził się w 1892 roku. Już w młodości zaangażował się w ruch rewolucyjny i pierwszy okres jego świadomego życia to nieustanna walka podczas rewolucji i w obronie rewolucji. Kierownictwo partii powierza mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Znał go osobiście Lenin i wielokrotnie zlecał mu różne ważne misje.

„W czerwcu 1920 r. Fiodor Raskolnikow — pisze Wasilij Polikarpow — *został mianowany dowódcą Floty Bałtyckiej. Podczas dyskusji o związkach zawodowych przez krótki czas podzielał poglądy opozycji. Zmienił je jednak i później przez całe życie konsekwentnie walczył o leninowską linię partii.*

W latach 1921—1923 Fiodor Raskolnikow był pełnomocnym przedstawicielem RFSRR w Afganistanie. Wykazując się nietuzinkowymi zdolnościami dyplomatycznymi zrobił bardzo wiele dla ustanowienia przyjacielskich stosunków między Krajem Rad i Afganistanem. Jako pierwszy z dyplomatów radzieckich został odznaczony orderem innego państwa. Po 1924 roku Raskolnikow był redaktorem naczelnym pism „MOŁODAJA GWARDIA" i „KRASNAJA NOW" oraz wydawnictwa „MOSKOWSKIJ RABOCZIJ", przewodniczącym głównego zarządu kontroli widowisk i repertuaru Ludowego Komisariatu Oświaty, członkiem kolegium tegoż komisariatu i naczelnikiem Głównego Zarządu do spraw sztuki, a w latach 1930—38 pełnomocnym przedstawicielem ZSRR w Estonii, Danii i Bułgarii".

Fiodor Raskolnikow był znany jako utalentowany literat, autor prac publicystycznych, książek i sztuk teatralnych.

JAK UCZYNIONO Z NIEGO „WROGA LUDU"

W latach czterdziestych były szef Kancelarii Rady Komisarzy Ludowych W. Boncz-Brujewicz napisał wspomnienia „Władimir Iljicz Lenin i flota wojenna". Nie zostały one wydane. Po 20 latach ich fragmenty opublikował „WOJENNO-ISTORICZESKIJ ŻURNAŁ". Oto jak opowiadał W. Boncz-Brujewicz o niektórych znanych mu epizodach z czasów rewolucji i wojny domowej.

„Wieczorem 27 października (9 listopada) 1917 roku Władimir Iljicz Lenin polecił jednemu z oficerów marynarki zorganizowanie obrony Piotrogrodu siłami Floty Bałtyckiej.

Władimir Iljicz wezwał do siebie, znajdującego się w tym czasie w Kronsztadzie, osobiście mu znanego miczmana marynarki wojennej i poinstruował go szczegółowo, co należy zrobić w Noworosyjsku, zażądał od niego, by był nieugięty i wykonał wszystko w imieniu rządu. Władimir Iljicz wręczył mu specjalne pismo polecające, które ten powinien był odczytać dowództwu i marynarzom.

Odkomenderowany oficer marynarki wojennej wspaniale wykonał dane mu przez rząd i osobiście przez Władimira Iljicza polecenie. 18 czerwca 1918 roku Flota Czarnomorska została zatopiona w Noworosyjsku..."

13

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stałe współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki Jerzy Panasewicz, Karol J Strviski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź ul Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2285 H-5

Przegląd prasy

Polacy bardzo dobrze pracują w innych krajach. Sprawdza się to również w przypadku naszych sportowców. Polska należy do największych eksporterów piłkarzy. Aktualnie 130 zawodników gra w obcych klubach. O ich zaletach i wadach pisze w sobotnio-niedzielnym „ŻYCIU WARSZAWY" (nr 171) Marek Hilgier.

„Zachodnie kluby chętnie widzą w swych szeregach naszych futbolistów. Twierdzą, że cechuje ich zdyscyplinowanie i pracowitość w przeciwieństwie do piłkarzy z Jugosławii czy Grecji. Rozkapryszone gwiazdy naszego ligowego podwórka w swoich nowych drużynach chcąc nie chcąc muszą się przykładać na treningach. Znany ze swego dyskotekowo-lokalowego trybu życia Mirosław Okoński po przejściu do hamburskiego SV stał się niekwestionowaną gwiazdą Bundesligi. Obecnie jego wartość jest szacowana na ok. 10 mln marek (sprzedaliśmy go za 420 tysięcy). Biega, dryblуje i strzela jak szalony przez pełne dziewięćdziesiąt minut i niech nikt nie wierzy, że to sprawa tylko raptownego rozkwitu jego piłkarskiego talentu".

ŚWIETNIE SPISUJĄ SIĘ

także Kupcewicz, Miłoszewicz i Puszkarz. Nikt jednak z Polaków — poza Bońkiem i może w przyszłości Okońskim — nie zrobił wielkiej kariery za granicą. Po prostu reprezentują solidny poziom i dzięki temu ułatwiają start innym kolegom. Niektórzy protegują rodaków u swych pracodawców.

„Grający ongiś w belgijskim Lokeren Lubański ułatwił pierwsze kroki Grzegorzowi Lacie w profesjonalnym światku. Czołowy zespół francuskiej ekstraklasy Auxerre od wielu lat ma w swoich szeregach graczy polskich. Od nowego sezonu obok Zgutczyńskiego występować w nim będzie Matysik. W Bundeslidze Majewski przetarł szlaki Buncolowi i Wójcickiemu."

Na szczęście na boisku liczy się granie, a nie gadanie. W przeciwnym razie nasi piłkarze byliby z góry przegrani, ponieważ legitymują się kiepską lub żadną znajomością języków obcych. Kiedyś poważne kłopoty z angielskim miał Kazimierz Deyna w Manchesterze City, a teraz potyka się na niemieckim Mirosław Okoński.

Problemy językowe mają też aktorzy występujący w filmach zagranicznych. I w dodatku nie garną się do nauki. Opowiada o tym w wywiadzie dla „TYGODNIKA KULTURALNEGO" (nr 30) Daniel Olbrychski.

„Mamy na planie korepetytorkę od angielskiego i lekcje językowe z nią ogromnie przydają się przed każdą sceną. Ale nie zauważyłem, aby moi polscy koledzy pędzili ćwiczyć angielski, chociaż mocni w tej dziedzinie nie są. Byłem świadkiem, jak korepetytorka usłyszała od kierownika produkcji, że aktor X nie przyjdzie na lekcje, ponieważ jest tutejszą gwiazdą. Ona spytała wtedy ze zdziwieniem: To gwiazdy w Polsce tak się zachowują? Ano właśnie, tu jest subtelna różnica. Ponieważ gwiazda na Zachodzie jest gwiazdą, dlatego że umie więcej pracować niż inni. Umie i chce się czegoś nauczyć. Ja też nauczyłem się boksować, jeździć konno, grać na skrzypcach i dyrygować orkiestrą, kiedy było to potrzebne. Meryl Streep i Robert de Niro, i inni znani artyści robią wszystko. Oczywiście polski aktor powie w tym miejscu: dobrze, ale za jakie pieniądze?! Nie! Pies jest pogrzebany gdzie indziej. Ci wielcy chcieli robić wszystko, gdy jeszcze nie byli sławni i nie zarabiali prawie nic, bo wierzyli, że ktoś ich zauważy i potem będą zarabiali wielkie pieniądze. Sytuacja u nas jest zupełnie paranoiczna: polscy aktorzy są zdemoralizowani nie przez to, że dużo zarabiają (to nieprawda, bo zarabiają bardzo mało!), tylko że zarabiają równo".

Sytuacja ta krzywdzi najlepszych aktorów i nie stwarza motywacji do pracy słabszym. Na Zachodzie również sławni aktorzy solidnie pracują: nie spóźniają się i wciąż doskonalą swoje umiejętności.

CZY U NAS BĘDZIE LEPIEJ?

Czy zmienią się zasady postępowania ludzi? Czy jesteśmy zdolni do szybszego postępu? Nie wierzy w to publicysta Michał Misiorny wypowiadający się w ankiecie „KONTRASTÓW" (nr 7) na temat naszych marzeń i snów.

Przede wszystkim nie wierzy, żeby kiedykolwiek Polska była czysta i schludna. Taki obraz kraju zachował tylko z młodości spędzonej na kresach zachodnich. A teraz wszędzie jest tak samo: brud i niechlujstwo. Ludzie dbają jedynie o prywatne mieszkania, lecz nie o wygląd Polski. Dlatego żyjemy w kraju brudnym i szarym.

„Śmieszy ten brudny i szary kraj — czytamy — *marzy, że będzie drugą Japonią, że się to w dodatku samo zrobi, ta druga Japonia w Polsce. Dobrze, trafnie się domyślacie: ja nie bardzo lubię moich rodaków. Właśnie za to marzycielstwo bezsensowne, za to przekonanie, iż coś się nam należy, za te «wieczne pretensje», wypowiadane — co gorsza — tonem wielce agresywnym przez byle prostaka, mającego kuzyna lub szwagra na saksach. Marzyciele mają jeden argument: gdyby nie oni, dawno byśmy tę Japonię (albo, co najmniej Holandię) mieli u nas w Polsce. Nie mamy jednak, bo oni przeszkadzają. Oni nie dają. Kiedy czytałem doniesienie o napadzie na proboszcza, któremu skradziono kilka tysięcy w dewizach i kilkanaście milionów w podłych złotówkach, ujrzałem w kasetce plebana całą polską rzeczywistość: pazerne zagarnianie pod siebie i czekanie, żeby owi oni zadbali o całą resztę — czyli o prezencję i sprawność tej naszej biednej ojczyzny".*

Skąd wzięła się w Polsce prywatna pazerność połączona z publiczną niedorajdowatością? Michał Misiorny sądzi, że wszystko z powodu szybkiego awansu drobnego chłopa i mieszczucha do godności prawdziwych gospodarzy kraju. Innymi słowy: gubi nas chamstwo u władzy. Czytamy dalej:

„Co mu tam deptak i jasady miast, skoro własna stodoła pełna! Opisał to Bratny w którejś powieści: idzie jego bohater korytarzem wielkiego i ważnego gmachu i patrzy na tych, co teraz rządzą Polską — na ich prężne, przysadziste, krępe figurki, na ich płaskie i okrągłe gębusie, na te kartoflane noski i oczęta, jasne i chytre. Ale jest tak nie tylko w wielkich gmachach najwyższych władz, bo tak jest na każdym piętrze, w każdym urzędzie i urzędziku. Nie mieliśmy nigdy kultury miejskiej i przemysłowej, a i te resztki czy też zaczątki, jakie były, zostały zduszone przez masę z awansu. Ja zresztą ten awans chwalę, bo sprawiedliwy, ale też dobrze wiem, że nie ma co marzyć. Miną jeszcze dwa pokolenia, nim się ten nowy włodarz wydźwignie ponad swój egoizm i brak szerszej wyobraźni. A skoro wiem, to na co marzenia? Marzyć można ewentualnie, żeby Matka Boska to wszystko od jednego zamachu zmieniła — na lepsze, dojrzalsze i mądrzejsze... (...) Tymczasem dowiedziono jest historycznie, że Matka Boska jeżeli pomaga, to jedynie tym, co sami sobie pomóc potrafią — pracą"

W latach Polski Ludowej rzeczywiście nastąpił ogromny awans ludności chłopskiej. W latach 1946—1985 w miastach przybyło 14,4 mln obywateli, a liczba mieszkańców wsi zmalała o 0,7 mln. Obecnie w około 43 tys. wsi mieszka około 15 mln osób. Na łamach „WSI WSPÓŁCZESNEJ" (nr 6) Andrzej Stasiak alarmuje, że polska

WIEŚ WYLUDNIA SIĘ

„W najbliższych latach — pisze — *na większości obszarów Polski centralnej i wschodniej sytuacja demograficzna ulegnie dalszemu pogorszeniu. Wynika to z faktu wchodzenia w wiek produkcyjny mniej liczebnych roczników. Wpłynie to na liczbę zawieranych małżeństw. Dysproporcje między liczbą kobiet i mężczyzn wpłyną dodatkowo ograniczająco na stopę przyszłych urodzeń. Obniżenie się zaś liczby urodzeń (w niektórych gminach Polski wschodniej mamy już ujemny przyrost naturalny) to zapowiedź możliwości powstania obszarów całkowicie wyludnionych w pierwszych dziesięcioleciach XXI wieku".*

Szczególnie uciekają ze wsi do miast młode dziewczęta. Najwięcej brakuje ich w województwach tzw. ściany wschodniej. Pod koniec lat siedemdziesiątych w grupie wieku od 20 do 24 lat przypadało na 100 kobiet aż 144 mężczyzn w woj. białostockim oraz 131 w bialskopodlaskim. Powszechny jest tam problem żon dla rolników. W przyszłości zjawisko to może zachwiać podstawami indywidualnej gospodarki rolnej, która opiera się przecież na pracy rodziny.

W innym artykule Tadeusz Hunek stwierdza, że lata 1981—1986 są najdłuższym okresem w dziejach PRL, w którym rolnictwo odnotowało stały wzrost efektywności. Ale wciąż jeszcze wydajność pracy w tym sektorze jest trzykrotnie niższa niż w działach pozarolniczych, półtora raza niższa niż w rolnictwie krajów socjalistycznych, trzy razy niższa niż w rolnictwie Europy Zachodniej i aż trzynastokrotnie niższa niż w rolnictwie Stanów Zjednoczonych.

„Jeśli nasz kraj, naród — pisze autor — *nie stawi czoła problemom, jakie rodzi współczesny świat, możemy przegrać nie tylko los wsi i rolnictwa, ale los Polski i Polaków. Możemy stać się zdegradowanym, peryferyjnym (w centrum Europy!) krajem niezdolnym do rozwiązania podstawowych problemów bytu i rozwoju. Zabraknie wtedy satysfakcji z faktu bycia Polakiem".*

Najwyżej rozwinięte kraje, jak USA i Japonia, odchodzą już od modelu gospodarki i społeczeństwa ukształtowanego w półtorawieczu 1815—1965. Stopniowo powstaje

NOWY TYP SPOŁECZEŃSTWA

Będzie to system postindustrialny, poprzemysłowy. Istotę przejścia do kolejnej, wyższej fazy cywilizacji omawia w miesięczniku „PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 7—8) Dariusz Filar.

Po pierwsze — większość zatrudnionych skupiają usługi (w USA trzy czwarte, w Japonii dwie trzecie), a nie przemysł jak dotąd. Po drugie — maleje udział nisko wykwalifikowanych robotników i przewagę zdobywają wysoko wykwalifikowani pracownicy umysłowi. W ciągu ostatnich 15 lat liczba studentów na 10 tys. mieszkańców wzrosła z 174 do 207 w Japonii oraz z 272 do 348 w USA. Po trzecie — dominująca część dochodu narodowego powstaje w usługach, mniejsza w przemyśle i niewielka w rolnictwie. W USA proporcje są następujące: usługi — 64 proc., przemysł — 33 proc., rolnictwo — 3 proc. Po czwarte — zmniejsza się produkcja wielkoseryjna na rzecz wyrobów produkowanych w skróconych seriach. Po piąte — nowe formy organizacji pracy (np. grupy autonomiczne) wypierają ruchomą taśmę montażową. Po szóste — rzadszym zjawiskiem są procesy koncentracji i centralizacji, wracają małe firmy i przedsiębiorcy indywidualni. Po siódme — duże firmy tracą prymat w sferze postępu naukowo-technicznego.

Jeśli wymienione wyżej zjawiska porównamy z sytuacją w naszym kraju, to okaże się, że mamy zamrożenie strukturalne, stagnację bądź regres. Jesteśmy (dla przykładu) jednym z nielicznych krajów, który notuje relatywny spadek studiujących. Chcąc osiągnąć przyzwoity poziom europejski musielibyśmy prawie podwoić liczbę studentów.

NAJNOWSZE DANE

o sytuacji społeczno-gospodarczej Polski zawiera komunikat GUS opublikowany w całości w dzienniku „RZECZPOSPOLITA" (nr 172). W końcu pierwszego półrocza 1987 r. ludność kraju liczyła 37,7 mln osób. W gospodarce uspołecznionej pracowało 11 mln 767 tys. osób. Przeciętne wynagrodzenie osiągnęło 27,3 tys. zł i wzrosło w ciągu minionego roku o 4,3 tys. zł.

Najwięcej zarabiano w przemyśle wydobywczym (30,5 tys. zł), a najmniej w działach: oświata i wychowanie — 22,1 tys. zł, ochrona zdrowia i opieka społeczna — 22,6 tys. zł, łączność — 22,6 tys. zł. Przeciętna miesięczna emerytura i renta bieżąca (bez rolnictwa) wyniosła 15,4 tys. zł (56,3 proc. przeciętnej płacy). Zadłużenie zagraniczne Polski wzrosło do 35,7 mld dolarów USA i 6,6 mld rubli.

E. L. ■

NA WŁASNY RACHUNEK

Nauka japońskiego

Kto z nas nie wyczekuje wakacji, urlopu? Nawet ten, kto lubi swoją pracę, odczuwa pewnego pięknego dnia, że ma jej powyżej dziurek w nosie. Skoro jednak piszę o tak banalnej oczywistości muszę przecież dodać, że powinna być ona oczywista dla tych, co zużywają w pracy znaczną część swoich sił i energii, a ich stan psychofizyczny wymaga poratowania, u jednych przez zajęcia różne od codziennych, u drugich przez oddanie się absolutnemu nieróbstwu i oby tylko każdy miał co woli.

Tym utartym rozumowaniem mógł potężnie wstrząsnąć program telewizyjny poświęcony wizycie polskiej delegacji w Japonii, z którego nasi rodacy, spragnieni ułożenia życia w Polsce według najlepszych zagranicznych wzorów, mogli choć trochę poznać tajniki japońskiego gospodarczego „cudu". Użyłem cudzysłowu, ponieważ jest to naród wyznający, jak wiadomo, szintoizm, nie zaś katolicyzm, o żadnym więc dostąpieniu nadprzyrodzonej łaski nie może być mowy.

Otóż z tymi Japończykami jest taka dziwna sprawa, (co od dawna nie jest tajemnicą), że urlop czy jakieś wolne dni nie są dla nich akurat przedmiotem najsilniejszego pożądania. Niemal wszyscy spośród zapytywanych przechodniów wyjaśniali naszym reporterom, wyrozumiale jak dzieciom, że zazwyczaj nie korzystają z przysługującego im dwutygodniowego rocznego urlopu i skracają go do kilku dni, za zapłatą oczywiście, ponieważ nie chcieliby, żeby ich zwierzchnicy pomyśleli sobie, że pod ich nieobecność przedsiębiorstwo nadal funkcjonuje w najlepsze, a więc, że można by się bez nich obejść.

A zamiana miejsca pracy połączona jest z utratą wielu korzyści, których nabywa się przez wiązanie się z firmą na całe życie. Z tej samej przyczyny nie „bierze się" zwolnień lekarskich, gdy temperatura ciała nie osiągnie 38 stopni. Znów zastosowałem cudzysłów, ponieważ u nich przed pójściem do lekarza wcale nie ma się pewności, (jak mają niektóre kategorie obywateli u nas), że zwolnienie się otrzyma (a więc zwrot: w przyszłym miesiącu „wezmę sobie" tydzień zwolnienia lekarskiego — byłby w Japonii nie na miejscu). Do pracy zaś przychodzi się punktualnie, a to znaczy (po japońsku) z dwudziestominutowym wyprzedzeniem, gdyż tyle czasu potrzeba — jak wyliczono — żeby się przygotować psychicznie do maksymalnego wysiłku.

Czy ta niespotykana gdzie indziej harówka ma za podłoże wysokie zarobki? W porównaniu z grupą rozwiniętych krajów kapitalistycznych są one dość skromne, toteż poziom życia daleki jest od powszechnego dobrobytu, a można go raczej określić jako ciężko wypracowywany dostatek, wypracowywany zresztą przez całe aktywne życie, od najmłodszych lat szkolnych, ponieważ już wtedy rozpoczyna się nieustanna rywalizacja z innymi o miejsce wśród najlepszych.

Tak więc obietnica utworzenia z Polski „drugiej Japonii", złożona przez kogoś, kto, jak się zdaje, nigdy nie wykazywał się pracowitością, nie brała pod uwagę niewyobrażalnych różnic w postawach przeciętnych obywateli obu krajów, w odmiennym pojęciu obowiązku i celów życia. Ogromny dystans w efektywności pracy dzieli Japonię również od innych wysoko rozwiniętych krajów, o czym świadczy przykład jednego z brytyjskich przedsiębiorstw przemysłowych, zagrożonych płajtą. Japończycy wyrazili gotowość spłaty zadłużenia przedsiębiorstwa w zamian za udział w przyszłych zyskach, pod warunkiem jednak, że najpierw przedsiębiorstwo zwiększy produkcję o jedną czwartą zmniejszając zatrudnienie o jedną trzecią. A jakie warunki musieliby postawić większości naszych przedsiębiorstw. Strach (i wstyd) pomyśleć!....

Daleki jestem od tego, żeby gloryfikować ten system wartości życiowych, jaki się wiąże z japońskim etosem pracy, z maksymą, iż żyje się i pracuje dla państwa. Chodzi mi nie tylko o to, że tak kolosalny wysiłek i takie napięcia musi się niewątpliwie przypłacać zdrowiem, ale o to przede wszystkim, że celem człowieka jest (powinien być) harmonijny rozwój jego uzdolnień i predyspozycji dla jak najpełniejszego, twórczego uczestnictwa w tym, co życie ma nam do zaoferowania, a co nazywa się samorealizacją (jest to także jedna z wizji marksizmu). Praca jest tylko drogą do tego celu, a państwo, jeśli nie ma stać się molochem, musi być traktowane jako instrument w służbie społecznej. Nie odczuwam tego jako utopii...

Żeby jednak tak się kiedyś stało, należy tymczasem, oprócz wzorowania się na japońskiej organizacji pracy i przyswajania sobie japońskich technologii doceniać (choć w inny sposób) znaczenie państwa, które dzięki naszej pracy powinno stać się zasobne, żeby móc lepiej zaspokajać potrzeby obywateli. A Japończycy właśnie rozumieją, że najpierw trzeba wytworzyć to, co ma być podzielone....

Oczywiście, uczyć się od Japończyków powinni zarówno ci co pracę wykonują, jak i ci co ją planują i organizują, a więc rządzący i rządzeni. Ci pierwsi deklarują takie intencje, wśród drugich rozkwita cała paleta postaw, aż po niefrasobliwą ignorancję.

Nie potrafiłbym odpowiedzieć, czy jestem w tej sprawie optymistą...

JERZY KWIECIŃSKI ■

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Relacja ROMANA KUBIAKA z wyborów Miss Polonia oraz zdjęcia GRZEGORZA GAŁASIŃSKIEGO.

— Zgłosił się do redakcji Czytelnik, któremu — po latach użytkowania — odebrano działkę jako majątek poniemiecki. Ale w aktach nie ma nigdzie mowy o Niemcach. Mógłby to wyjaśnić tylko porządny prokurator... — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— O tragedii na Zdrowiu pisze DARIUSZ DOROŻYŃSKI.

— W tej jednej sprawie mieszkańcy Pałczewa są zgodni. Wszyscy są przeciw łódzkim śmieciom i okrutnemu prawu. Zdesperowani chłopi zabarykadowali drogę... — reportaż ROMANA KUBIAKA

— W Kijowie „pieriestrojka" wyszła na ulicę. Można malować włosy, tańczyć, chodzić w koszulkach z angielskimi napisami... — korespondencja EUGENIUSZA IWANICKIEGO.

— Wizyta papieża w Polsce zeszła tutaj na drugi plan, pokazano tylko sznur milicyjnych samochodów oraz migawki z Gdańska, Częstochowy, Łodzi i Warszawy... — pisze znad Renu ADAM A. ZYCH.

— Kolejne odcinki: wspomnień ADAMA OCHOCKIEGO, opowiadania REMIGIUSZA CAŁOPAŁKA, powieści ANATOLIJA RYBAKOWA „Dzieci Arbatu".

■

Co robić, aby praca znowu była w cenie u... ludzi pracy?

Kto odnajdzie zagubiony etos pracy

TADEUSZ MENDELSKI

14 lipca 1889 roku — w setną rocznicę zdobycia Bastylii — rozpoczęły się w Paryżu obrady Międzynarodowego Kongresu Socjalistycznego albo, jak wówczas mawiano, Kongresu Zjednoczonych Socjalistów. Tym samym rozpoczęło się wielkie wydarzenie w historii międzynarodowego ruchu robotniczego: II Międzynarodówka.

Była to organizacja robotnicza, która — wedle słów Włodzimierza Lenina — *„od razu i bez walki stanęła we wszystkich istotnych kwestiach na gruncie marksizmu"*. Na jej pierwszym kongresie przedstawiciele kierunku marksistowskiego przedłożyli i uzasadnili najpilniejsze zadania walki klasowej proletariatu w każdym kraju: polepszenie sytuacji materialnej robotników, rozszerzenie ich praw politycznych, ochrona pracy, organizowanie i oświecanie mas, wciągnięcie ich do walki politycznej, organizowanie masowych wystąpień ludzi pracy.

W taki konkretny sposób ujmowały marksistowskie partie robotnicze problemy ludzkiego charakteru, ludzkich warunków, godnej człowieka ludzkiej pracy. Łącząc ją jednocześnie z nowym humanizmem ludzkiego braterstwa i solidarności.

2.

Jednoznaczną w tej sytuacji wymowę miała ogłoszona w dwa lata później, 15 maja 1891 roku encyklika „Rerum noverum" papieża Leona XIII, oficjalnie przedstawiona jako *„Encyklika o kwestii robotniczej"*, która z miejsca zajmuje się krytyką socjalizmu jako *„fałszywego rozwiązania"*, przekonując, że *„własność wspólna jest szkodliwa dla robotnika"*, *„sprzeciwia się prawu natury"*, idee socjalistyczne zaś służą jedynie *„wzniecaniu zazdrości ubogich do bogatych"*. Bogaci otrzymują w niej *„upomnienie, że bogactwa nie uwalniają ich od cierpień, ani w czymś pomagają do szczęśliwości wiecznej, lecz raczej przeszkadzają"*, ubogich zaś *„Kościół poucza, że zgodnie z myślą Bożą nie należy uważać za hańbę, ani się wstydzić pracy zarobkowej"*.

Od Kościoła rzymskokatolickiego robotnik otrzymywał więc radosną nowinę, że nie musi się czuć pohańbiony pracując, mając również i tę satysfakcję, że *„bagotych przerażać winny niezwykłe groźby Jezusa Chrystusa (Łk 6,24—25), że wreszcie kiedyś będą musieli Bogu — Sędziemu zdać najściślej sprawę z używania dóbr doczesnych"*. (cyt. za „Znak", 7—9 1982).

Zestawienie tych dwóch dat i dwóch sposobów podejścia do robotnika i jego pracy mają swoją głęboką wymowę również i dziś. Warto ciągle pamiętać, że to właśnie marksistowski ruch robotniczy, jako pierwszy, podjął w skali europejskiej i światowej problem podniesienia na najwyższy poziom ludzki — a w konsekwencji całkowitego wyzwolenia, ludzkiej pracy. Cały czas spotykał się przy tym z obojętnością lub wrogością Kościoła rzymskokatolickiego, który dla „uchronienia" ludzkości, w szczególności Zachodniej Europy, od „zła" socjalizmu, decydował się nawet na popieranie faszyzmu.

Mimo tego obciążenia historycznego marksistowski ruch robotniczy życzliwie przyjmuje dziś „nawrócenie się" Kościoła rzymskokatolickiego w jego doktrynie na propagowanie etosu pracy, które dokonało się w sposób spektakularny w 90 lat po encyklice Leona XIII „Rerum novarum", w encyklice Jana Pawła II „Laborem exercens" z 14 września 1981 roku. W encyklice tej po raz pierwszy w historii Kościoła katolickiego człowiek potraktowany zostaje jako istota realizująca się poprzez pracę:

„Z pracy swojej ma człowiek pożywienie, chleb codzienny i poprzez pracę ma się przyczyniać do ciągłego rozwoju nauki i techniki, a zwłaszcza do nieustannego podnoszenia poziomu kulturalnego i moralnego społeczeństwa, w którym żyje jako członek braterskiej wspólnoty (...) Stworzony bowiem na obraz i podobieństwo Boga Samego wśród widzialnego wszechświata, ustanowiony, aby ziemię czynić sobie poddaną, jest człowiek przez to samo od początku powołany do pracy. Praca wyróżnia go wśród reszty stworzeń, których działalności związanej z utrzymaniem życia nie można nazwać pracą — tylko człowiek jest do niej zdolny, i tylko człowiek ją wykonuje, wypełniając równocześnie pracą swoje bytowanie na ziemi". („Jan Paweł II „Laborem exercens", Tekst i komentarze, Lublin 1986, s. 7).

Proszę teraz porównać powyższe stwierdzenia Karola Wojtyły z napisanymi przez Karola Marksa w 1844 roku refleksjami na temat pracy ludzkiej, powtórzonymi potem w nieco tylko zmienionej postaci w „Kapitale":

„Wprawdzie i zwierzę produkuje, buduje sobie gniazda, mieszkanie, jak pszczoła, bóbr, mrówka itd... Ale zwierzę produkuje tylko to, czego potrzebuje bezpośrednio dla siebie, albo dla swego potomstwa; produkuje jednostronnie, podczas gdy człowiek produkuje będąc wolnym od fizycznej potrzeby i naprawdę wtedy produkuje, gdy jest od niej wolny: (...) Zwierzę formuje tylko na miarę i odpowiednio do potrzeb swojej species, podczas gdy człowiek potrafi produkować na miarę każdego gatunku i stosować do każdego przedmiotu właściwą miarę; dlatego też człowiek formuje również według praw piękna".

3.

Interesująca by była analiza filozoficzna tych dwóch tekstów i zastanowienie się, jak to jest możliwe, że w 137 lat po napisaniu go przez Karola Marksa, a w 114 lat po ukazaniu się dzieła, w którym Marks daje klasyczną analizę stosunku pracy i kapitału, pt. „Kapitał" oficjalny dokument Kościoła zawiera pewne sformułowania filozoficzne, dotyczące ludzkiej pracy, różniące się tylko tym, że zamiast o *„prawach piękna"* mówi się o *„boskim powołaniu do pracy"* jako głównym pożądanym motywie ludzkiej pracy.

Ale w takiej sytuacji jeszcze bardziej ciekawa i o wiele bardziej istotna praktycznie jest inna sprawa. Jak to się bowiem dzieje, że w naszym społeczeństwie, znajdującym się — jak się powszechnie sądzi — pod najsilniejszym oddziaływaniem dwóch filozofii i ideologii — marksizmu i katolicyzmu, sprawy etosu pracy stoją tak nisko. Choć obydwa kierunki myślowe i polityczne problematykę pracy ludzkiej stawiają w centrum zainteresowań?

Odpowiedź na to pytanie nie jest zbyt trudna, choć jest nieco złożona. Przede wszystkim zawodzi sprawa transmisji założeń teoretycznych do sfery działania, co potęgują jeszcze pewne błędy i uproszczenia teoretyczne. Dotyczy to zarówno marksizmu jak i katolicyzmu, choć z innych zupełnie przyczyn. Zacznijmy od katolicyzmu.

Decydujące znaczenie ma fakt, że encyklika „Laborem exercens" ma dopiero niecałe 6 lat, w czasie których rozpolitykowanie Kościoła — zwłaszcza w Polsce — przesunęło na plan dalszy propagowanie tego akurat aspektu jego doktryny. Choć ukazuje się wiele prac wywodzących się ze środowisk i religijnych i kościelnych, dowodzących jakoby Kościół katolicki od samych początków stawiał pracę w centrum (z powołaniem się na odpowiednie zinterpretowanie słowa Księgi Rodzaju: *„Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną"*, to nie jest to w stanie zmienić faktu, że w rzeczywistości problematyka pracy przez całe stulecia odsuwana była na daleki plan, sama zaś praca nosiła na sobie piętno kary za grzech pierworodny.

Choć generalna idea encykliki „Laborem exercens" i jej niektóre sformułowania brzmią dziś jak gdyby były wzięte z tradycji *„Wiedza to potęga"* Bacona i *„Filozofowie dotychczas tylko interpretowali świat; idzie jednak o to aby go zmienić"* Karola Marksa, to pamiętać trzeba, że Kościół zwalczał zarówno Bacona jak i Marksa. W XVII wieku zwalczał rewolucyjne konsekwencje myśli Bacona, wspierające rewolucyjne dążenia brużuazji, w XIX wieku zwalczał rewolucyjne konsekwencje myśli Marksa, wspierające rewolucyjne dążenia proletariatu. Dziś również swoją naukę o pracy w tej samej encyklice „Laborem exercens" papież prowadzi w kierunku pogodzenia pracy z kapitałem, wymierzając ją przeciw wszelkim teoriom rewolucyjnym XX wieku, nawet tzw. teologii wyzwolenia.

W tej sytuacji codzienna praktyka Kościoła jest jak najdalsza wyrabianiu przezeń światopoglądowych postaw skoncentrowanych wokół etosu pracy, faworyzując światopogląd raczej o charakterze pasywnym, poddającym się aktywności ze strony jakiegoś autorytetu, sprzyjającym manipulowalności, nie budzącym natomiast wiary we własną przedsiębiorczość, twórcze działania w osiąganiu poczucia wartości poprzez pracę. Tę cechę światopoglądu katolickiego dostrzegli już dawno filozofowie; co ciekawe Hegel jeszcze przed Marksem i Max Weber już po Marksie.

Max Weber — jak przypomina Kozyr-Kowalski we Wstępie do polskiego wydania jego „Szkiców z socjologii religii" — mówi wręcz o specyficznym etosie pracy związanym z protestantyzmem. Zgodnie z tym etosem pracę otacza się szacunkiem, utożsamiając niemalże pojęcie *„porządnego, dobrego i godnego szacunku człowieka"* z pojęciem *„człowieka zdolnego do systematycznego wykonywania ciężkiej i trudnej pracy fizycznej lub umysłowej"*.

Te analizy i oceny Hegla i Webera są dziś niezmiernie ważne z dwóch co najmniej powodów. Pokazują po pierwsze, jak głęboko w „duchu katolicyzmu" tkwi niechęć do oceniania człowieka w kategoriach jego pracy, zasług w sferze aktywności i energii przejawianych w działaniu, a jak wielką rolę odgrywa w nim podporządkowywanie się obrzędom, woli kościoła, zewnętrznym gestom, pozorom. Zapewne długie dziesięciolecia, a nawet stulecia, będzie musiał pracować Kościół katolicki by ten stan rzeczy zmienić w swojej działalności codziennej. Teoretycznie jest bowiem dopiero na początku drogi, w działalności codziennej zaś nie zmienią nic okazjonalne homilie papieskie. Chodzi tu bowiem o generalną zmianę postawy wobec życiowej, produkcyjnej i społecznej aktywności człowieka.

4.

Przypomnienie tego, że system kapitalistyczny — to nie tylko ekonomiczne mechanizmy regulowane przez kapitalistyczny rynek, ale system w swoim konkretnym funkcjonowaniu zakładający pewien zestaw wartości i ich rozpowszechnienie w postaci pewnego etosu, ma dziś kapitalne znaczenie również dla oceny współczesności. Dziś co prawda akcentowany przez Maxa Webera ascetyczny duch pracy, w którym praca jest wartością samą w sobie, zastąpiony został w najbardziej rozwiniętych krajach kapitalizmu przez etos konsumpcji, dolce vita, posiadanie jak największej liczby przedmiotów, o charakterze prestiżowym często bardziej niż użytecznym, ale tylko w stosunku do człowieka jako konsumenta. W stosunku do producenta krzewiony jest często wręcz stary duch rzetelności i uczciwości, pełnego przekonania pracującego o sensowności jego działania, jego „wyższego" celu, który często ma motywować pracę na równi z bodźcami „materialnymi".

Jak na tym tle wygląda marksizm, teoria i praktyka socjalizmu? Czy wypracowaliśmy jakąś skutecznie oddziałowującą na klasę robotniczą ideologię? Odpowiedź jest jednoznaczna: więcej niż skromnie. Najbardziej znane marksistowskie teksty dotyczą raczej sytuacji dalekiej przyszłości, gdy zniesiona zostanie alienacja pracy wynikająca z wymuszonego przez kapitalistyczną ekonomię podziału pracy. Ten aspekt przyszłościowy często nie ma żadnego odniesienia do sytuacji wykonywania pracy przez Polaka hic et nunce, pracy zbyt często jeszcze ciężkiej, nużącej, dalekiej od charakteru twórczego, często ciągle wedle kategorii Karola Marksa wyalienowanej, ale bez wykonania której niemożliwe jest funkcjonowanie społeczeństwa na co dzień, jak również jego rozwój i stopniowe przechodzenie do wyższych jej form. Tymczasem teoretycy epatują nas wizjami dalekiej przyszłości, gdy trzeba będzie w wyniku automatyzacji w ogóle zrezygnować ze starej kategorii pracy. Tak właśnie stawia problem A. Schaff w świeżo wydanej książce będącej tłumaczeniem Raportu dla Klubu Rzymskiego pt. „Mikroelektronika i społeczeństwo. Na dobre, czy złe?". Pisze tam Schaff o idei książki:

„Przesłanie jest bardzo proste: rewolucja mikroelektroniczna niewątpliwie zmieni rolę pracy w życiu człowieka, zmniejszy jej potrzebę, w niektórych przypadkach całkowicie ją eliminując. Powstanie problem, czym zastąpić tradycyjny „sens życia" istot ludzkich, wiązany przede wszystkim — głównie w uprzemysłowionych społeczeństwach Północy — z pracą". Jesteśmy już więc daleko w przyszłości, gdy *„pełna automatyzacja w perspektywie w zasadzie wyeliminuje pracę ludzką w tradycyjnym znaczeniu tego słowa"*. Dlatego proponuje się już dziś posługiwanie się na równi z pojęciem pracy pojęciem zajęcia, *„zastąpienie tego, co dawniej było pracą przez zajęcia twórcze, rozrywkowe"*.

Nie jestem przeciwnikiem podejmowania tego rodzaju problemów przyszłościowych, ale z uporem wracam do pytania: A co na dziś? Co marksizm może zaoferować na dziś socjalizmowi, jako formacji dopiero rozwijającej się, niosącej w sobie pozostałości formacji dotychczasowych, często wykazującej zahamowania rozwojowe, powodowane również w dużym stopniu przez upadek etosu pracy, jej lekceważenie, niedbałe wykonywanie, kult cwaniactwa i bogacenia się bez pracy metodą „kombinowania", jawnego odchodzenia od zasady: *„Każdy według swoich zdolności, każdemu według jego pracy"*.

Jesteśmy bowiem w sytuacji niesłychanie trudnej. Nie działa u nas kapitalistyczny etos pracy, ani w jego wersji religijnej protestanckiej, ani laickiej oświeceniowej. Nie działa katolicki etos pracy, gdyż znajduje się dopiero w powijakach. Dobry katolik to wciąż taki, który uczestniczy w obrzędach, jest posłuszny kościołowi i ewentualnie może się zadumać nad rolą pracy w życiu człowieka, najczęściej jednak w kierunku roszczeniowym — żądania, by hic et nunc była ona lekka i dobrze płatna. Nie dopracowaliśmy się natomiast jakiegoś oryginalnego socjalistycznego etosu pracy.

Pod nóż szyderstwa poszły najbardziej cenne i udane elementy wywodzące się jeszcze z tradycji ruchu robotniczego okresu II Międzynarodówki — dumy z dobrze wykonywanej pracy, z jej twórczym rozumieniem, rozumieniem procesów życia społecznego, co powodowało charakterystyczny robotniczy głód nauki, książki i wiedzy, podnoszenia poziomu kulturalnego.

W tej sytuacji wytworzył się pewien osobliwy stan: Jeżeli już mówimy o odpowiedzialności w związku z wykonywaną pracą, to rezerwujemy to pojęcie odpowiedzialności, honoru, przede wszystkim dla zawodów „inteligenckich". Naukowcy, nauczyciele, prawnicy, pracownicy administracji i organów ścigania, lekarze, nie mogą czynić z rzetelności wykonywania swoich obowiązków pozycji przetargowej w wymuszaniu wyższych zarobków. Tu każdemu wolno wyrażać oburzenie moralne, że nauczyciel nie chce uczyć dobrze, bo uczeń nie chce płacić słono za korepetycje, lekarz odmawia pomocy biednemu, czy sędzia jest stronniczy itd. itp.

I tylko w stosunku do klasy, którą nazywamy przodującą siłą narodu i awangardą postępu, którą marksizm obarcza wielką i odpowiedzialną misją budowy społeczeństwa nowego, wyższego typu, klasy bezpośrednich wytwórców, od których rzetelności działania zależy na co dzień coraz więcej, ludzkie zdrowie, życie, powodzenie wręcz socjalistycznego państwa, uruchamiamy jedynie kategorie „kija i marchewki". Nie ma zwyczaju uruchamiania moralnego oburzenia i potępienia wobec przejawów złej roboty, ewidentnej nieodpowiedzialności, niskich motywów. Daliśmy się zamknąć w dysjunkcji: albo będziemy reformować mechanizmy ekonomiczne, albo „moralizować", budować etos pracy. Czy tak trudno wpaść na pomysł, że należy robić jednocześnie i jedno i drugie?

5.

Zwłaszcza, że zaniedbanie tego moralnego aspektu reformy dostrzegają również teoretycy spoza partii, generalnie nam życzliwi. W dyskusji w Belwederze, która potem wyszła pod tytułem „O kondycję moralną społeczeństwa" mówił prof. Bogdan Suchodolski:

„Program wychowania przez pracę i dla pracy wygasł w systemie naszej edukacji szkolnej. A przecież kiedyś był głośny i żywy. Reforma gospodarcza, którą przeprowadzamy, nie dostrzegła ludzkich wymiarów problemu pracy ani problemów pracującego człowieka. Miały być wykorzystywane mechanizmy technologiczne i ekonomiczne różnego rodzaju. Dla czynnika ludzkiego nie było tam miejsca. Człowiek dobrze pracujący wydaje się wciąż „człowiekiem z marmuru", któremu można stawiać pomniki, ale którego nie należy naśladować. Potrzebujemy pilnie wielkiego programu odrodzenia pracy, który by obejmował problemy szkolnego przygotowania zawodowego, zasad i organizacji permanentnego kształcenia, zreformowanego systemu poradnictwa zawodowego, indywidualnych i zespołowych warunków pracy, czynników wspierających procesy twórcze".

Apel sędziwego profesora o nową wielką ideologię pracy nie może ujść uwagi partii w jej przygotowaniach do V Plenum ideologicznego właśnie, którego tytuł brzmieć ma: „O upowszechnienie socjalistycznych celów, zasad i wartości w procesie reformowania gospodarki i odnowy życia społecznego".

Bez uruchomienia harmonijnego sprzężenia między uaktywnioną w kierunku socjalistycznych wartości społeczną świadomością i usprawnionymi ekonomicznymi mechanizmami nie jest możliwy ani postęp gospodarczy, ani społeczny. Praca humanisty i filozofa nad etosem pracy powinna zostać zrównana rangą z pracą ekonomisty nad efektywnymi mechanizmami, a także inżyniera nad skutecznymi technologiami. Wciąż za mało mamy tej świadomości. Jak również świadomości, że nikt naszej partii ani naszego socjalistycznego państwa w tym nie wyręczy.

Foto: Witold Werner

W czym żyjemy?

Rozmowa z profesorem HENRYKIEM RAFALSKIM z Katedry Higieny Akademii Medycznej w Łodzi.

— Czy istnieje związek przyczynowo-skutkowy między stanem środowiska a stanem zdrowia żyjących w tym środowisku ludzi?

— Istnieje oczywisty związek między zdrowiem, długością, jakością życia, sprawnością fizyczną i umysłową a stanem środowiska.

— Czy możemy prosić o podanie konkretnych przykładów?

— Źródłem zagrożenia dla ludzkiego zdrowia mogą być zanieczyszczona woda i powietrze, hałas, wibracja, zanieczyszczona żywność. W naszym kraju woda odpowiadająca standardom spożycia, czyli woda względnie czysta, stanowi zaledwie 10 procent zasobów, którymi dysponujemy. Bezpośredni wpływ na nasze zdrowie ma także zanieczyszczona przez przemysł atmosfera. Bezpośredni — gdyż oddychamy powietrzem zawierającym pyły, związki siarki, azotu. Skażona atmosfera ma również pośredni wpływ na nasze zdrowie, bo m. in. opady przemysłowe są źródłem skażenia gleby i żywności. W produktach roślinnych z upraw w rejonach uprzemysłowionych wykryto na przykład kadm w ilościach przekraczających 40-krotne maksymalne dopuszczalne stężenie, zaś ołów nawet w ilościach 100-krotnych. A te właśnie metale i ich związki, jako jedne z wielu, są szczególnie niebezpieczne dla zdrowia. Przekroczenie dopuszczalnych norm zawartości azotanów i azotynów wykazują również zboża oraz warzywa z rejonów uprzemysłowionych.

— Oczywiście odnosi się to także do regionu łódzkiego?

— Tak, wpływ warunków środowiskowych na zdrowie jego mieszkańców jest podobny jak w innych regionach przemysłowych kraju, a nawet świata. Na przykład wysoki poziom emisji pyłów lotnych w województwach: łódzkim, katowickim i warszawskim powoduje — jak się przypuszcza — m. in. rozpowszechnienie marskości wątroby na tych terenach.

Nie zawężajmy jednak tego problemu tylko do środowiska przyrodniczego, którego jesteśmy tworem, gdyż środowisko, w którym żyjemy, to również środowisko cywilizacyjne stworzone przez człowieka, i środowisko społeczne. Każde z nich oddziałuje w charakterystyczny dla siebie sposób na długość i jakość życia człowieka.

Nie można też rozpatrywać wpływu wszystkich wymienionych środowisk bez uwzględnienia jeszcze czynnika historycznego. Środowisko zawsze na nas wpływało chorobotwórczo, ale i — zdrowiotwórczo. Bo jeśli dziś żyjemy dłużej, to przecież także dzięki środowisku.

— Czy znaczy to, że środowisko — przyrodnicze, cywilizacyjne i społeczne — w którym dziś przychodzi nam żyć, jest bardziej sprzyjające człowiekowi?

— Jak wynika z badań doktora Strzyżewskiego, w latach 1870 – 1880 jego podopieczni w Tuszynie żyli średnio dwadzieścia cztery lata, natomiast jeśli pominąć śmiertelność niemowląt i dzieci do lat dwunastu, to przeciętna długość życia wynosiła wówczas czterdzieści osiem lat, przy czym mężczyźni żyli dłużej niż kobiety. Dziś **żyjemy średnio o dwadzieścia pięć lat więcej, choć ówczesne środowisko przyrodnicze bez wątpienia było czystsze.**

Znaczy to, że w okresie minionych stu lat **dzięki** postępowi **cywilizacyjnemu stworzyliśmy takie warunki, w których granica śmiertelności mogła ulec wyraźnemu** przesunięciu. I **stało się tak mimo** postępującego **zanieczyszczenia** środowiska **przyrodniczego.** Należy **zatem, jak dowodzi** ten przykład, **bardzo uważać** przy wyciąganiu **ogólniejszych** wniosków.

— Zgoda. A jakie czynniki zdrowiotwórcze odegrały tutaj główną rolę?

— Poprawa higieny życia codziennego, rozwój wiedzy i opieki medycznej, polepszenie wyżywienia i warunków bytowych, itp.

— Ale nie można chyba powiedzieć, że rozwój cywilizacyjny stwarza nam perspektywę życia w nieskończoność?

— Oczywiście, że nie, bowiem — jak twierdzą genetycy i **demografowie** — jednostki **ludzkie nie mogą** żyć dłużej niż sto dziesięć, sto dwadzieścia **lat. Jest to uwarunkowane** zasobami genetycznymi odziedziczonymi **przez nas w filogenetycznym rozwoju gatunku** ludzkiego. **Jest to po prostu** długość **życia możliwa do osiągnięcia. I są jednostki, które do tej granicy dożywają. Ale jak dożywają? W jakiej sprawności** fizycznej i umysłowej? Oto istotne pytanie, bo — jak wiemy z doświadczenia — na ogół żyjemy dłużej niż jesteśmy sprawni.

— Właśnie. Chodzi nie tylko o to, żebyśmy żyli coraz dłużej, ale i żebyśmy jak najkrócej byli w życiu niesprawni. Tymczasem współczesne nam środowisko z jednej strony rzeczywiście przyczynia się do przedłużenia życia ludzkiego, lecz z drugiej — stwarza dużo więcej zagrożeń dla naszego zdrowia niż było ich kiedyś.

— Na pewno. Poza tym należy uwzględnić, że do zagrożeń ze strony środowiska przyrodniczego gatunek ludzki adaptował się w toku ewolucji tysiące lat. A te zmiany środowiskowe zachodziły bardzo wolno, miał czas, aby nauczyć się na nie reagować. Obecnie stykamy się z tak wieloma na przykład substancjami chemicznymi, które w naturze nie występują, iż nasze organizmy są zupełnie nie przystosowane do obrony.

— Czy przy takim tempie rozwoju cywilizacyjnego, jaki obecnie obserwujemy, będziemy mieć więc dość czasu na adaptację do tych wywołanych przez człowieka zmian w środowisku?

— W wielu przypadkach z pewnością nie, zwłaszcza że są to oddziaływania bardzo różnorodne i występujące w skoncentrowanej postaci. Genetycznie nie jesteśmy przystosowani do obrony przed nimi w tak krótkim czasie i przy tak dużej dawce.

I tu kłania się nam problem świadomości: czy zdajemy sobie sprawę z tego, co nam zagraża, i czy potrafimy temu przeciwdziałać. Bo przecież skoro człowiek sam przyczynił się do zachwiania równowagi w przyrodzie, której jest częścią, to sam również musi znaleźć sposoby obrony przed skutkami owej nierównowagi. A czy zawsze tego chce? Nie zawsze! Często większą wagę przywiązuje na przykład do własnej wygody niż do zdrowia. A największa plaga w Polsce — alkoholizm? To też jest przecież środowiskowy czynnik zagrożenia.

Dlatego nie idealizujcie, panowie, społeczeństwa, które tak pragnie żyć w czystym, zdrowiotwórczym środowisku.

— Ale panie profesorze, my wcale nie idealizujemy. Przeciwnie, jesteśmy zdania, że świadomość — na przykład ekologiczna w wielu kręgach naszego społeczeństwa jest jeszcze bardzo, bardzo niska.

— Musimy dokonać przewartościowania naszych poglądów na temat otaczającego nas środowiska. To sprawa najważniejsza w tej chwili, gdyż jaka będzie nasza świadomość, takie i będą czyny. Przecież ci, którzy decydowali o rozwoju przemysłu w powojennej Polsce (a odnosi się to do wszystkich krajów, gdzie dokonano szybkiej industrializacji i urbanizacji) nie chcieli w ogóle dopuścić do wprowadzenia ustawowych ograniczeń ingerowania w środowisko, gdyż nie mogliby wtedy tak łatwo zrealizować swoich planów. Ustawy i prawne ustalenia ochronne wprowadzono dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych.

— Mamy dziś akty prawne w tej dziedzinie ponoć najlepsze w Europie, ale jednocześnie stan naszego środowiska należy do najgorszych w Europie. Świadomości ekologicznej nie da się zadekretować. Studenci prawa i ekonomii, którzy w niedalekiej przyszłości będą decydowali o jakości naszego życia, nadal uczą się z podręczników, że woda i powietrze są tzw. dobrami wolnymi, czyli można z nich czerpać bezkarnie i za darmo. Obawiamy się, że podejmując decyzje inwestycyjne ci ludzie nie będą skłonni brać pod uwagę skutków zanieczyszczenia i skażenia środowiska. Na tym etapie potrzebne jest przede wszystkim radykalne przewartościowanie pojęć.

— Myślę, że jeszcze wcześniej — w wychowaniu rodzinnym, w przedszkolu, w podręcznikach szkolnych. Edukacja środowiskowa musi mieć charakter pracy u podstaw. Posłużę się takim przykładem: nasza młodzież generalnie unika wysiłku fizycznego. System szkolny i pozaszkolny nie zmuszają do takiego wysiłku, a wręcz chronią przed nim. Wystarczy przejść obok szkoły, by zobaczyć jak rodzice i dziadkowie noszą tornistry swych pociech. Tymczasem ruch i wysiłek fizyczny są naturalnymi potrzebami człowieka. Nasi przodkowie w okresach myślistwa, zbieractwa i później przebywali w ciągłym ruchu. Kobiety, oprócz genetycznych uwarunkowań, żyją dłużej, ponieważ przebywają w ruchu częściej niż leniwi mężczyźni. Wysiłek fizyczny nie ma żadnego substytutu. Co z tego, że obecny rekrut mierzy 175 centymetrów, a 20 — 30 lat temu był o 10 centymetrów niższy, skoro tamten był znacznie sprawniejszy fizycznie. Do obecnej cywilizacji niezbędna jest odpowiednio inna świadomość.

— Czy przyszły lekarz, a obecny student Akademii Medycznej, ma dostatecznie rozbudzoną i pogłębioną świadomość środowiskową?

— Mam wrażenie, że w liczbie godzin nauki składających się na kompetencje lekarza, zbyt mało jest zajęć uświadamiających korelacje między czynnikami środowiskowymi a powstawaniem i rozwojem niektórych chorób. Program nauczania medycznego wymaga ciągłych modyfikacji, gdyż chorobowość człowieka coraz mocniej determinowana jest czynnikami środowiska cywilizacyjnego i społecznego.

— Panie profesorze, czy mógłby pan pokusić się o wystawienie recepty na długowieczność, to znaczy, czy możliwe jest określenie takich zaleceń i przestróg, by współczesnemu człowiekowi, na przykład mieszkańcowi wielkiego miasta, zagwarantować przeżycie stu kilku lat?

— Takiej recepty nie ma. Aktualna wiedza naukowa jest ciągle wiedzą cząstkową, wiele płynących z niej propozycji wyklucza się wzajemnie. Dysponujemy jedynie wiedzą, która w sprzyjających warunkach daje człowiekowi szansę przeżycia nie więcej niż 85 lat. Pytanie o receptę na długowieczność jest zatem pytaniem o eliksir życia, o ambrozję. Nie ma takiego mędrca, który swoimi radami zapewni każdemu długowieczność.

Laureaci Nagrody Nobla, odkrywcy DNA i RNA — Crick i Watson, którzy przed ponad trzydziestoma laty w najwyższym stopniu przyczynili się do wyjaśnienia tego, co nazywamy istotą życia, są dziś ludźmi w podeszłym wieku. Gdyby swoimi epokowymi odkryciami znaleźli receptę na życie wieczne, zapewne pierwsi by z niej skorzystali. Ich ostatnie fotografie są dowodem, że tak się nie stało.

— Aktualny stan wiedzy i doświadczeń pozwala jednakże wyodrębnić czynniki środowiskowe negatywnie wpływające na nasze zdrowie. Wiele z nich jest niestety wynikiem niewiedzy i złej woli człowieka. Można je wyeliminować choćby uporczywym propagowaniem tematyki ekologicznej.

— Tak, ale z drugiej strony nie należy głosić katastrofizmu. Warto i trzeba pokazywać, że przy odrobinie starań można żyć inaczej — lepiej. Katastrofizm odstrasza ludzi od tej problematyki. Wizja piekła nikogo jeszcze nie powstrzymała od czynienia grzechów.

— W odróżnieniu od piekła, choroby są niemalże namacalnym dowodem niebezpieczeństwa, ku któremu kroczymy.

— Owszem, dlatego łatwiej prowadzić działalność uświadamiającą. Niestety, często zatrzymujemy rozum, aby uruchomić wiarę.

— Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali:
PAWEŁ TOMASZEWSKI
I ROMAN KUBIAK

Fotor Witold Werner

Co będzie?

Na bałtyckich plażach znikły bryłki bursztynu i teraz dzieci bawią się tam stonką. Południowe wiatry rzucają tego kapitalistycznego owada w morze, a północne wyrzucają go z falami na plaże. Stonka otrząsa się, rozpręża i zmartwychwstaje, taka uodporniona. I cieszy się, cholera, że żyje, bo specjalistyczna polska firma wyprodukowała taki środek owadobójczy, że jak się stonka z nim zetknie, to nabiera większego wigoru do obżerania liści z kartofli.

W związku z tym „specjaliści" od rolnictwa i krytykanctwa wrzeszczą, że ci pazerni chłopi nie sprzedadzą już taniej ziemniaków, jak po 20 zł kilo. Jakby się już mało obłowili, gdy w 1986 roku zebrali rekordowe plony zbóż w Polsce Ludowej. Ale nie, ci pazerni chłopi znowu wydębili od rządu podwyżkę, np. za litr mleka biorą 30 zł, a za metr pszenicy 3100 zł. Jak się nie zamrozi cen skupu, grzmią domorośli ekonomiści, to wieś nabije kabzę, a reszta pójdzie z torbami.

Wprawdzie minister Zięba powiedział w Sejmie, że ten rekord plonów zawdzięczamy w znacznej mierze bozi, czyli dobrej pogodzie, ale kogo to obchodzi. Albo to, że parytet dochodów wsi i miasta w 1986 roku kształtował się jak 90:100? Żeby tę różnicę zniwelować, chłopi winni uzyskać 40 proc. podwyżkę na swoje płody, ale rząd dał im tylko średnią w wysokości 20 proc. I nikt nie mówi głośno, że ceny pasz, nawozów i środków ochrony roślin wzrosły średnio o 40 proc., przy czym pasz i tak brakuje. W zeszłym roku ciągnik C-320 kosztował 770 tys. zł, a dziś prawie milion, bo 985 tys., kombajn Bizon Super zamiast 2 700 tys. zł kosztuje 3 160 tys. zł.

Co więc będzie? Jakie i w jakich warunkach zbierzemy plony?

Zimna wiosna opóźniła się prawie o miesiąc, co wpłynęło niekorzystnie na wegetację roślin. Poza tym w kraju zabrakło niektórych nawozów, a 600 tys. ha nie spryskano środkami ochrony roślin. Z tego drugiego powodu krzewią się bujnie chwasty i choroby grzybowe, a sprzyja temu także nadmiar wilgoci. Optymiści twierdzą, iż plony będą w normie, ale wiele przemawia za tym, że brak niektórych środków produkcji, opóźniona wiosna i późne żniwa sprawią, że dla rolnictwa skończą się lata tłuste.

W tej sytuacji optymizmem napawa sygnał o wczesnym rozpoczęciu żniw w Sieradzkiem. Pierwsi wyszli tam na pola melioranci, skosili żyto, wykopali kartofle i wyrąbali buraki, pozostawiając po sobie piękne ryżowiska z kawałkami zaflancowanych rurek drenowych. Przedstawiciele władz wojewódzkich pocieszyli chłopów, że otrzymają odszkodowanie. Za metr kwadratowy tyle, ile kosztuje 10 deka zboża. Ale pieniążki te wliczy się w koszty melioracji. A resztę należności odciągnie się chłopom w podatkach.

Jest to takie wesołe jak karawan na arenie cyrkowej. Wróćmy więc do województwa łódzkiego, gdzie melioracyjne żniwa na razie nam nie grożą.

Do skoszenia jest 49 600 ha, mniej więcej tyle, co w 1986 roku, ale za to w lepszej strukturze zasiewów, m.in. więcej pszenicy i pszenżyta. Zaplanowano skupić i przetransportować 18 tys. ton zboża (o 3 tys. ton mniej niż w ub. r.), toteż powinno się to zmieścić, choć magazynów nie przybyło. Sęk w tym, że zboże powinno się zebrać wprost z pola do GS i PZZ, bo jak zostanie, to rolnik przeznaczy je na paszę. Wiele zależy więc również od *transportu*.

W województwie ze sprzętem zbóż nie powinno być źle, mamy bowiem więcej niż rok temu maszyn: o 24 więcej kombajnów, o 30 wiązałek i 30 pras. Ale tych ostatnich i tak jest za mało, toteż słoma może czernieć na polach i będzie się ją przyorywać lub, co nie daj Boże, palić. Brakuje także około 120 pozycji części zamiennych, głównie do ciągników dużej mocy. Sukcesem natomiast jest, jak to mówią, rozwiązanie problemu sznurka.

Jeżeli będzie sprzyjająca pogoda, to żniwa w województwie łódzkim, przede wszystkim na glebach lekkich, rozpoczną się na przełomie lipca i sierpnia. I wtedy wskutek opóźnienia nastąpi prawdziwe piekło, zwane sr ętrzeniem prac. Tu trzeba kosić zboże, a tam siać już rzepak i poplony, wapnować gleby, zasilać je nawozami, zbierać drugi pokos siana i kopać później dojrzewające młode ziemniaki. I tak będzie aż do września. Na jednym polach będzie się jeszcze zbierać zboża, na drugich zaś dokonywać podorywek i siać zboża ozime.

Henryk Leonarcik, zastępca kierownika wydziału ekonomiczno-rolnego WK ZSL w Łodzi, jest umiarkowanym optymistą, ale wolałby zająć postawę starego górala, tzn. albo będzie pogoda, albo jej nie będzie. Czyli na dwoje babka wróżyła. Jak żniwa będą suche, to dobrze, a jak mokre, to zrobi się karuzela. Bo zboża trzeba będzie dosuszać, a w województwie jest mało suszarni i za mało przyczep do dwukrotnego wożenia ziarna, w związku z czym mogą tworzyć się korki.

Leonarcik jest zdania, że woj. łódzkie otrzymało w tym roku więcej nawozów, ale nie zawsze tych najpotrzebniejszych, co jednak nie powinno mieć specjalnego wpływu na wysokość plonów. Wystąpiły natomiast pewne braki w dostawie środków ochrony roślin. A to już ma znaczenie. Bo jak się skosi wiązałką zboże z wybujałymi chwastami, to te chwasty muszą długo schnąć w snopkach. Kombajn wymłóci razem z zielonym chwastem, ale w tym roku sprzęt kombajnem jest drogi i w woj. łódzkim kosztuje 8 tys. zł za godzinę. Przy dobrej pogodzie rolnicy kosiliby zboże wiązałkami, ale na to się nie zanosi.

Pierwsza lustracja pól wykazała, że zboża są słabe, później jednak przyszła wilgoć i ciepło i wyrosła wielka, wspaniała słoma, ale miękka. A do Łodzi nie dotarł na czas środek usztywniający łodygi. No i jak raz natura dokonała cudu, mówi Leonarcik, to za drugim razem ukarała ludzi za opieszałość..

Odczułem to na własnej skórze 12 lipca, gdy potężne, szczelne mury mojego bloku puściły i pozalewało mi sufity i ściany. Burza nad Łodzią nie tylko uszkodziła linie wysokiego napięcia. Gwałtowna ulewa i grad wielkości owoców wiśni sprawiły, że wysoka, miękka słoma na polach wyległa. A więc sprzątać można tylko kombajnem lub kosą, przy czym najmilej widziana będzie pomoc rodzin z miasta.

Nie wiadomo tylko czy rolnikom starczy sił do pracy. Bo z konserwami i pasztetami, niezbędnymi w czasie żniw, gdy nie ma czasu na pitraszenie, jest dość kiepsko. Łódzki WZGS dysponuje wprawdzie 20 tonami, ale do sklepów wiejskich trafia zaledwie trzy tony, bo reszta idzie na posiłki regeneracyjne. Z konserw rybnych są głównie sardynki. Chłopi mówią, że to dobre na zatrucie organizmu lub na wieczorny relaks, czyli na zagrychę.

No, ale jak to faktycznie będzie, przekonamy się w sierpniu. Popatrzymy i jeśli nasze prognozy się nie sprawdzą, to z tym większą radością przekażemy to Czytelnikom.

RYSZARD BINKOWSKI

Gramy w amerykańskiego pokera, bez żadnych oporów godząc się na haniebne reguły gry.

Selekcja

ROMAN KUBIAK

Przychodzę o godzinie osiemnastej, na liście oczekujących mam numer trzydziesty piąty. Listy pilnuje samozwańczy komitet. Pozycja pierwsza, to energiczna warszawianka z Pruszkowa (dwa domy, samochód, mąż z inicjatywą). Dama jest założycielką listy, wpisała się przed południem, dlatego posiada władzę absolutną. Pozycja druga — krzepki emeryt (szklarnia, piętrowy dom, dwie książeczki oszczędnościowe z wkładem). Trzeci jest rumiany góral (złote zęby, złoty zegarek marki Omega, tajemnicza czarna teczka pod siedzeniem). Oczy komitetu uważnie lustrują mnie od czupryny po zdarte podeszwy butów.

— *Za młody* — z niesmakiem stwierdza dama. — *Żeby chociaż był kaleką...*

— Jestem zdrów i sprawny, dzięki Bogu — tłumaczę się.

— *Niedobrze* — wyrokuje dama.

Emeryt testuje stronę ideologiczną.

— *Komunista?* — pyta i natychmiast precyzuje: — *Do partii należy?*

— Nie — spowiadam się szczerze.

— *To już lepiej.*

— *A samochód pan ma?* — chce wiedzieć Numer Trzeci.

— Nie mam.

— *To bardzo źle.*

— *Może chociaż dom, albo mieszkanie?*

— Także nie mam.

Dwie dziewczyny (tylko posady w biurach i dużo młodzieńczej wiary) ubrane w szorty i bawełniane koszulki, cicho chichoczą z wykładu o pierwszym wrażeniu.

— *Niech się panienki nie śmieją głupkowato* — atakuje elegantka. — *Takie jak wy nie mają żadnych szans na wizę. Czym możecie im zaimponować, no czym?*

— *O łaskę prosić nie będziemy* — śmiało odpowiada ta wyższa.

— *A niby kim wy jesteście?*

— *Uczciwymi Polkami.*

— *Phi, to jest nic niewarte.*

Ociekający potem łysawy mężczyzna w ciemnym garniturze nerwowo przegląda zawartość aktówki: zaproszenie od kolegi z USA, paszport, wypełnione kwestionariusze wizowe, dwie fotografie, wyciąg z konta dewizowego, książeczka PKO, dowód osobisty małżonki, dowód rejestracyjny samochodu, zaświadczenie o zatrudnieniu i wykonywanym zawodzie, pisemne zapewnienie pracodawcy o możliwości kontynuowania pracy po powrocie z Ameryki, własnoręczne oświadczenie o terminowym opuszczeniu granic Stanów Zjednoczonych bez próby przedłużenia pobytu za oceanem, notarialny spis dobytku... Wywieszony na szklanych drzwiach ambasady wykaz żądanych dokumentów i zaświadczeń liczy bite dwie strony druku.

— *Lista majątkowa? Co tam trzeba wpisać?* — wypytuje zlękniony czterdziestolatek.

— *Wszystko, oczywiście* — recytuje spocony. — *Ja wpisałem dom, że piętrowy z podpiwniczeniem, ile metrów kwadratowych, ile jest warт, kolorowy telewizor, dywany, pralka automatyczna, lodówka...*

— *Podobno warto wpisać rok produkcji telewizora i pralki* — dorzuca ktoś lepiej poinformowany.

— *Pewnie, że warto. Niech wiedzą, że nowe.*

— *I co jeszcze?*

— *Meble, futra, kozuchy, płaszcze ze skóry...*

Licytacja szybko wciąga milczącą większość, pękają bariery nieśmiałości. Gramy w amerykańskiego pokera bez żadnych oporów godząc się na haniebne reguły gry, wedle których dom przebija samochód, samochód przebija złoto, prywaciarz — inżyniera na państwowej posadzie, a dwoje dzieci ma większą wartość niż jedno dziecko. Gramy w amerykańskiego pokera ogarnięci hazardową gorączką wytrawnych graczy, chociaż w tej gangsterskiej grze jesteśmy tylko nędznymi pionkami. Gramy w amerykańskiego pokera, w którego gra się na klęczkach.

Licytację przerywa wejście studenta (łóżko w akademiku, stypendium).

— *Tak nie wolno!* — grzmi pojedynczy głos. — *Przeliczamy się na cegły, kawałki blachy, szmaty i kolorowe gałganki. Przecież tak nie wolno, to jest podłe.*

Pojedynczemu głosowi odpowiada zbiorowe milczenie.

— *Co oni z nas robią? Jutro każą nam liczyć gacie, a my co — będziemy liczyć?*

— *Pewnie będziemy* — deklaruje złotozębny góral. — *Inaczej zobaczymy nie Nowy Jork, a Nowy Sącz.*

— *Święta prawda* — popiera go anonimowy gracz. — *Polak jest dziadem, a dziadów strach wpuszczać do domu, bo mogą coś podwędzić. Z zamożnymi całkiem inna sprawa.*

— *Widocznie myślimy inaczej* — z rezygnacją stwierdza student i odchodzi bez pożegnania.

Odprowadza go uwaga kwiaciarki:

— *Harcerzyk.*

Amerykański poker trwa.

Po zmroku warszawskie taksówki dowożą przyjezdnych z Dworca Centralnego. Prawdziwy ruch zacznie się dopiero wtedy, gdy nadjadą pociągi z Suwałk i Tarnowa. Utrudzeni podróżą zdejmują buty i skarpetki, siedząc na gołej ziemi prują kozikami blaszane puszki z wieprzowiną. Roztopione masło cieknie po brudnych palcach, plami odświętne spodnie. Bezcenny jest łyk chłodnego napoju. Gdyby na skwerku rozbił kuchnię jakiś gastronomiczny agent, miałby murowany biznes aż do późnego rana. Troje ludzi i dziecko układają się do snu na marnym skrawku trawnika, ale spanie na zieleńcu miejskim ma to do siebie, że częstokroć kończy się mandatem. Dziś stołeczne hotele zgodnie odmawiają gościny krajowym tułaczom, a mocno podejrzane typy kręcące się wokół ambasady oferują mocno podejrzane kwatery za dwa tysiące złotych, albo za trzy dolary od łebka. Pokusa wygodnie spędzonej nocy jest wielka, lecz obwieszone złotem owieczki nie dają się zwieść obietnicom uprzejmych wilków i wolą bezpiecznie nocować w stadzie.

Ulica nazywa się Piękna, a powinna nazywać się Smutna. Fotografia tej ulicy mogłaby służyć za antyturystyczny plakat. Po prawej stronie, licząc od Alei Ujazdowskich, Szwajcaria (zabytkowa kamienica) przez płot graniczy z USA, po lewej jest Jugosławia. Między Ameryką i Europą skurczonymi do rozmiarów ambasad, siedząc, leżąc i drzemiąc koczuje już ponad sto osób. W Rzeszowie dziś było słonecznie, w Opolu i Lublinie również, za to na północy już siąpił deszcz. Pogoda bywa dobrym tematem na zagadanie bezsennej nocy, zaś rozmówcom można ufać, bo akurat przyjechali ze Szczecina, Rzeszowa i Opola.

— *Czemu tak leżycie na ziemi?* — zaczepia rozradowany przechodzień. — *Niech wam dadzą te śpiwory dla bezdomnych Murzynów.*

Jakoś nieskoro nam do śmiechu.

Z kuchni ambasady sączą się smakowite zapachy późnej kolacji, z okien mieszkań dyplomatów wypływa nastrojowa muzyka. Podchodzimy bliżej, żeby zobaczyć jak żyją Amerykanie. Pani z Kielc (mieszkanie, kolorowy telewizor, przedpłata na Poloneza), chciałaby u nich podawać do stołu. Jej przyjaciółka była już za oceanem, lecz niewiele potrafi powiedzieć o amerykańskim życiu, gdyż z trzymiesięcznego pobytu pamięta jedynie lotnisko i ciasny pokoik na zapleczu baru, bo po całodziennej robocie przy zmywaniu garów zasypiała kamiennym snem.

Numer sto siódmy, który zasapany forsownym marszem z dworca własnoręcznie wpisał się na listę, wygląda na człowieka szczęśliwego. Przed dwoma laty mniej więcej o tej samej porze roku był dokładnie czterysta dwudziesty i dlatego przedrzemał pod płotem trzy kolejne noce. Za to numer sto ósmy wcale nie jest chodzącym okazem radości, a nawet wręcz przeciwnie, gdyż numer sto ósmy skutkiem niewybaczalnego roztargnienia zostawił w domu dwie obowiązkowe fotografie. Ale na takich roztargnionych i na licznych niedoinformowanych gdzieś w bliskiej okolicy czeka dyżurny fotograf amator, który w zakonspirowanej pracowni ochoczo wykona superekspresową usługę. Trzeba go tylko odnaleźć, najlepiej z pomocą rodaków spod innych ambasad, ponieważ we własnym gronie obowiązują ostre zasady selekcji i nikt nie zważy interesu w podawaniu ręki słabszemu.

O świcie zaczyna padać, potem deszcz przechodzi w ulewę. Na Pięknej nie bardzo jest gdzie skryć się przed deszczem. Usiłujemy plecami przylepić się do ściany szwajcarskiej ambasady, bo tylko tam spadzisty dach daje odrobinę schronienia. Nie na długo. Z budki wartowniczej wybiega milicjant i każe odstąpić od szwajcarskiego muru. Posłusznie wypełniamy polecenie. O szóstej z równym posłuszeństwem poddajemy się wewnętrznej weryfikacji, która nosi nazwę pierwszego czytania. Pierwsze czytanie polega na głośnym wymienianiu kolejnych nazwisk z listy i na komisyjnym wykreślaniu tych, którzy nie stawili się na ceremonię pierwszego czytania. Komitet odrzuca wszelkie reklamacje. Wyroki są poparte zgodą sumiennie czekającej większości, czyli prawomocne.

Otwarcie bram do raju poprzedza dobra rada milicjantów, aby grzecznie ustawić się w ogonku, ponieważ Amerykanie bardzo lubią porządek. W takim szyku przechodzimy przez ulicę. Maszerowały tędy tysiące potencjalnych aniołów, wracały tysiące zweryfikowanych ciał i dusz. Kobiecie, która zbyt nerwowym ruchem zrywa sznur reprezentacyjnych korali, drobniutkie paciorki rozsypują się w kałużę. Zbiera je klęcząc w wodzie. Zasłonięte parawanami z kocy przebierają się damy, które hołdują tezie, że liczy się pierwsze wrażenie. Wchodzimy.

Amerykanie chcą z każdym rozmawiać na osobności. Właściwie nie rozmawiać, tylko oceniać i wydać szybki werdykt.

— O co pytali? — rzucam się ku pierwszym odrzuconym.

— *O nic. Po polsku to oni potrafią mówić chyba tylko „bardzo mi przykro".*

Z promiennym uśmiechem wychodzi średnio co szósty, przeważnie niemłody i przeważnie niemłoda. Nie ma pewniaków.

Obnoszący się szmalem grubas z prowincjonalnym wdziękiem pobrzękujący kluczykami od Mercedesa wychodzi z klepską miną. W szpetnej klątwie obraża matkę.

— *Wyłożyłem wszystko na stół* — zeznaje — *a on aż gwizdnął z zachwytu i mówi: „Amerykę to pan masz w Polsce". I nie dał wizy.*

Odtrącona wiejska kobieta, wykrzykuje imiona świętych, ale święci nie mają tutaj nic do powiedzenia. Podobnie jak większość młodych. Młodość budzi podejrzenia o niecne zamiary, z których szczególnie nagannym jest apetyt na amerykańską pracę. Tego selekcjonerzy nie ukrywają. W ambasadzie Francji wydano dziś wizy tylko garstce Polaków, Kanada była jeszcze bardziej ostrożna.

Ten mężczyzna nie ma jeszcze trzydziestu lat, ta kobieta taktownie licząc musi mieć dwa razy więcej. Trzymają się za ręce jak nastolatki. On czule mówi:

— *Rozalko* — choć z szacunku dla siwego włosa powinien mówić inaczej. — *Rozalko, czy twój brat, a mój szwagier dołączył do zaproszeń lotnicze bilety?*

Ona mówi do niego:

— *Kochanie* — choć z pedagogicznych powodów powinna mówić inaczej. — *Ależ tak, kochanie, za miesiąc już będziemy w Chicago....*

Amerykański poker trwa.

Bangkok

JULIAN BECK

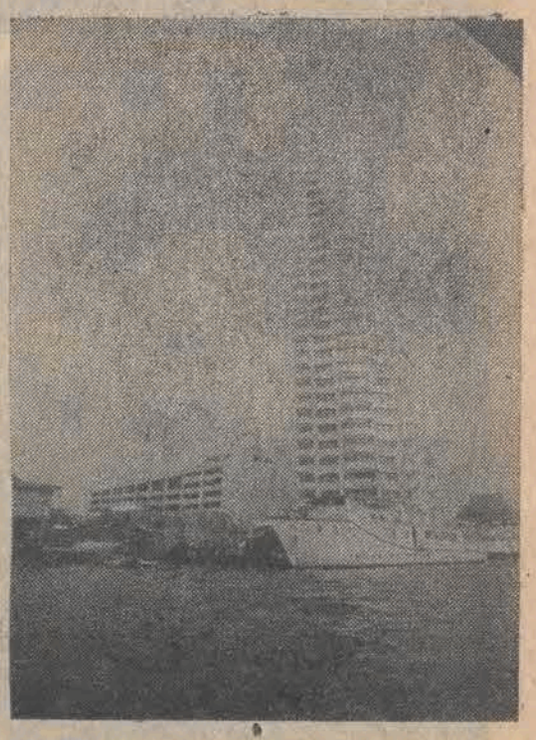

Czy grozi nam zasypanie makulaturą?

Biznes na śmieciach

Foto: Witold Werner

Wołano na nich „szmoty". Docierali do najbardziej odległych zakątków miast i wiosek, wyposażeni w nieodłączny wózek, obiecywali „złote góry", czyli najczęściej garnki i rondle za starą odzież i wszelkie niepotrzebne resztki materiałów. A poprzedzał ich zwykle tłum dzieciaków i donośny zaśpiew: „Szmot, szmot!! Stare szmaty, gałgany — kupuuu..."

Z czasem zniknęli, a w miejski krajobraz wpisane zostały rozmaite „zbiornice" i „ruchome punkty skupu". Z czasem zaczęliśmy do nich odstawiać coraz większe ilości owych surowców wtórnych, harcerze i szkolna dziatwa z coraz większym zapałem zaczęli przerzucać strychy i piwnice — w poszukiwaniu zaginionej kartki papieru. Nudnawym i powtarzającym się hasełkom w rodzaju „Zbierając makulaturę — chronisz lasy" **przyszedł niespodziewanie w sukurs... gospodarczy kryzys. Rychło okazało się, że paczka ze starymi gazetami upoważnia nas do nabycia prawdziwych rarytasów — a to: skarpet, materiału typu „sztruks", rajtuz, artykułów gospodarstwa domowego. Zaś sprzedaży firmy, która w tym roku powinna sięgnąć 1600—1800 milionów złotych, co powinno dać około 180 milionów zysku.**

— Nie najgorzej myślę?

— Ja też tak myślę, ale ponieważ jestem poważną firmą, to 65 procent tej kwoty odprowadzić muszę do budżetu tytułem podatku dochodowego.

— Jako jedno z szesnastu podobnych Okręgowych Przedsiębiorstw Surowców Wtórnych, działające na obszarze czterech województw, czym się pańskie wyróżnia?

— Największym skupem w przeliczeniu na jednego mieszkańca choćby. Pierwszy z brzegu przykład: w grupie tak zwanych surowców niemetalicznych — my w pierwszym kwartale 9 kilogramów na jednego mieszkańca, następna, Warszawa — niecałe 6 kilogramów. W samej makulaturze — my około 6 kilogramów, oni — niecałe 5 kilogramów. W innych grupach, jak choćby w odpadach włókienniczych, porównanie jest jeszcze bardziej dla nas korzystne.

— Nie wypada nie spytać, jakimi metodami osiągnęliście wspomniane efekty. Chyba nie obroty punktów skupu jeszcze bardziej przybrały na sile, gdy zaczął się w nich pojawiać tak niedostępny w sprzedaży towar jak papier toaletowy!

— Te prozaiczne roleczki, to był wspaniały pomysł! Kolejny przejaw triumfu starej jak świat metody handlowania: towar za towar. Słyszałem, że jak nie macie papieru toaletowego w punktach, to ludzie nie chcą oddać makulatury?

— Zdarzają się takie przypadki — **dyrektor handlowy łódzkiego „WTÓRPOLU" — LESZEK DOBROGOSZCZ skwapliwie potwierdza — a** w tym roku sprzedamy około 10 milionów rolek. Jako ciekawostkę mogę tylko dodać, że co dostawa — to wyższa cena i co zakład — też inna. Klienci mają do nas pretensje, a to przecież nie nasza wina...

— Duże są te rozbieżności w cenach?

— Spore, jak na tego typu towar. Dawno już odeszliśmy od tych 15 czy 16 złotych i obecnie sprzedajemy papier po minimum 20 złotych za rolkę. Mamy także po 24 złote i po 28 — też. A papier wciąż ten sam, nie najwyższej jakości.

— Panie dyrektorze, skoro handel tak dobrze wam idzie, to w oficjalnej, gospodarczej nomenklaturze uważani też za przedsiębiorstwo handlowe jesteście?

— O, nie! Dawno, dawno temu byliśmy niedocenianym przemysłem terenowym, potem — zaliczano nas do handlu, obecnie, w dobie reformy, zaliczamy się do Wielkiego Przemysłu. Niech pan to zaznaczy z dużej litery, bo rozliczani jesteśmy identycznie jak Żerań, Huta Katowice czy łódzka Elta" choćby.

— Brawo! A cóż to oznacza w praktyce?

— Wstydzić się nie ma czego. Efektem coraz lepszego wykorzystania surowców wtórnych jest choćby wielkość **wyłącznie przez rozwój sieci waszych punktów skupu?**

— Punktów skupu mamy obecnie ponad sto, ale nie o ich nieograniczony rozwój chodzi. O ostatecznym powodzeniu decyduje na pewno aktywność naszych agentów, atrakcyjny towar do wspomnianego już handlu wymiennego, ale przede wszystkim — przełamywanie stereotypów w myśleniu.

— Surowce wtórne, to wciąż wstydliwy temat?

— Właśnie. To wciąż dla wielu „tylko" szmaty, brudne szklane pojemniki, nikomu niepotrzebne, bezużyteczne śmiecie, papierzyska, których ostatnia droga powinna prowadzić wyłącznie na wysypisko. Podobno Japończycy blisko 30 procent dochodu narodowego „wyciągają" z zagospodarowania surowców wtórnych, słyszał pan?

— Nie, to chyba plotka... Ale i u nas nie jest już tak źle. Lata propagandy zrobiły swoje i na brak makulatury chyba nie możecie narzekać. A nawet wręcz przeciwnie...

— To cier sprawa...

— Dlaczego „cienka"? Walmy śmiało! Przecież ta sytuacja powtarza się cyklicznie, niemal co roku. Raz brakuje makulatury, po czym nas zasypuje, uruchamiamy eksport, po czym znów brakuje i tak dalej. Jaki etap przeżywamy aktualnie?

— No więc aktualnie mamy jej nadmiar. I nie bardzo wiadomo, co zrobić z wciąż rosnącymi zapasami, bowiem praktycznie wszystkie zakłady celulozowo-papiernicze wstrzymały odbiór makulatury.

— Brawo! W poprzednich latach takim wentylem bezpieczeństwa był eksport...

— On istnieje, ja też planuję wysłać około 5 tysięcy ton do Austrii i Jugosławii, ale w tym roku szlaban podniesiono nam dopiero w maju.

— Dlaczego?

— Bowiem wcześniej przekanie naszych klientów do dalszego gromadzenia makulatury.

— Jakie rozsądne wyjście?

— Tylko intensyfikacja eksportu.

— Nie tak dawno, w czasie reporterskiej wizyty w zakładach papierniczych w Mińkowie dowiedziałem się, że makulatura jest fatalnej jakości, w każdej ze swych klas, a dostawy z Łodzi, bynajmniej nie wyróżniają się in plus na tym tle...

— Wie pan, papiernicy najchętniej przyjmowaliby tylko poukładaną i pociętą tekturkę falistą oraz białe ścinki drukarskie. Makulatury jest nadmiar, więc wybrzydzają i przebierają jak w gruszkach. Do niedawna, tak na marginesie, podobna sytuacja była ze szkłem, huty kręciły nosem niemal na każdą dostawę. Ale koszty nadmiernego zużycia energii (wykorzystując do produkcji stłuczkę szklaną zaoszczędzają ponad połowę energii elektrycznej) sprawiły, że bardziej przychylnym okiem patrzą na naszą robotę, a nawet — co było kiedyś nie do pomyślenia — biorą bez słowa szkło kolorowe.

— Jak to miło, że wspomniał pan o butelkach. Wiem, że skupujecie wszystkie tworzywa, wszystkie metale kolorowe, ale butelki wyłącznie typowe. Nadal więc, ku uciesze wielu kabaretowych tekściarzy, sprawa skupu butelek nie jest rozwiązana.

— I nie będzie przede wszystkim tak długo, jak długo nie będzie wyraźnej różnicy między ceną słoika czy butelki starej a nowej, przywiezionej prosto z huty. To jest sprawa podstawowa. Ale łódzki „Wtórpol" w tych dniach wychodzi na ulice — w sensie dosłownym — z kolejnym pomysłem.

— Drgnęło w opakowaniach szklanych?

— **Może drgnie. Na razie ustawiamy w najbardziej ruchliwych punktach handlowych miasta kilkadziesiąt dużych, 500-litrowych pojemników, w które każdy będzie mógł wrzucać niepotrzebne szklane pojemniki, wszelkiej maści i zastosowania.**

— Rozumiem, zawsze nieco mniej szkła pojedzie na wysypiska. A jakież są efekty innej waszej akcji, nazwanej „kapslową"?

— Rzeczywiście, rozkręciliśmy to pierwsi w kraju na tak szeroką skalę — **uzupełnia kierownik działu skupu firmy — JAN SIRA.** — Wszelkich odpadów aluminiowych zebraliśmy w 1986 roku ponad 10 tysięcy kilogramów i minimum tyleż samo powinniśmy zgromadzić w roku bieżącym. A mówiąc o nowościach chcę tylko dodać, że uruchomiliśmy już kolejną operację: zbiórkę w sklepach chemicznych i gospodarstwa domowego wszelkiego typu opakowań po różnego typu środkach od prania, zmywania, sprzątania.

— Panie kierowniku, korzystając z pańskiej obecności, zaserwujmy Czytelnikom kilka cen za najczęściej dostarczane wam surowce. Wiem, że najlepiej płacicie za metale kolorowe i pewnie dlatego też miedź, mosiądz ołów przesyłacie do hut — samochodami...

— Jeszcze nie tak dawno jeździły koleją, ale podróże szlakami PKP są szalenie męczące i część towaru często „parowała". Od jakich cen zaczynamy?

— Za co płacicie najlepiej?

— Bodaj za miedź — 67 złotych za kilogram; złom aluminiowy przyjmujemy po 35 złotych za kilogram, a akumulatorowy — płacąc po 17 złotych.

— Aktualna cena za kilogram makulatury?

— 8 złotych.

— A za szmaty, pardon — surowce wtórne odzieżowe czyli włókiennicze?

— Od 3 do 30 złotych za kilogram, przy czym trzeba zaznaczyć, że te najwyższe kwoty płacimy za surowiec wełniany czy anilanę, nadające się do dalszego przerobu.

— Bawełny nie chcecie?

— To nie my tu decydujemy, tylko przemysł, który od nas te surowce zabiera. A oni za bawełną nie szaleją, bowiem są to zwykle różnego typu mieszanki, prawdziwej 100-procentowej bawełny (mimo napisów na metkach) praktycznie się nie spotyka.

— Jakich jeszcze surowców nie chcecie, to znaczy nie kupujecie, z grup już wymienionych?

— Choćby wszelkich papierów podlepianych folią, bitexowanych, smołowanych, a ze „szmat" — to też pewnie ciekawostka — kurtek ortalionowych.

— Nie nadają się już do dalszego przerobu?

— Nie, zbyt dużo zawierają nie dających się oddzielić warstw rozmaitych surowców.

— A złom (?!) dętkowy?

— 20 złotych za kilogram.

— A odpady z tworzyw sztucznych?

— 25 złotych za taką samą porcję.

— To na razie dziękuję. Ale mam jeszcze pytanie z innej „beczki". Panie dyrektorze: skoro uważa się was za Wielki Przemysł — to macie i własną produkcję. Niech pan przybliży Czytelnikom termin przetwórstwo, które „Wtórpolu" łódzkiego dotyczy szczególnie.

— W największym skrócie: produkujemy rocznie około 3 milionów metrów kwadratowych włóknin przeszywanych dla przemysłu odzieżowego i meblarskiego. Dalej — 400 ton wat termoizolacyjnych i 400 ton wat kołdrowych. Produkujemy tarcze i szczotki polerskie dla kombinatu „Gerlach" i — na eksport — kilkadziesiąt tysięcy rocznie poduszek meblowych dla firmy IKEA.

— Ponoć jesteście krajowym potentatem w... materacach?

— To fakt. I między innymi zapewniamy, jak to się ładnie określa, „pełne pokrycie potrzeb biwakowo-obozowych" wszystkich harcerskich hufców w kraju.

— Ogólnie więc jest dobrze lub bardzo dobrze pod warunkiem, że nie utoniemy w makulaturze?

— Myślę, że nie utoniemy, eksport przywróci nieco równowagę. Towar czeka, a podobno są nam strasznie potrzebne dewizy...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

„Lato z radiem" w Arturówku

WITOLD WERNER

ze str. 1

le porozumienie. Cynk ocierał z twarzy ślinę, pot i krew, i chrypiał jak zardzewiałe żelastwo:

— *Podobasz mi się, podobasz! Nie kopłeś mnie, jak leżałem!*

2.

Osobiście nie ma dla mnie straszniejszej rzeczy niż kopnąć w twarz człowieka, zwłaszcza, kiedy człowiek leży i nie może się bronić. Zostawmy jednak tę kwestię w spokoju. Otóż ostatniego Sylwestra nad ranem po raz drugi ujrzałem Pistola w akcji na dziedzińcu pewnego przedsię-

Pistol

biorstwa, w którym niegdyś pracowałem i które urządziło noworoczny bal.

Było na tym balu więcej obcych niż swoich, bo nie każdego stać na zaproszenie za kilka tysięcy. Poszedłem. Dokuczała mi samotność. Nie mam żony. Nigdy nie miałem. Nie cierpię specjalnie z tego powodu, ale Nowy Rok to wyjątkowa okoliczność — smutno siedzieć samemu w domu, wyją ściany, skamle dusza. Towarzyszyła mi koleżanka z biura, na temat której wolałbym nie plotkować; co za różnica, czy była brzydka czy ładna, ważne, że zapłaciła za siebie. Siedzieliśmy niby przy tym samym stoliku i tworzyliśmy tak zwaną parę, ale w rzeczywistości każde z nas szukało swojej szansy — ona przynajmniej senatora Kennedy'ego a ja normalnej, skromnej, pozbawionej fochów kobiety.

Był to oczywiście z mojej strony błąd. Żadna przybywająca na bal sylwestrowy kobieta nie jest pozbawiona fochów, bo jakby była, to by siedziała w domu i robiła na drutach, zamiast wywijać tylkiem na parkiecie, a w przerwach obżerać się, chlać i toczyć jad zazdrości na widok każdej lepiej ubranej i bardziej urodziwej niewiasty. Najszpetniejsze pudło na balu sylwestrowym rości sobie jakieś tam pretensje, o czym świadczą dowodnie noworoczne konkursy piękności. Pchają się na tapetę stare i młode, ściochrane życiem straszydła, a te, co naprawdę przejawiają trochę wdzięku siedzą w kącie słusznie przewidując, że i tak królową zostanie ta osobniczka, której mąż ma większe chody i więcej pieniędzy.

Wepchnięto zatem na estradę żonę dyrektora, żonę głównego księgowego, konkubinę znanego łódzkiego fryzjera z taką szopą włosów na głowie, że stawał jako żywo przed oczami wilgotny lekko od deszczu stóg siana; wepchnięto połowice różnych przemysłowców i kanciarzy, handlowców i wytwórców lemoniady. Aż ciary ciągnęły po krzyżu na widok tych pań i tych panów starających się za wszelką cenę zblantować muzyków i konferansjera, oni to bowiem mieli rozsądzić, która dama najpiękniejszą między białogłowy.

Do północy towarzystwo trzymało się jakoś, ale po dwunastej, kiedy zabawa wjechała już na dobre w Nowy Rok, mężczyźni zaczęli wyciągać z różnych skrytek dodatkowe kontyngenty alkoholu i żłopać z takim animuszem, że niebawem któryś zrzygał się nieprzystojnie.

Wtedy to właśnie, około trzeciej nad ranem nastąpiło uroczyste rozstrzygnięcie hecy pod tytułem „Królowa Balu". Została nią, jak nietrudno odgadnąć, żona pana dyrektora, w przeciwnym bowiem wypadku orkiestranci i domorosły konferansjer, działający na co dzień w zakładowej bibliotece, nie otrzymaliby prawdopodobnie wypłaty, a kariera wielu innych zmuszonych do głosowania pracowników fabryki uległaby zamrożeniu.

Dyrektorowa to dyrektorowa, psiakrew! Z tym musieli pogodzić się wszyscy. Wszelako do obsadzenia pozostały jeszcze stolce pierwszej i drugiej wicemiss balu i tu poszło już na noże. Różne śpiski i knowania przyniosły rezultaty szokujące — wyróżniono dwudziestoparoletniego koczkodana, wywodzącego się wedle szemranej opinii ze sfer wolnokioskowych i trzydziestoletnią mniej więcej szprychę od pomidorów. Jeśli nawet nos tej ostatniej był trochę mniejszy od fabrycznego komina, zdobiły go takie same wągry i pory oraz taka sama, zdecydowana czarna faktura.

Nigdy bym nie przypuszczał, że ktoś mógł wziąć tę maskaradę poważnie. Nagle zobaczyłem, że niektóre skrachowane kandydatki mają oczy czerwone od łez. A potem podsłuchałem na korytarzu dialog między jakimś badylarskim, najwyraźniej zwaśnionym małżeństwem.

Ona: — *Ty jesteś chłop?*

On: — *Stul japę!*

Ona: — *Rura od barszczu jesteś nie chłop! Pozwoliłeś, żeby ta pinda od tomatów wciągnęła się w pejżaż!*

On: — *Stul japę!*

Ona: — *Idź że ty, kapuściaku! Nic nie robisz, siedzisz na moim, gdyby nie ja, gniłbyś teraz w rynsztoku albo w pudle. Cwaniaczek! Ura-bura się znalazł, ale jak trzeba coś załatwić, to cię nie ma.*

On: — *Stul japę, Magda, bo jak strzelę, to ci się rozum trzy razy między uszami okręci.*

Ona: — *Spróbuj tylko. No, uderz, uderz! Ty bandziorze...*

Mężczyzna nie dał się długo prosić: wzniósł ramię, zacisnął pięść i byłby trzasnął, ale dojrzał mnie raptem i pofolgował. Wziąwszy kobietę pod pachę wprowadził ją na powrót do sali. Jakeśmy się mijali, łypnął i nie było to przyjemne. Poznałem go wtedy. W krawacie, w białej koszuli, w modnej marynarce z perłowymi guzikami niczym nie przypominał Pistola spod „Savoyu". Przedstawiał jednak Pistola w swojej własnej osobie. Zrozumiałem wówczas, że Pistol musiał bogato się wżenić, co nie zdziwiło mnie specjalnie. Córki prywaciarzy chętnie polują na artystów, lecz przejawiają również słabość do chuliganów, którym udało się zdobyć w mieście mołojecką sławę. Bardzo dużo takich małżeństw spotkasz w Łodzi. Nieraz ura—bura pozwala się utemperować żonie i teściowi, aby wpaść w wir interesów i rozpocząć nowe, pracowite życie, ale bywa i tak, że szarpie wędzidło odkrywszy, iż dostatnia egzystencja na łonie rodziny może być niesłychanie monotonna i nudna.

Pistol podzielał chyba tę opinię. Nudził się najwyraźniej przy trzech połączonych stolikach obsadzonych przez zamożnych przedsiębiorców, ziewał na parkiecie, gdzie obtańcowywał z poduszczenia żony obwieszone złotem szympansice. Obserwowałem go dyskretnie, a on to czuł; strzelił we mnie raz i drugi okiem, jakby chciał powiedzieć: — Odwróć wzrok i zapomnij o tym, co słyszałeś, facet, bo dam klapsa!

Próbowałem zastosować się do tej sugestii, ale ciągnął mnie do niego jakiś magnes. Czułem, że dojrzewa awantura. Oszukane w swoim świętym przekonaniu kandydatki do szarfy wicekrólowych balu nie pogodziły się jeszcze z haniebnym werdyktem, tymczasem wyróżnione czupiradła, wyjąwszy skromną i zażenowaną połowicę dyrektora obniosły z podniesionym czołem swój tryumf, który był również w pewnym stopniu tryumfem ich mężów — czerwone i butne mieli mordy, ich śmiech grzmiał jak lawina w górach; spoglądali na stolik Pistola wyniośle, prowokując go bez ochyby.

Prawdziwy uliczny gracz znajduje w takich prowokacjach przyjemność, która graniczy o miedzę z rozkoszą. Pistol miał się niebawem przyznać do tego przede mną i porównać to z rozkoszą przedłużonego orgazmu. Grasz z przeciwnikiem w chujki, udajesz gościa, który jest apetyczny, obojętny, zapatrzony w niewidoczny horyzont i tak spokojny, że nie zdoła go wyprowadzić z równowagi żaden szmaciarz. Widząc to, przeciwnik dostaje małpiego rozumu i podwaja wysiłki, myli się bowiem ten, kto sądzi, że badylarstwu wystarczy bogactwo. Po tośmy zarobili pieniądze, po tośmy kupili mercedesa, wideo i komputer, po tośmy wysłali córkę na korty tenisowe, a syna do Łagiewnik na koniki, żeby ugiąć przed wami kark, kurwa fałszywa? Jeden wyłazi ze skóry, aby przebić drugiego — każdy chce być ważniejszy, lepszy i jak już udało się któremuś zdobyć dla żony koronę, trzeba to uznać.

Pistol jednakże, aczkolwiek wrzała w nim krew, krążył pogodnie z żoną po parkiecie, a żona była odęta. Wzgardliwe spojrzenie, jakim mierzyła drugą i trzecią piękność nocy, wyrażało jedną klarowną myśl: nie cieszta się, łachudry, bo i tak jezdem lepsza! Wicemiss, która zamiast nosa miała komin, piorunowała żonę Pistola wzrokiem: drobne jak główki szpilek źrenice miotały śmiercionośne pociski, a nienawiść doszła do takiego punktu, że nie zdzierżyła i z całej siły potrąciła Pistolową biodrem.

Pistolowa powiedziała wówczas głośno do męża:

— *Juras, ona się czepia!*

Pistol widział rzecz jasna incydent, lecz wciąż jeszcze grał w chujki.

— *Kto?*

— *Jadźka!* — wycelowała w rywalkę czołem. — *Strzel ją w komin!*

— *W komin!?* — zawrzasnęła wicemiss usiłując zatuszować oburzenie nieszczerym z lekka histerycznym śmiechem. — *Sama masz komin!*

Na to dictum wargi Pistolowej wygięły się w jeszcze wzgardliwszy łuk.

— *Do szpitala pod nóż, mazepo! Zamiast ładować pieniądze w przekupstwa, składaj lepiej na operację plastyczną.*

Wicemiss porzuciła męża i runęłaby zapewne na Pistolową z pazurami, ale Pistol powstrzymał ją w biegu.

— *Spokojnie, pani Jadziu, spokojnie* — szepnął tonem zadumanym i słodkim, po czym zwrócił się do męża znieważonej piękności: — *skoro jeżeli mamy nowy rok, to człowiek człowiekowi powinien być bratem, nie tygrysem. Zwróć pan, panie Ramajdziński, uwagę żonie, żeby nie zaczepiała innych w trakcie jak się tańczy.*

— *Sam pan zwróć uwagę swojej żonie jak ma się zachować w inteligentnym gronie* — walnął do wiersza czerwony z gniewu szachraj, któremu pośpieszyło z pomocą dwóch innych specjalistów od przekupywania urzędników państwowych. Wszyscy trzej mieli teraz pyski czerwone od gniewu, a Ramajdziński krzyczał: — *Słyszałeś pan?! Tu nie jest pijalnia piwa ani żadna speluna! Jak ktoś nie umie się zachować w inteligentnym towarzystwie, to do domu!*

— *Oj, panie Ramajdziński, panie Ramajdziński* — mówił Pistol pełnym ubolewania głosem. Ramiona miał opuszczone, ale drgnęły lekko i w tym samym momencie szachraj zaryczał przeraźliwie. W chwilę później zaryczeli po kolei specjaliści od przekupywania urzędników państwowych.

Nikt nie wiedział, co się stało, gdyż, jako rzekłem, Pistol trzymał ramiona spokojnie i nisko. Okazało się z czasem, że posługiwał się nogą. Podginał stopę do góry i strzelał kantem obcasa w stopy przeciwników mierząc tam, gdzie pod delikatną skórką wizytowego obuwia były palce. Wytresował to uderzenie do perfekcji. Najlepszy judoka i karacista zbledną od bólu otrzymawszy takie uderzenie. Trzeba było posłuchać, jak tych trzech ryczało! Łzy ciekły im po twarzy. Podskakiwali na jednej nodze, próbując rozmasować drugą. Pokuśtykali do stolików, ściągając na chybcika buty i skarpetki.

Na tym skończyła się pierwsza runda. Czekała nas jeszcze druga. Nie żywiłem co do tego wątpliwości, widząc, iż do stolika poszkodowanych zmierza inny łódzki urkes, który, jak szeptano po kątach, miał do Pistola urazę, w związku z czym ochotnie zaproponował prywaciarzom swoje usługi.

REMIGIUSZ CAŁOPAŁEK

C.D.N.

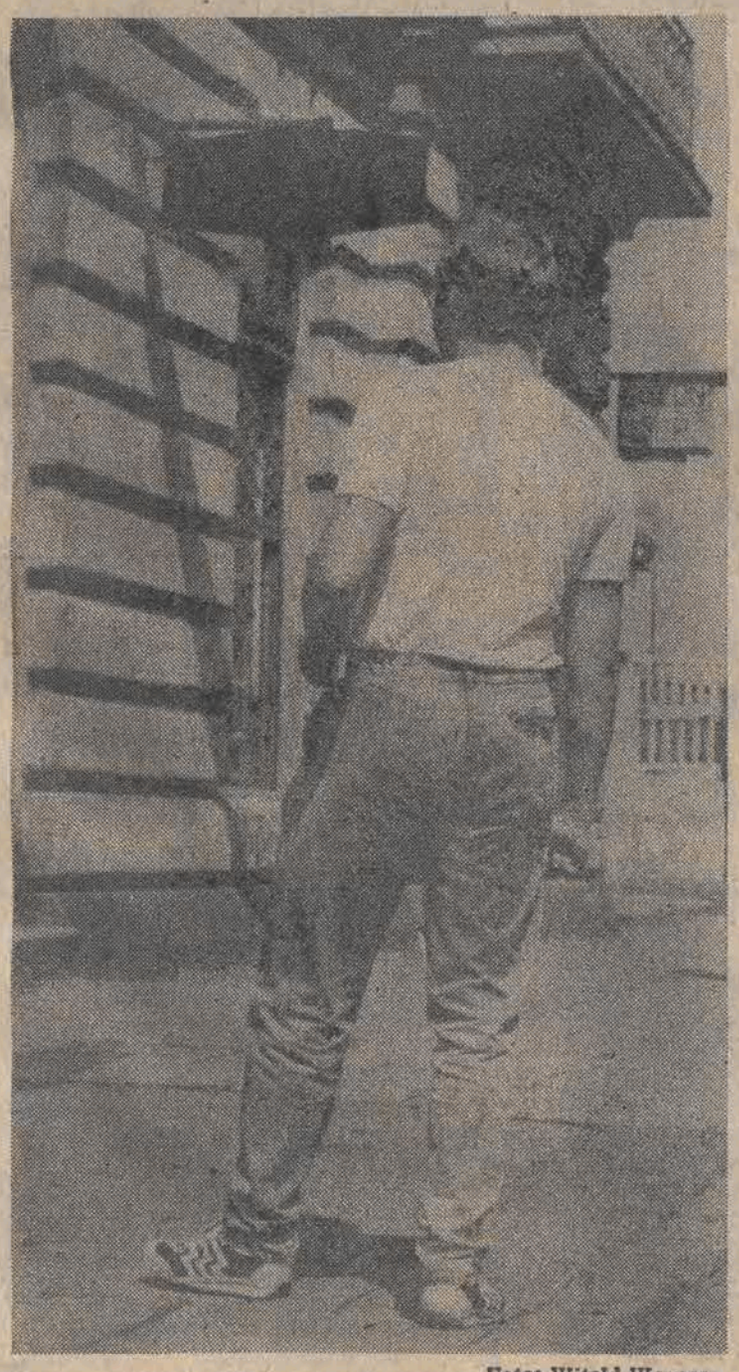

Foto: Witold Werner

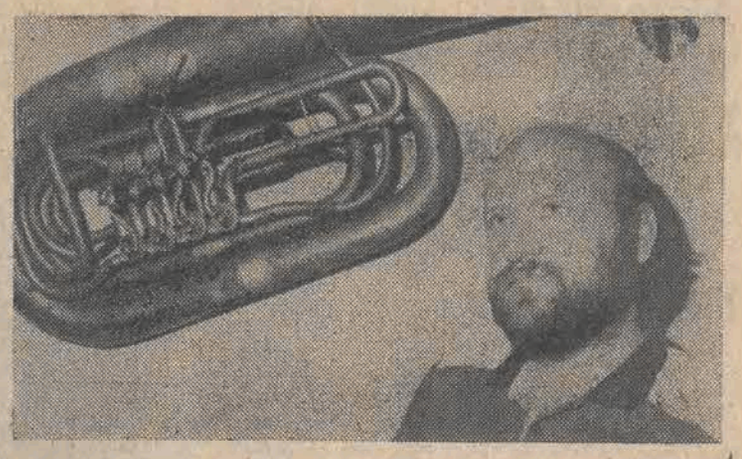

Mówi: Maciej Jaworski

— Jak określiłbyś najkrócej to, czym zajmujesz się zawodowo?

— W Polskim Stowarzyszeniu Jazzowym używa się określenia organizator życia muzycznego. Co prawda nie figuruje ono jeszcze w Polsce na oficjalnej liście zawodów, ale doskonale oddaje właśnie to, co robię.

— Choć należysz do pokolenia 30-latków, masz już za sobą dosyć bogatą karierę. Czy mógłbyś przypomnieć, jakie zajmowałeś dotąd stanowiska?

— Byłem przewodniczącym Komisji Kultury ZL SZSP, potem inicjatorem i założycielem Łódzkiego Klubu Jazzowego. Następnie utworzyłem delegaturę Agencji Koncertowej PSJ w Łodzi i stanąłem na jej czele jako dyrektor i ostatnio, w lutym 1987 roku zostałem wybrany wiceprezesem Oddziału Łódzkiego PSJ, którego powołanie również zainicjowałem — oczywiście nie sam, gdyż przez cały czas towarzyszyło mi grono ludzi tak jak ja oddanych muzyce.

— Zaczynałeś dosyć typowo, to znaczy od słuchania płyt z muzyką rockową...

— Tak, jestem jednym z tych jazzfanów, którzy dotarli do jazzu poprzez muzykę rockową — najpierw tę prostą od Beatlesów poczynając, poprzez coraz trudniejszą, coraz bardziej wyrafinowaną...

A zaczęło się to od miłości do muzyki jako takiej, od kolekcjonowania płyt, chodzenia na koncerty.

— No tak, ale muzyką rockową i jazzową interesują się tysiące młodych ludzi i nic z tego nie wynika. W twoim przypadku było inaczej. Co o tym zadecydowało?

— Mówi się, że gdy ktoś kocha muzykę, to w pierwszym rzędzie chce być dobrym jej wykonawcą; jeśli nie może — dobrym dyrygentem; jeśli i to mu nie wychodzi — krytykiem muzycznym. Być może jest to krzywdzące dla wielu ludzi, ale kryje się w tym pewna prawidłowość. Otóż ja nie mogąc być ani dobrym muzykiem, ani dobrym dyrygentem, ani krytykiem, postanowiłem zostać organizatorem, by z jednej strony umożliwiać muzykom jazzowym granie, a z drugiej — jazzfanom słuchanie.

Gdy ja chodziłem jeszcze do liceum, w Łodzi nie odbywało się zbyt wiele koncertów jazzowych, rzadko przyjeżdżali tu najlepsi jazzmani, a takich właśnie ja i wielu moich kolegów chciało zobaczyć. Trzeba więc było samemu pomyśleć, co zrobić, aby ich tu ściągnąć.

— Pierwsze działania organizacyjne podjąłeś właśnie w liceum...

— Rzeczywiście, można by tak powiedzieć. Byłem jednym z tych uczniów, którzy montowali programy muzyczne, prezentowane przez szkolny radiowęzeł na dużej przerwie. Pamiętam, nagrywaliśmy je na bardzo prymitywnym sprzęcie, który wtedy wydawał się nam szczytem techniki, a komentarze na taśmie do muzyki z płyt robiłem w szafie pełnej ubrań, gdyż tam znalazłem najlepsze z dostępnych mi warunki akustyczne.

— A nie próbowałeś grać na jakimś instrumencie?

— Próbowałem — na flecie. Miałem nawet niezłych nauczycieli, ale wziąłem się za to zbyt późno, by móc kiedykolwiek dorównać moim ówczesnym bożyszczom: Harbie Mannowi czy Ianowi Andersonowi. Zrezygnowałem więc z grania, ale nie zrezygnowałem z muzyki.

— Czy uważasz się za znawcę jazzu?

— Bynajmniej i nieraz, gdy mnie proszono o wyrażenie swoich opinii choćby z racji pełnionych stanowisk, które wymieniłem, zawsze zaznaczałem, że nie jestem ekspertem od rocka czy jazzu, a jedynie człowiekiem może nieco bardziej od innych osłuchanym z tymi gatunkami; to wszystko. Po prostu nie mam teoretycznego przygotowania, czyli — wykształcenia muzycznego.

— Wiele koncertów i imprez jazzowych w Łodzi odbyło się przede wszystkim dlatego, że to ty chciałeś je zorganizować i zorganizowałeś.

— Byłbym nieszczery, zaprzeczając.

— Interesuje mnie, na ile twoje prywatne upodobania muzyczne odbiły się na kształcie tych koncertów?

— Moja działalność ma charakter usługowy, w pierwszym rzędzie muszę się więc liczyć z gustami i upodobaniami publiczności. Dlatego też np. ściągnąłem do Łodzi czołówkę polskiego jazzu tradycyjnego mimo, że nie jestem osobiście tym gatunkiem zachwycony. Uważam po prostu, że jest on już martwy, nie rozwija się, co jednak wcale nie znaczy, iż nie należy podchodzić do niego z szacunkiem. Ale generalnie zawsze starałem się pokazać łódzkiej publiczności głównie tych wykonawców, którzy mnie się podobają. I wcale nie boję się do tego przyznać, jakkolwiek w dużej mierze czyniłem to podświadomie.

— A czy są wykonawcy, których zdecydowanie nie chciałbyś zaprezentować słuchaczom?

— W zasadzie nie, gdyż uważam, że to, co podoba się mnie nie musi podobać się innym i na odwrót. Są jednak takie zespoły spod znaku muzyki punk, czy heavy metal, które — moim zdaniem — bazują na dorabianiu ideologii do własnego nieuctwa, braku warsztatu itd., i tu rzeczywiście byłbym najdalszy od zamiaru robienia im reklamy. To samo zresztą dotyczy jazzu. Krótko mówiąc, najpierw trzeba nauczyć się grać, a dopiero potem zabiegać o występy. W muzyce najbardziej nie lubię partactwa.

— Słyszałem, że za to ty nie jesteś ostatnio zbyt lubiany w Warszawie.

— Istotnie, koledzy z Warszawskiego Oddziału PSJ, któremu do niedawna podlegaliśmy, wiele mieli mi za złe, a głównie to, że działamy lepiej od nich, o czym świadczy choćby fakt, iż my zamknęliśmy ubiegły rok z niewielkim co prawda, ale jednak zyskiem, podczas gdy oni — z 6,5-milionowym deficytem. Doprowadzili nawet do zawieszenia mnie w czynnościach dyrektora Agencji Koncertowej w Łodzi — wbrew opinii publicznej i stanowisku Zarządu Głównego PSJ. Był to bezpardonowy faul, nawiasem mówiąc, wykonany równie nieudolnie jak cała działalność Warszawskiego Oddziału, za którą właśnie my mieliśmy głównie zapłacić. Na szczęście agencja znalazła się od niedawna w gestii nowo powstałego Łódzkiego Oddziału PSJ, którego członkowie wybrali mnie jego wiceprezesem, i teraz możemy już wreszcie pracować na nasz własny rachunek. Jeżeli chodzi o przyszłość jazzu w Łodzi, jestem więc raczej dobrej myśli.

— A czy po tym faulu nie myślałeś, żeby się wycofać? Nie miałeś dosyć pomówień, oszczerstw, szykan?

— Miałem i nawet najbliżsi radzili mi zajęcie się sprzedażą pietruszki czy pracą na wtryskarce, bo z tego są przynajmniej pieniądze. Ale chyba za mało dostałem po głowie, abym potrafił rozstać się z tym, co zawsze chciałem robić i co robię.

— Mimo to, bywasz przecież zmęczony pracą, chcesz się od niej oderwać, odpocząć, zająć czymś innym.

— Oczywiście. Jak chyba każdy z nas.

— Czym więc najchętniej zajmujesz się w czasie wolnym?

— Nie zgadłbyś — słucham muzyki.

Rozmawiał: PAWEŁ TOMASZEWSKI

Marek Czuku

Wiersze szwedzkie

I

przecięty kreską Bałtyku
kresię obraz
wyjęty z trzewi
ostatniego listu

tam też są domy
i wiernie liżące
primadonny
dochowanego sekretu

tam
kąpiele nagie
w blasku
spadających kropli
kapitału

tam
sam — sobie — kreską
i punktem
za przybycie

II

raz — — —
widnokrąg marzeń
koloseum widoczności
wiatr — od — morza.
— — — — — — —
szumy na pasterce
wytatuowanych mew
jarmark postradanej
wyobraźni
— — — — — — —
dochodzi północ
pół — krok
pół — czekanie
odlot szczekających
hotelowych pająków
— — — — — — —
— — — — — — —
dwa — — —
rosnę możliwością
i schodzę
w pomnik zapatrzenia

III

wpadam barwą
w tłum rozedrganych postaci
i kroczę
pędziem światła
okradając ulice
z blasku

to różne
nazwałem
tak jak można stawiać kreski
w dokumencie

różność i wielokrotność.
w jednoczasie
zasypuje planę
między brzegami

IV

pokonać ramy
stać się roztańczoną
samowystarczalną plamą.
podgrzać krwiobieg
prądem telefonicznego kabla
wysycić ostatnie wargi
w antrakcie zapytania

polowałem
na szlachetne wiry
rozkręcone śrubą statku
na lotne skały
jarząc się
i spadające
w następność.

jeszcze czas
zanim uderzy
dzwon niepamięci
— — — — — — —
pędzon wiatrem.
zamykam drzwi
na zajutrze

V

goszczę pod niebem
które na — opak
spada
nie zostawiając
śladu

tako i ja
śladem żadnym
nie splamię
parcjalnego tabu

słowem ja
nie śladem
dotykam wymyślonego
i zamykam
zmilczenie

— — — — — — —
śladem pozostanę

VI

całe to widzenie
przez pryzmat
drugiego wcielenia
samo — siebie
wypełnia
wysypisko urobku
poznawalności

poszukiwanie
zakrzepłej kropli
na brzegu widoczności
dla pozór
kontrastu

ale nie tak
nie tyle
mnie szum na przystani
mnie przystań
nad wątpieniem

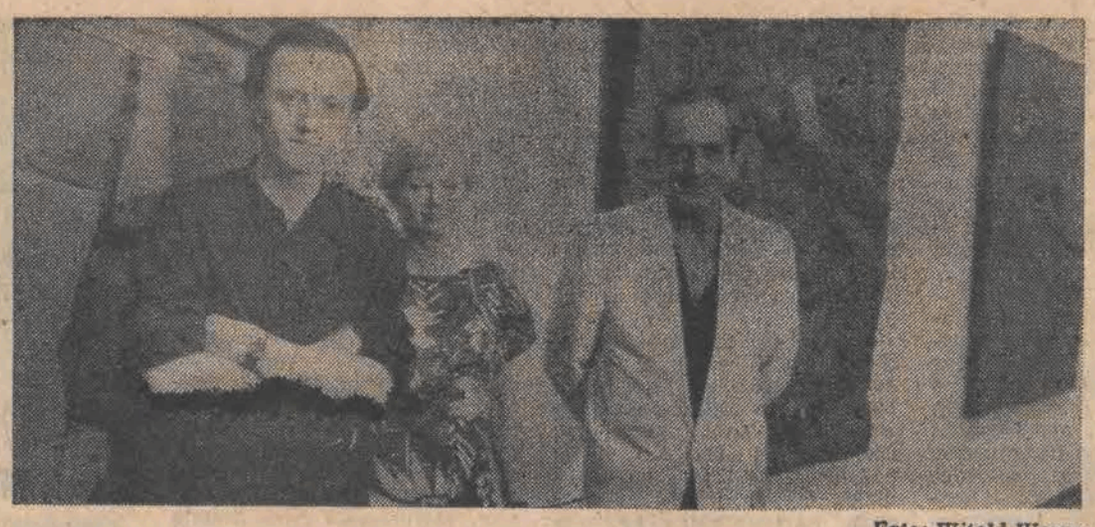

Foto: Witold Werner

Tysiąc portretów ziemi

„Wyobraźnia sama nigdy nie stworzyła ani nigdy nie stworzy dzieła sztuki, które wytrzymałoby konkurencję z naturą" — te słowa Johna Constable'a, jak mówi Mark Boyle, najtrafniej określają postawę artystyczną twórców (a właściwie twórcy, gdyż nad swymi dziełami pracują wspólnie), którymi są członkowie czteroosobowej rodziny Boyle — Mark, Joan Hills i ich dwoje dzieci — Georgia i Sebastian. Oni to właśnie są zbiorowym autorem eksponowanej obecnie w Muzeum Sztuki wystawy pt. „Boyle Family. Świat malarski rodziny Boyle".

Wystawa jest zaskakująca. W miejsce bowiem obrazów czy grafik znajdujemy umieszczone na ścianach płaskorzeźby będące jakby próbkami struktury ziemi — skał, piasku czy powierzchni terenów miejskich: fragmentów chodnika, spalonego wysypiska śmieci, ulicznego bruku.

W 1967 roku, na jednej ze swoich wystaw, artyści poprosili różne osoby, aby zasłoniwszy oczy rzucały strzałkami w mapę świata. W ten sposób dokonali wyboru, całkowicie przypadkowego, tysiąca miejsc na ziemi, których powierzchni dokładny wizerunek odtwarzają.

Zanim jednak rodzina Boyle rozpoczęła „podróż do powierzchni ziemi" (jak brzmiał tytuł *londyńskiej wystawy z 1969 roku*) Mark Boyle i Joan Hills próbowali penetrować nieco inne obszary rzeczywistości. To, co niedostępne na ogół ludzkiemu oku — obrazy reakcji chemicznych, procesów fizycznych, zachowań owadów, ukazywali przy pomocy nowoczesnego sprzętu technicznego, na przykład mikroskopowego projektora, posługując się parometrowej długości ekranem. Powiększone monstrualnie fotografie fragmentów włosów czy skóry, zaskakujące rysunkiem na swej powierzchni, tworzyły nową wizualną jakość. „Ziemia, powietrze, ogień i woda" to tytuł serii pokazów, będących efektem owych doświadczeń. Podobnych środków użyli artyści podczas cyklu performances zatytułowanego „Cielesne płyny i funkcje", gdy mikroskopowy projektor ukazywał na wielkim ekranie obraz barw, struktur i ruchu elementów naturalnych ludzkich wydzielin.

Tego rodzaju doświadczenia zbieżne były z twórczością artystów spod znaku sztuki informel, którzy w sposób mniej lub bardziej świadomy nawiązywali do tejże właśnie rzeczywistości — bądź to niedostępnej gołemu oku, bądź odkrywanej w jej nowej poetyce. Artyści ci podnosili do rangi sztuki przedmioty wydobyte z otoczenia lub też odtworzone z wielką dbałością o identyczność z pierwowzorem; stąd jeden był już tylko krok do hiperrealizmu. Twórczość rodziny Boyle wyrasta zapewne z ducha sztuki tych właśnie lat.

Do jakich granic może posunąć się obiektywizm w sztuce, by nie stała się ona li tylko imitacją natury? Czy nazbyt daleko posunięty weryzm nie grozi artyście, że stanie się on jedynie odtwórcą, rzemieślnikiem? Sądzę, że takie pytania mimo wszystko nasunęły się niejednemu z oglądających prace rodziny Boyle. Tak wielka jest bowiem dosłowność, z jaką oddają oni obrazy powierzchni ziemi i tak skomplikowana (utrzymywana zresztą w rodzinnej tajemnicy) technika użyta do tego celu, że owa *technika w znacznym stopniu przykuwa uwagę widza*, każąc mu zastanawiać się czy dzieło, z którym ma do czynienia, to fragment prawdziwej skały czy też jej imitacja. Wielu oglądających z trudem powstrzymuje się, by tego nie sprawdzić.

Fragment natury, choćby najdosłowniej oddany przez artystę, czy wręcz zacytowany — przez sam fakt wyboru, oddzielenia go od jego codziennego otoczenia, staje się autonomicznie istniejącym przedmiotem, który żyje nowym życiem, nabiera nagle piękna i nowych znaczeń. Przewrotność w sztuce polega na tym, że im bardziej twórca — jak starają się to robić członkowie rodziny Boyle — pragnie być obiektywny, tym bardziej do głosu dochodzi subiektywizm, od którego nie można się uwolnić.

Jest coś romantycznego w sakralizacji zwykłego przedmiotu poprzez sam akt artystycznego wyboru, w odkrywaniu nieoczekiwanego piękna natury tam, gdzie na pozór trudno je dostrzec — w zwęglonym wysypisku śmieci i jego chropawej fakturze ze sterczącymi tu i ówdzie kawałkami fajansowych skorup, w „unistycznym" jakby obrazie przypływów i odpływów fal na plaży w Camber, w geometrii rozsypanej czerni i bieli kostki zniszczonego chodnika.

Jednocześnie każde z tych „miejsc na ziemi" ma własny genius loci, charakter, własną indywidualność. Jest interesujące każde z osobna. Jego oblicze kształtowały tysiące, nieraz miliony lat, czasem ostatni kwadrans kiedy to na piasku odcisnął się ślad psiej łapy, czasem oblicze to bywało dziełem ręki człowieka.

Niepokojące obrazy rodziny Boyle. Co możemy wyczytać z nich o ziemi, co możemy wyczytać o sobie z pozostawionych na niej śladów? Jaką prawdę o naszym świecie ma do przekazania hałaśliwa czarno-biała kostka trotuaru i szept arktycznego mchu norweskiego? O czym zamilkł ironicznie żużel wysypiska? Ta pracowicie tworzona dokumentacja tysiąca miejsc na *ziemi czy nie bierze się po* trosze z obawy przed katastrofą, która grozi naszemu światu — ekologiczną, atomową...?

DANUTA
ŚMIERZCHALSKA

„Boyle Family. Świat malarski rodziny Boyle". Muzeum Sztuki w Łodzi, 16 lipca — 31 sierpnia 1987.

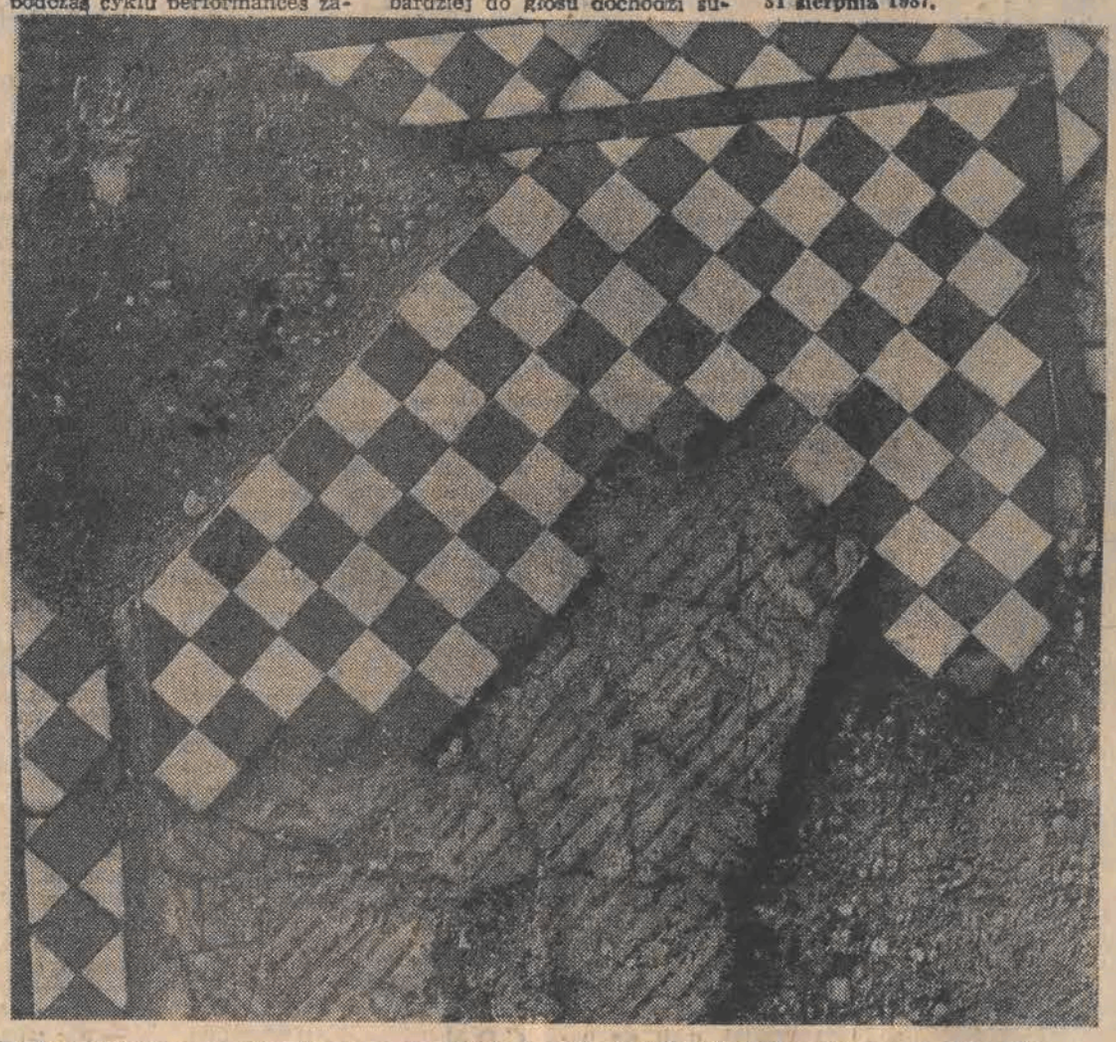

Studium zniszczonego chodnika z czarno-białej i czerwonej kostki, 1986 r. Pracownia fotograficzna Muzeum Sztuki w Łodzi

Kronika kulturalna

OD 1 sierpnia w „Bałtyku" i „Włókniarzu", na nocnych seansach wyświetlany będzie długo oczekiwany głośny film Romana Polańskiego „Piraci".

W rolach głównych występują: Walter Matthau, Charlotte Lewis, Cris Campion, Władysław Komar i grupa polskich kaskaderów.

BIURO Wystaw Artystycznych, w przeciwieństwie do wielu innych instytucji artystycznych, nie pozostawia mieszkańców naszego miasta w okresie urlopowym bez możliwości obcowania ze sztuką.

W Salonie Sztuki Współczesnej, przy ul. Piotrkowskiej 88, od 28 lipca **będą mogli oni zapoznać się z dorobkiem II Interdyscyplinarnego Pleneru Plastyków Środowiska Łódzkiego — Zakopane '86.**

Interesująco zapowiada się również wystawa grafiki Petera Cunliffe'a (Wielka Brytania), która **czynna będzie od 31 lipca w Galerii Bałuckiej** (Stary Rynek).

KONCERTEM galowym zakończył się w Świnoujściu Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej „Fama '87".

Główne trofeum — „Trójząb Neptuna" — otrzymała grupa jazzowa „Young Power" ze Śląska, za upowszechnianie młodzieżowego jazzu i wysokie walory artystyczne.

Specjalne wyróżnienie przypadło Zbigniewowi Cholewickiemu z PWSFTViT w Łodzi, za reżyserię i realizację koncertu galowego. Ponadto wyróżnieni zostali łódzcy studenci za współudział w programie „Pieśń o śnie".

ROZPOCZYNAJĄCY SIĘ 18 września XXX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień" zainauguruje koncert, w trakcie którego **publiczność będzie miała możność po raz pierwszy usłyszeć fragmenty „Czarnej Maski" Krzysztofa Pendereckiego.**

Dzieło to miało swoją głośną premierę w sierpniu 1986 r. w Salzburgu.

Tego samego dnia wykonana zostanie również przez **Orkiestrę i Chór Filharmonii Krakowskiej IX Symfonia Andrzeja Panufnika.**

Wydarzeniem staną się z pewnością **dwa koncerty poprowadzone** przez **Jerzego Maksymiuka.** Wystąpi on z BBC Scottish Symphony Orchestra oraz wybitną klawesynistką — **Elżbietą Chojnacką.**

Tegoroczną „Jesień" uświetni **występ Orkiestry Filharmonii Leningradzkiej pod dyrekcją Marisa Jansonsa.** W programie — obok dzieł Pendereckiego i Szostakowicza — **poemat „Mistrz i Małgorzata" Andrzeja Pietrowa** (utwór napisany z inspiracji powieści Bułhakowa).

Inne magnetyczne nazwisko to z pewnością światowej sławy skrzypek — **Gidon Kremer.**

W REDAKCJI „Rzeczypospolitej", przy telefonie, pełnił dyżur minister kultury i sztuki prof. Aleksander Krawczuk. Sądzimy iż warto zacytować fragmenty kilku jego odpowiedzi dotyczących rynku księgarskiego i ruchu wydawniczego.

„Wydawcy są teraz na własnym rozrachunku i muszą zważać na to, żeby wydawać książki, które ludzie kupują, bo inaczej splajtują i nikt nie będzie się nad nimi rozczulał... Minister nie ma możliwości ingerowania w sprawy cen, w ramach reformy gospodarczej przedsiębiorstwo jest samodzielne. My możemy tylko namawiać, sterować przydziałami papieru. Bardzo drogi jest papier, usługi poligraficzne, więc ceny będą raczej rosły, choć może nie w tak wielkim tempie. Sam nad tym boleję, bo jestem miłośnikiem książek i tracę na nie fortunę!".

W JEDYNEJ istniejącej Wiejskiej Galerii Sztuki w Jazowisku k. Nowego Sącza, prowadzonej przez Kazimierę i Stanisława Dudów, w najbliższym czasie **wystawiać będzie swoje prace Władysław Hasior.**

Galeria ta stała się ostatnio bardzo modna. W kolejce oczekują inni wybitni twórcy.

Zachęcamy urlopowiczów wybierających się w tamte strony do jej zwiedzenia.

POZNAŃ będzie w sierpniu gospodarzem XV Ogólnopolskiej Wystawy Filatelistycznej.

Zajmie ona ponad 5 tys. m kw. powierzchni w Pawilonie MTP i będzie drugą co do wielkości w historii polskiego wystawiennictwa filatelistycznego.

Udział w wystawie zgłosili filateliści ze wszystkich 24 okręgów PZF.

Zaproszeni ponadto zostali m. in. **kolekcjonerzy z ZSRR, Australii i Szwajcarii.**

Za najlepsze zbiory **przewiduje się Wielką Nagrodę Honorową, czyli Grand Prix.**

POMNIK Beatlesów (naturalnej wielkości) **stanie w centrum Londynu.** Dzięki wmontowanemu odtwarzaczowi, **mieszkańcy tego miasta** za kilkadziesiąt pensów **będą mogli posłuchać piosenek tej popularnej przed laty grupy muzycznej z Liverpoolu.**

TURNIEJ rycerski, zorganizowany na Zamku w Golubiu-Dobrzyniu, w międzynarodowej obsadzie, **wygrał Jacek Kurkowski. Przypadła mu** w udziale **„Ułańska szabla". Zdobywcą** innej cennej nagrody — **„Pierścienia Kmicica" — został Jacek Fland.**

Wygrali nie tylko rycerze, wygrali **też organizatorzy tej pięknej imprezy.**

Jubileusz Władysława Orłowskiego

Onegdaj odbyło się w siedzibie Oddziału Łódzkiego ZLP jubileuszowe spotkanie z Władysławem Orłowskim z okazji 65-lecia urodzin. Rzadko się zdarza, aby — jak w tym przypadku — jubileusz był święcony bez czasowych „poślizgów". W. Orłowski urodził się 27.VI.1922 r. w Warszawie. Brał udział jako żołnierz AK w Powstaniu Warszawskim — literacką replikę tych lat i dramatycznych wydarzeń powstańczych odnajdujemy w wydanej ostatnio powieści Orłowskiego „Odłamki" (fragmenty drukujemy obok). Studia prawnicze ukończył na Uł. Doktorat z nauk humanistycznych określał zainteresowania naukowe, literackie i „praktyczne" W. Orłowskiego plasujące się w rejonach teatru, filmu i telewizji. Obok beletrystyki zajmuje się W. Orłowski twórczością dramaturgiczną, jest też autorem scenariuszy filmowych i słuchowisk radiowych. Do najbardziej znanych sztuk scenicznych należy „Sprawiedliwość w Kioto", ale zainteresowaniem odbiorców i krytyki cieszyły się też pozostałe: „Spektakl w teatrze Forda", „Siedem dni prezydenta", „Jutro Berlin", Piąty lot".

Problem „korespondencji sztuk" literackiej i filmowej znalazł swój teoretyczny wyraz w pracy W. Orłowskiego „Z książki na ekran" (1974). Twórczość prozatorska W. Orłowskiego podejmuje egzystencjalne wątki naszego stosunku do Innego i jego cierpień, potrzeby współodczuwania i solidarności ludzkiej w zdehumanizowanym świecie. Wznowiona niedawno książka „Cudza miłość, cudze cierpienie" w znacznej mierze ewokuje tę problematykę. Należałoby też odnotować fakt, że nie ucieka W. Orłowski od tematyki łódzkiej tworząc w „Dynastii bez herbu" próbę rodzinnej sagi robotniczej rzutowanej na tło dramatycznych, strajkowych wydarzeń. Nie tylko wszakże twórczość literacka, ale działalność społeczna W. Orłowskiego (prezes OŁ ZLP, działacz Towarzystwa Kultury Teatralnej) została oceniona i doceniona na jubileuszowym spotkaniu. List gratulacyjny od I sekretarza KŁ PZPR J. Niewiadomskiego przekazał jubilatowi sekretarz KŁ PZPR Grzegorz Misiewicz. Koledzy życzyli zdrowia i dalszej owocnej twórczości literackiej.

P.H.

Broń (fragmenty)

Wykonana w warunkach konspiracyjnego prowizorium, prymitywna, toporna, z okrągłego podziurkowanego brzucha blaszanej puszki po konserwach, spełniającej funkcję chłodnicy, wyrasta z jednej strony lufa, z drugiej urządzenie spustowe i metalowa półrurka wygięta w obrys nie istniejącej kolby, w ten sposób ją zastępująca, w prostokątnym otworze puszki osadzony magazynek z amunicją. Oto przekazany niefachowo obraz mojej „błyskawicy", taki jak zapamiętałem.

Uboga siostra z nieprawego łoża angielskiego stena układa się w moich rękach zgrabnie, z ufnością. Lewą dłoń zaciskam na magazynku, prawą chwytam nasadę ażurowej kolby, przy czym palec wskazujący wślizguje się niemylnie w miejsce sobie przeznaczone i przylega do języczka spustowego. W ten sposób następuje moje zapoznanie się z bronią.

Ten pierwszy kontakt jest wydarzeniem ważnym, odtąd staje się podmiotem działań zbrojnych. Może kogoś zadziwię, ale to zetknięcie z „błyskawicą" kojarzy mi się z całkiem innym przeżyciem.

Mniej więcej rok przedtem dostąpiłem przyspieszonej męskiej inicjacji w okolicznościach niegodnych (jakby je określił mój prefekt szkolny, ksiądz prałat Budzyński). Wczesnym wieczorem wracałem z Krzysztofem z młodzieńczej pijatyki, z ochlaju, jak zwykliśmy mówić (a może się mylę? czy słowo „ochlaj" nie zakradło się do mojego słownika znacznie później?). To Krzysztof właśnie, widząc mnie w stanie mało odpornym na nieczne propozycje, skręcił bez uprzedzenia z Marszałkowskiej w Chmielną, wówczas ulicę grzechu. Z tego co nastąpiło potem zarejestrowałem tylko urywkowe obrazy przeplecione nie zapisanymi blankami zapomnienia.

Stoję oparty o żelazną barierę chroniącą witrynę sklepową (takich barier już nie ma, wyszły z użycia), co pozwala mi jako tako utrzymywać równowagę: Na pierś moją naciera obfitym biustem dziewczyna na oko niewiele starsza ode mnie, profesjonalnie uwodzicielska, ale w oczach jej migoczą iskierki humoru odbierające tej scenie upokarzający mnie charakter. Nawiązuje się między nami pewien osobisty kontakt, nietypowy dla dawczyni i biorcy płatnej miłości. Słyszę jeszcze strzęp słów wypowiadanych przez nią:

— Pójdziesz ze mną, maluśki? Prawda, że pójdziesz? No, nie bój...

Może powtarzam nieściśle, ale słowo „maluśki", zabawne przy mym wzroście prawie metr osiemdziesiąt, wypowiedziała na pewno. Pobrzmiewała w nim wiejska rodzajowość, również nie mieszcząca się w schemacie kupna-sprzedaży.

Podchorąży Wilk obserwuje krytycznie moje ruchy.

— Miałeś już do czynienia z „błyskawicą"? — pyta.

— Oczywiście...

Zachowałem obraz mieszkania, do którego mnie wprowadziła: dość duży pokój wypełniony w jednej trzeciej przez meblowe łoże małżeńskie, na nim tęga kobieta w nocnej koszuli i dwoje drobnych dzieci.

Może chora, a może chodzi spać o tej porze co maleństwa, nie wiem, nie zwraca na nas uwagi, choć idiotycznie wykrztusiłem wchodząc jakieś powitanie. Moja (moja!) dziewczyna pociągnęła mnie pod okno, gdzie rozłożono materac i szepcze:

— A my z tobą tu się położymy.

Dosłuchałem się w jej propozycji elementów konfidencji czy zmowy, zatem znów czegoś wykraczającego poza ramy profesjonalne, co wzbogaca mechaniczny stosunek płciowy o ludzkie motywacje pozahandlowe porozumienie. Nim jednak to sobie uświadomiłem — a upojenie alkoholem opóźniało refleks — dziewczyna zdejmuje zręcznym ruchem przez głowę sukienkę i oswobadza z biustonosza duże piersi.

Zarepetuj — poleca podchorąży Wilk.

Repetuję. Oby się tylko nie zorientował, że ja pierwszy raz... Mam szczęście! Zamek ślizga się posłusznie po nawazelinowanej szynie do tyłu, potem do przodu, wprowadzając pierwszy pocisk z magazynku w lufę. Zastępca dowódcy plutonu podbija mi broń.

— Jak trzymasz lufę, łamago! — krzyczy ze złością. — Chcesz mi dać w czapę?

Dziewczyna stoi przede mną soczysta, w bujnej krasie, ma na sobie tylko slipki. Porażony blaskiem nagości opuszczam wstydliwie wzrok.

— No, co ty? — pada pytanie. — Kurwy nie widziałeś?

Milcząc wskazuję głową kobietę z dziećmi.

— Co cię to obchodzi? — W głosie dziewczyny ton wzgardy, wobec mnie czy wobec leżącej? — Rozbieraj się wreszcie! Jaki niezdecydowany!

— Przepraszam, panie podchorąży — usiłuję się tłumaczyć, opuściwszy lufę „błyskawicy" w dół. — Tak jakoś niezgrabnie wyszło.

— Ej, Delta, Delta! — kręci głową Wilk. — Coś mi się widzi, że pierwszy raz trzymasz broń w łapie.

— Panie podchoroży, przysięgam...

— Mnie tam ganz pomada! — przerywa mi. — Uważaj tylko, żeby równo, pod kątem prostym wciskać magazynek. No i repetuj spokojnym, ale zdecydowanym ruchem. „Błyskawica" lubi się udławić nabojem. Stanie jej w gardle, właśnie kiedy ci będzie zależało na najszybszym wypuszczeniu serii. I wtedy się możesz szarpać z zamkiem do usranej śmierci. Przed sobą będziesz miał nieprzyjaciela, a w garści nie broń, ale atrapę. Wtedy kicha (a może powiedział: klops? „Kicha" to ze współczesnego slangu). Kapę wu?

— Tak jest, panie podchorąży.

— To odmaszerować!

Pod bacznym wzrokiem dziewczyny mieszam się coraz bardziej. Walczę z guzikami koszuli, by je odpiąć. Bezskutecznie. Jej sprawne palce ruszają mi na pomoc, nie spuszcza przy tym ze mnie wzroku.

— Ty — odzywa się nagle, jakby się przebudziła. — Czyś ty czasem nie dziewica?

— Coś ty! — odpowiadam niby to buńczucznie, ale cały spięty w środku. Tymczasem ona, wyswobodziwszy się z ostatniej osłony, osuwa się na materac, pociągając mnie za sobą. Z rozpędu przypadam do jej sutków.

— Nie gryź! — syczy.

A moim jedynym pragnieniem jest, żeby się nie poznała. Żeby się tylko nie poznała!

Tak więc mam wreszcie broń! Wkraczam w całą tę awanturę mianu armata. Żołnierz bez broni nie jest żołnierzem, zaś mój stosunek do broni ze względu na okoliczności ma wartość zwielokrotnioną. Mój — to brzmi egocentrycznie. Wyjaśnijmy więc, iż mam na myśli siebie, jedynie jako przykład pierwszy z brzegu, zasługujący na podkreślenie dzięki temu, że jestem jednym z NICH, że niczym szczególnym się nie wyróżniam, ot, jednostka, która dopiero przemnożona przez ileś tam tysięcy nabiera znaczenia, jak cegła w murze odporna mocą spoiwa i ciśnienia innych cegieł.

Po tej niezbędnej eksplikacji podejmuję urwany wątek. Mój stosunek do broni... Gdybym dojrzał do roli żołnierza w normalnych warunkach, wyfasowałbym ją z magazynu wojskowego po wszystkich wstępnych formalnościach, zbrojmistrz nie zadawałby mi przy tym pytania, czy miałem już z nią do czynienia, wstępnym założeniem jest, że młody człowiek, w wieku poborowym powołany do wojska, z bronią palną do czynienia nie miał lub prawie nie miał.

Czekają go zatem lekcje obchodzenia się z nią, zapoznawanie się z elementami, z jakich jest skonstruowana, z każdym z osobna: rozkładanie, składanie, żmudne czyszczenie lufy i zamka, usuwanie pakułami do ostatniej drobiny zużytego szczerniałego tłuszczu, by wybronić się w próbie białej rękawiczki na dłoni sierżanta-szefa, potem namaszczanie każdej części składowej czystą złotawą wazeliną, następnie ćwiczenia z tak przyrządzonym orężem — baczność, na ramię broń, do nogi broń, na ramię broń, prezentuj broń i — wszystko powtarzane dziesiątki razy (...)

No i masz po iluś tam tygodniach szkolenia niepisany patent, że umiesz posługiwać się bronią, potrafisz w razie potrzeby zrobić z niej właściwy użytek (...)

O tych sprawach, których świadomy jestem po latach, nie myślałem i nie musiałem myśleć w dniu 5 sierpnia 1944 roku, podczas mojego pierwszego spotkania z bronią, gdy podchorąży Wilk wręcza mi pistolet maszynowy i pyta:

— Miałeś już do czynienia z „błyskawicą"?

Zapewnieniom moim nie bardzo wierzy, ale w obliczu wroga, to jest, gdy konkretny wróg znajduje się na placu Żelaznej Bramy, czyli w odległości dwustu metrów od nas, nie każe mi przecież rozebrać automatu na części składowe, nie zaaplikuje czyszczenia broni i nie sprawdzi dłonią w białej rękawiczce, czy nie została się resztka brudnego smaru w jakimś zakamarku. On wie i ja wiem, że ta „błyskawica" będzie odtąd dla mnie jedyną szansą przeżycia w przypadku zetknięcia się oko w oko z wrogiem (...)

Szowinistyczna propaganda niemiecka stworzyła na użytek obiegowy kłamliwy obraz Polaka, wyolbrzymiając karykaturalnie nasze wady narodowe i przemilczając zalety. Na tej pożywce rodziła się podczas okupacji na każdym kroku obelżywość, szyderstwo, przybierające często oblicze nieszczerej pobłażliwości, rubasznej familiarności, ale zawsze krzywdzące, godzące w dumę narodu. A my nie mogliśmy podejmować dyskusji, bo byliśmy pobici i bezbronni wobec butnego zwycięzcy.

Tu usłużna pamięć przywodzi mi scenę, której byłem świadkiem na Marszałkowskiej pierwszego dnia powstania. Widzę mściwy tłum ścigający bez jednego okrzyku oficera Waffen-SS, którego „godzina W" zastała przypadkiem samotnego na ulicy. Ogarnięty paniką sadzi teraz wielkimi krokami, czując za sobą pomruk pogoni, z przewieszonego przez szyję schmeissera wysyła raz po raz za siebie bezładne serie. Panu Bogu w okno.

Nagle automat Niemca milknie, widocznie wystrzelał cały magazynek, a na wydobycie z torby zapasowego nie ma już czasu. Młody esesman odrzuca na ziemię bezwartościowe narzędzie, jakim stał się precyzyjny i nieomylny w użyciu schmeisser, obraca się twarzą do prześladowców i z rozmachem pada na kolana, wznosząc błagalnym gestem ręce do góry. Zsunęła mu się przy tym z głowy i potoczyła po chodniku czapka z trupią czaszką, dzięki czemu przez krótką chwilę zabłysła mi w oczach jego spopielała twarz, oblicze człowieka, którego trudno już zaliczać do żywych. To trwa moment, zaraz bowiem tłum przeszedł po nim jak walec drogowy, wdeptując w płyty chodnikowe.

Okrutne? Z pewnością! Ale nie mam niezbędnego dystansu do sceny, której jestem świadkiem, nie oceniam jej w kategoriach okrucieństwa. Dla mnie zachowanie tłumu jest wówczas oczywiste. Sam zachowuję się biernie, stoję po drugiej stronie ulicy — a jest to róg Złotej albo Widok — ale to nic nie zmienia, jestem z nimi, z tymi co depczą, miażdżą obcasami czaszkę, żebra, piszczele. Ta nieludzka w sensie obiektywnym scena ma — o ironio! — moc oczyszczającą, przywracającą zrabowaną godność. Aż trudno uwierzyć, ale tak właśnie jest i dlatego nic nie byłoby w stanie powstrzymać przed jawnym okrucieństwem ludzi ścigających esesmana.

— Masz „błyskawicę", Delta — mówi podchorąży Wilk. — Zdarzyło ci się mieć z nią do czynienia?

Sens jego wypowiedzi był właśnie taki, choć może nie brzmiał dosłownie tak. Może:

— Umiesz się obchodzić z tym cackiem?

Albo:

— Bierz toto, bracie! Mam nadzieję, że się nie usrasz.

Coś w tym rodzaju, a ja go zapewniam gorąco, że tak, że oczywiście, gdy jednocześnie zdaję sobie sprawę, iż należałoby zachować więcej umiaru, przyjąć raczej ton zblazowania, rzucić jakiś żart żołnierski. Stanowczo wygłupiam się z tym przesadnym ożywieniem, budzę nim w podchorążym wątpliwość. Jego ręka z automatem zatrzymuje się w pół drogi, czuję badawcze spojrzenie na sobie.

— Ty — odzywa się do mnie dziewczyna z krainy rozkoszy. — Czyś czasem nie dziewica? Miałeś już kobitę?

Ja zaś chwytam w panice zębami jej ciemnobursztynowy sutek. Dziewczynie tam wszystko jedno, ostatecznie niewiele ją to obchodzi, skoro zabieram się tak gorliwie do rzeczy.

Podchorążemu Wilkowi także wszystko jedno, gans pomada, jak mówi, czy da broń mnie czy innemu chłopakowi, łaskawie docenia zapał, z jakim garnę się do automatu, nie musi dochodzić prawdy (...).

Wśród radosnych okrzyków utworzyliśmy szpaler. Ciężkie, okute blachą drzwi rozwierają się i jako pierwszy wychodzi pobladły ze strachu łysy oberzahlmeister (znam się na stopniach w ich administracji wojskowej) z rękoma wzniesionymi w górę, za nim z dziesięciu żołnierzy, cała załoga, jeden ranny w ramię, co się objawia ciemniejszą i rosnącą plamą na feldgrau jego kurtki mundurowej.

Nie powtarza się sytuacja z poprzedniego dnia na Marszałkowskiej, powstanie trwa już kilkanaście godzin, stać nas na gest rycerski, jeńców nikt nie poszturchuje, nie manifestuje nienawiści. Z pobliskiego szpitala Maltańskiego nadjeżdża klekocząc po bruku wózek operacyjny popychany przez dwie sanitariuszki w typie pin-up, w asyście młodego lekarza czy studenta medycyny, wszystko białe, wykrochmalone, sterylne, eleganckie, sprawne dłonie ściągają z Niemca rękaw munduru, dezynfekują ranę, nakładają opatrunek, bandażują, by po chwili odwieźć pierwszego pacjenta do szpitala (...).

Ktoś dotyka mego ramienia, plutonowy, od którego dostałem przed akcją „filipinkę", domaga się teraz jej zwrotu. Nie dziwię mu się nawet, dołączyłem do oddziału atakującego synagogę ochotniczo, kto mnie tam wie, czy się gdzieś nie zawieruszę, a granaty są na stanie. Z ociąganiem oddaję moją broń, która ginie w chlebaku plutonowego — mój pierwszy epizod żołnierski zakończony, nim się na dobre zaczął.

Czy należy się zatem dziwić, że z taką obawą obserwuję owo powstrzymywanie ręki z przeznaczoną mi „błyskawicą"? Jeśli Wilk się rozmyśli i nie przydzieli mi automatu, znów stanę się nikim, cywilbandą, łapserdakiem, zawalidrogą, powsinogą, kimkolwiek, tylko nie żołnierzem. Moje obawy okazują się na szczęście płonne, podchorążemu jest wszystko jedno, komu da „błyskawicę" (sam ma bergmana), nie zechce przeprowadzić dochodzenia, czy zeznaję prawdę, czy też symuluję otrzaskanie z bronią. O ile opóźnia przekazanie mi peemu, to to dla zademonstrowania, jak ważną jest osobistością. Kiedy podbija mi lufę z okrzykiem: Jak trzymasz, łamago! — to nie robi tego bynajmniej powodowany rzeczywistym strachem, ale kierując się tradycyjnym ceremoniałem, nakazującym takie właśnie traktowanie adeptów sztuki żołnierskiej.

Zaś pouczenie na odchodnem (Pamiętaj równo wciskać magazynek...!) nie ma w istocie na celu poinstruowania mnie, a tylko danie mi do zrozumienia, jakie to on, podchorąży Wilk, ma obycie bojowe. Nie takie ho-ho! sytuacje widział!

Aha! Musi jeszcze dopełnić ceremoniału, postawić niejako kropkę na końcu zdania.

— Zrozumiałeś? — pyta, choć mu wysoce obojętne, co stojący przed nim dwudziestoletni profan zrozumiał, a o czym nie ma pojęcia.

Odpowiedź i tak może być tylko jedna.

— Tak jest, panie podchorąży! — mówię.

— No to, odmaszerować!

Śmieszne to „odmaszerować" w warunkach powstańczych. Pasowałoby prędzej do garnizonowej młocki, należy jednak do podoficerskiego katechizmu, do pasma poczynań pozornych, przyjętych przez wszystkie armie świata, zastępujących treść formą, myśl bezinteresowną aktywnością, bezruch zapobiegliwą krzątaniną, bierność i stagnację gotowością do czynu. Mów coś, rób coś, ruszaj się, bylebyś się nie zastał, nie rdzewiał, nie trwał w traumatycznej zadumie, nie lenił się, nie myślał o niebieskich migdałach, nie wałęsał się, nie szlajał, nie pętał się pod nogami innych, zwłaszcza starszych rangą — tego wszystkiego wojsko nie uznaje. ( )

Komenda „odmaszerować" w ustach podchorążego Wilka to relikt, wyraz niezniszczalności form wojskowego porządku, dającego o sobie znać nawet w sytuacji frontowej, gdy wróg już i tak zadba o stałe zatrudnienie żołnierza.

(z książki „Odłamki", KAW, Łódź 1987).

■

— To są te epigramaty — powiedziała Glińska.

Solc zmrużył oczy, pochylił się nad gazetką.

Porcyjka ryżu, kotlet schabowy,
na grób Borysa pomnika gotowy!

Solc podniósł wzrok nie rozumiejąc co to za wierszyki. I w tym momencie dostrzegł Saszę, Sasza patrzył na niego z napięciem. Dopiero wtedy Solc przypomniał sobie młodego człowieka, który poprzedniego dnia siedział w jego gabinecie. Jeszcze raz przeczytał epigramaty, zachmurzył się.

— I gdzież tu kontrrewolucja?

— Tu jest kilka epigramatów — odparła Glińska.

Solc znów pochylił się nad gazetką.

Wysiłek, trud — dziś praca w modzie,
a tu oryginał nam rozkwita,
notatki gubi jak w pochodzie,
i wszystko wie, choć nic nie czytał.

— Numer poświęcony jest szesnastej rocznicy Rewolucji Październikowej — powiedział Baulin.

Solc powiódł po zebranych zmrużonymi oczami krótkowidza, usiłując ustalić do kogo należy ten głos. Przed sobą miał ładną jasnowłosą Nadię, Saszę, malutkiego garbatego Runoczkina, przestraszoną Rozę i zmieszanego Kowalewa.

— Rewolucja Październikowa nie zniosła epigramatów — surowo powiedział Solc.

— Umieszczone są pod zdjęciami przodowników — upierał się Baulin.

Dopiero teraz Solc zorientował się, kto się z nim spiera.

— Dawniej nie wolno było pisać satyr tylko na najwyżej postawione osoby — powiedział. — A i tak pisali.

— Praca „w modzie" — czy to prawidłowe? — powiedział Baulin.

— Praca, praca — rzucił się Solc. — Konstytucje burżuazyjne też zaczynają się od słów o pracy. Rzecz w tym jaka to praca i w imię czego.

— Widzicie, my...

— Widzę jak łamiecie życie młodym! — Solc powiódł ręką po siedzących przed nim studentach. — Widzę jak dręczycie ich i szykanujecie. To o nich Iljicz powiedział: „Będziecie żyć w komunizmie!". Jakiż to komunizm im oferujecie? Wyrzuciliście chłopaka z Instytutu. Co ma teraz ze sobą zrobić? Iść ładować wagony?

— On właśnie jest ładowaczem — zauważył Janson.

— Kształciliśmy go, to nasz przyszły radziecki specjalista. A wy go na ulicę. Za co? Za wierszyki? Młodość ma swoje prawa. Przede wszystkim — prawo do śmiechu.

Znów z niezgrabną galanterią zwrócił się do Glińskiej.

— My w ich wieku też się śmialiśmy. Teraz śmieją się oni, i chwała Bogu! Jeśli młodzi się śmieją, to dobrze, to znaczy, że są z nami. A wy ich — w zęby! Wierszyki na siebie napisali? A na kogo mieli napisać? Na mnie? Nie znają mnie przecież. Z kogo mają się śmiać?

— Decyzja w sprawie usunięcia Pankratowa została zatwierdzona przez komitet rejonowy — uprzedził Baulin.

— Zatwierdzona, zatwierdzona! — Solc poczerwieniał. — Jakoś szybko to u was idzie!

Glińska, która czuła się tu o wiele pewniej niż w Instytucie, spytała pojednawczym tonem.

— Co zrobimy?

— Przyjąć z powrótem na uczelnię! — ponuro i zdecydowanie powiedział Solc. (...)

12.

„W związku z uznaniem przez studenta Pankratowa swoich błędów należy ponownie przyjąć go do Instytutu z udzieleniem surowej nagany".

Nie było żadnego święta. Usunięcie Saszy z uczelni zbulwersowało wszystkich ponowne przyjęcie — nikogo. Jedynie Kriworuczka podpisując nową legitymację Saszy powiedział:

— Cieszę się.

Dawniej tak groźny, sprawiał obecnie wrażenie złamanego — samotny człowiek, odsiadujący ostatnie dni w swoim gabinecie.

— Co u pana? — spytał Sasza.

Kriworuczka wskazał na stos teczek w kącie.

— Przekazuję sprawy.

Wyciągnął pieczątkę z szuflady ogromnego biurka. Studenci nazywali je „mostkiem kapitańskim". Często przychodzili do Kriworuczki — od niego zależały stypendia, akademik, kartki, zapomogi.

— Notabene znam twojego wujka. Byliśmy w jednej organizacji partyjnej. Dawno, w dwudziestym trzecim. Jak tam jego zdrowie?

— W porządku.

— Pozdrów go ode mnie przy okazji.

Sasza wstydził się swojego sukcesu: on się wykręcił, a Kriworuczka nie.

— Może powinien pan zwrócić się do Solca?

— W mojej sprawie Solc nie ma nic do powiedzenia. Tu wszystko zależy od kogo innego.

Nie patrząc na Saszę, jak gdyby sam do siebie, Kriworuczka powiedział:

— Ten kucharz będzie pichcić ostre potrawy.

Zasępił się. Sasza zrozumiał, jakiego kucharza Kriworuczka ma na myśli.

Następnie Sasza udał się do Łozgaczewa. Na widok Saszy Łozgaczew rozpromienił się, jak gdyby pozytywny finał sprawy cieszył go osobiście.

— Byłeś u Kriworuczki?

Wiedział że Sasza był u Kriworuczki, ale mimo to zapytał.

— Załatwiałem legitymację i przepustkę — odparł Sasza.

Wszedł Baulin, usłyszał odpowiedź Saszy, sucho spytał Łozgaczewa:

— Pieczątka jest jeszcze u Kriworuczki?

— Nowy zaczyna od poniedziałku.

— Mogła przecież zabrać pieczątkę.

Łozgaczew wzruszył ramionami dając do zrozumienia że Glińska uważa się za zbyt ważną osobistość żeby zajmować się pieczątkami.

Prowadzili swoje rozgrywki knuli swoje intrygi jak gdyby nic się nie stało, nie czuli się niczemu winni, nie mieli żadnych wyrzutów sumienia: wtedy trzeba było tak, a teraz, kiedy Sasza znów jest studentem, można inaczej... I Sasza musi inaczej..

Lekceważąco wyrażają się przy nim o Glińskiej, nie ukrywają swojej wrogości do niej — czyż taka szczerość nie oznacza zaufania? Wszystko to zdawało się mówić: „I ty, Pankratow, musisz inaczej. Oberwałeś, wiesz już jak to jest. Następnym razem się nie wykręcisz. Solc jest daleko, a my blisko, trzymaj więc z nami. Młody jesteś, naiwny, niedoświadczony, nie zahartowany, to i wpadłeś, rozumiemy, każdemu może się przytrafić. Teraz wiesz, kim jest Kriworuczka, bij go razem z nami, wzajemne zaufanie rodzi się tylko w obliczu wspólnego wroga. „Powiedz, kim są twoi przyjaciele" — to przestarzałe! „Powiedz, kto jest twoim wrogiem, a powiem ci kim jesteś" — tak teraz trzeba mówić!

— Kriworuczka ci się skarżył? — spytał Łozgaczew.

Nie, nie warto się z nimi wiązać. To nie on oberwał, a oni, to nie jego mordą o stół, a ich. Niech pamiętają!

— Dlaczego miał się skarżyć, nie jestem egzekutywą.

Łozgaczew roześmiał się nieszczerze.

— Jesteście przecież towarzyszami niedoli.

— „Towarzyszami"? — ironicznie spytał Sasza. — O ile wiem, nie przyjęto go z powrotem w szeregi...

W mrocznym spojrzeniu Baulina Sasza wyczuł ostrzeżenie. Rozzuchwaliło go to tylko jeszcze bardziej. Przed czym Baulin ostrzega? Może znowu go wyrzucą? Za krótkie ręce! Sparzyli się, a mimo to chcą wyglądać na zwycięzców. Że niby to nie Solc ci wybaczył, ale partia. A my to też partia, a więc zawdzięczasz wszystko nam! Nie, moi drodzy, wy — to jeszcze nie partia!

Łozgaczew przyglądał się Saszy z żartobliwym zainteresowaniem.

— Myślisz, że Kriworuczkę znów przyjmą?

— Mnie przyjęto.

— Ty to co innego, popełniłeś błąd, a Kriworuczka to zatwardziały...

— Kiedyś wydalono go za błędy polityczne, a potem ponownie przyjęto, a co do akademików...

— To coś nowego — Baulin siedział w fotelu i uważnie przyglądał się Saszy — przedtem tak nie mówiłeś.

— Przedtem mnie nie pytaliście, a teraz pytacie.

— Przedtem odżegnywałeś się od Kriworuczki — ciągnął dalej Baulin. — Nie znam, nie wiem, nigdy nie rozmawiałem"

— Teraz też powtórzę: nie znam, nie wiem, nigdy nie rozmawiałem.

— Doprawdy? — złowieszczo spytał Baulin.

— Nie masz racji, Pankratow — powiedział Łozgaczew pouczającym tonem — Partia musi usuwać ze swoich szeregów...

Sasza przerwał mu:

— Przede wszystkim karierowiczów!

— Kogo masz na myśli? — zachmurzył się Łozgaczew.

— Karierowiczów w ogóle, nie mówię o nikim konkretnym.

— Nie — Łozgaczew pokręcił głową. — Partia musi pozbywać się elementów chwiejnych ideowo, wrogich politycznie, a ty mówisz: karierowiczów. I to w pierwszej kolejności. Trzeba, oczywiście, ale skąd to przeciwstawienie?

Saszę drażnił fałszywy ton Łozgaczewa, jego spokojna twarz, tępa ograniczoność wyklepanych formułek.

— Możliwe, nie będziemy przyklejać etykietek, towarzyszu Łozgaczew! Akurat w tym nabraliście już niezłej wprawy. Ja powtarzam swoje: jeden karierowicz wyrządza partii więcej szkody niż wszystkie błędy starego bolszewika Kriworuczki. Kriworuczka popełniał błędy walcząc o sprawę partii, a karierowicz myśli tylko o własnej skórze i własnym stołku.

Zapadło milczenie.

Baulin powiedział powoli:

— Niezbyt prawidłowo wyciągasz wnioski, Pankratow.

— Jak umiem — odpowiedział Sasza.

Oczywiście przeanalizują, przeinaczą jego słowa. Sasza zrozumiał to, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi gabinetu Łozgaczewa.

Też znalazł sobie partnerów do szczerej wymiany poglądów! Co tam, nie boi się ich. Ale jakoś głupio wyszło.

W sali wykładowej usiadł na swoim miejscu, jego nazwiska nie wykreślono jeszcze nawet z dziennika. A jednak nie chciało się wierzyć, że to już koniec. Cała ta historia z Solcem wydawała się czymś nierealnym. Rzeczywistość — to Instytut, Baulin, Łozgaczew, zaszczyty Kriworuczka...

Do domu wracał zatłoczonym tramwajem. Za oknem szybko zapadał zmrok — wczesny ciemny zimowy wieczór. Naprzeciwko Saszy siedział niezdarny chłopina z rzadką rudą bródką, końce uszanki opadały mu na podarty półkożuszek. Wielkimi walonkami ściskał worek, drugi worek leżał na siedzeniu, bezkształtne chłopskie tłumoki wypchane czymś twardym i ostrym, przeszkadzały wszystkim tłoczącym się w wagonie pasażerom. Chłop niespokojnie rozglądał się wokół siebie, ciągle pytał gdzie ma wysiąść, choć konduktorka obiecała, że mu powie. W przymilnym i wystraszonym wzroku swojego sąsiada Sasza dostrzegł jednak coś surowego, nawet bezwzględnego. U siebie w domu chłopina jest z pewnością zupełnie inny niż tu. Myśl o tym, jak człowiek zmienia się w różnych okolicznościach Sasza zanotował na okładce zeszytu z wykładami z mostów i konstrukcji drogowych, aby w domu przepisać ją do pamiętnika, który to zaczynał pisać, to przestawał, i który teraz twardo postanowił prowadzić.

13.

Późnym wieczorem, gdy Sasza kładł się spać, zadzwoniła Katia. Jak zawsze była cisza w słuchawce, potem krótkie dzwonki, i znów długi sygnał.

— Katia, to ty?

— Nie poznałeś? — jej głos dobiegał z daleka, jak gdyby dzwoniła z ulicznego automatu.

— Jak mam poznać, skoro milczysz?

— Milczysz... Krzyczeć się nie da. Jak żyjesz?

— Żyję, ciebie wspominam.

— Wspominam... Dziewczyn ci zabrakło?

— Rozbiegły się moje dziewczyny. A ty jak?

— Jak, jak... Marusia za tobą tęskni, pamiętasz Marusię? Zakochała się w tobie, przyprowadź, powiada, swojego czarnookiego.

— Jestem gotów. Kiedy pójdziemy?

— Pójdziemy... Czego to mu się zechciało, jestem teraz żoną swojego męża.

— Wyszłaś za swojego mechanika?

— Mechanik... Mechanik — fachowiec, ziodziej — kieszonkowiec.

— Wypiłaś sobie, czy co?

— A ty butelki otwierałeś?

— Kiedy się spotkamy?

— A gdzie? Na ulicy trzydzieści stopni mrozu. Odmrozisz sobie interes.

— Przecież Marusia na nas czeka.

— Czeka... Mąż do niej przyjechał. Dobra, przychodź na Diewiczkę.

— A dokąd pójdziemy?

— W świat...

— A więc jutro na Diewiczce. O szóstej, o siódmej?

— Wpadnę o szóstej.

No i objawiła się Katia, wróciła. Znów jej zapragnął, pragnienie to właściwie nigdy go nie opuszczało. Widzieli się ostatnio we wrześniu albo w październiku, teraz jest styczeń — cztery miesiące. Za mąż oczywiście nie wyszła, do Marusi mąż wcale nie przyjechał, pójdą do niej jutro, właśnie dlatego Katia wspomniała o niej w rozmowie. Niczego nie mówi wprost, dziwna dziewczyna!

Myślał o Katii w łóżku, i im dłużej myślał, tym bardziej jej pożądał. Jutro będzie całować jej suche wargi, obejmować ją, i myśl ta długo nie pozwalała mu zasnąć...

Dzwonek do drzwi obudził go od razu. Była druga w nocy, z pewnością tylko drzemał. Dzwonek zadzwonił jeszcze raz, natarczywie i twardo.

W spodenkach i podkoszulku Sasza wyszedł na korytarz otworzył drzwi z łańcucha.

— Kto tam?

— Z administracji..

Sasza poznał głos dozorcy, Wasilija Pietrowicza, i przekręcił klucz.

W drzwiach stał Wasilij Pietrowicz, za nim — młody człowiek w płaszczu i czapce oraz dwaj czerwonoarmiści w szynelach z malinowymi patkami. Odsunąwszy Wasilija Pietrowicza, a potem Saszę, młody człowiek wszedł do mieszkania, jeden z żołnierzy został przy drzwiach, drugi przeszedł za Wasilijem Pietrowiczem do kuchni i stanął przy wyjściu na klatkę schodową.

— Pankratow?

— Tak.

— Aleksander Pawłowicz?

— Tak.

Nie spuszczając z Saszy czujnego spojrzenia młody człowiek podał mu nakaz rewizji i aresztowania obywatela Pankratowa Aleksandra Pawłowicza, zamieszkałego na Arbacie...

Weszli do pokoju Saszy.

— Dokumenty!

Z kieszeni wiszącej na oparciu krzesła marynarki Sasza wyjął dowód i legitymację studencką. Młody człowiek uważnie obejrzał oba dokumenty i położył je na stole.

— Broń?

— Nie mam broni.

Młody człowiek wskazał głową drzwi pokoju mamy.

— Kto tam jest?

— To pokój matki.

— Proszę obudzić.

Sasza wciągnął spodnie, włożył koszulę, skarpetki, buty. Funkcjonariusz w płaszczu i czapce czekał aż Sasza się ubierze. Sasza otworzył drzwi do pokoju matki — ostrożnie żeby nie obudzić jej znienacka, nie przestraszyć.

Mama siedziała zgarbiona na łóżku przytrzymując na piersiach białą nocną koszulę siwe włosy opadały w nieładzie na czoło, na oczy, przechylając głowę patrzyła nieruchomym wzrokiem na funkcjonariusza, który również wszedł do pokoju.

— Mamo, nie denerwuj się. Przeprowadzają u mnie rewizję. To nieporozumienie. Wszystko się wyjaśni, leż spokojnie.

Mama wciąż patrzyła na tamtego, nieznajomego, który stał w drzwiach.

— Mamo, powiedziałem ci przecież że to nieporozumienie. Uspokój się i połóż. Proszę cię, mamo.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

ANATOLIJ RYBAKOW (7)

Dzieci Arbatu

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

POCZTÓWKA Z ROWÓW

Rowy pełne są łodzian. Plaża czysta, woda raczej nie, pogoda zmienna, ceny makabryczne, dzień i noc nad głową latają odrzutowce, najpiękniejszy fragment plaży okupują naturyści, z czasopism dostępny jest jedynie tygodnik kolejarzy „Sygnały". Miejscowy dziennik zastanawia się ze zdumieniem, dlaczego ryby przeniosły się z naszego wybrzeża pod Szwecję. Biorąc pod uwagę stan czystości naszego Bałtyku stwierdzić można, że ryba głupia nie jest i wie co robi.

MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

KONIK DIOKLECJANA

...już starożytni, no właśnie, już starożytni utyskiwali na upadek dobrych obyczajów. O, tempora. O mores, co za czasy, co za obyczaje. Skarżyli się na korupcję, corruptio optimi pessima, przekupienie szczytem jest zła. Rzucali gromy na obłędną pogoń za bogactwem drogą nawet spekulacji, jako że, dat census honorem, majątek honory daje. Już w starożytności szalała też plaga niszczycielskiej inflacji.

Wartość monet wypuszczanych z rzymskiej mennicy topniała jak śnieg na słońcu.

Już starożytni uzmysłowili sobie, że inflacja rodzi niepokój o jutro, nikt nie jest pewny swej przyszłości, co dnia człowiek rodzi się uboższy. Nawet ciężko myślący pojmuje w końcu, że przy galopującej zwyżce cen kupowanie jest najlepszą formą oszczędzania. Kupuj dziś, bo jutro zdrożeje. Co masz, pojutrze z lichwiarskim sprzedasz zyskiem. Ruch cen sztucznie niejako napędza popyt.

Jak to się mówi, zapasu trzeba za czasu. Pro uno duo, mihi sunt dati, zysk jest wtedy, miasto utraty.

Już starożytni usiłowali najrozmaitszym sposobem słabnący pieniądz wzmocnić. Dioklecjan wydał surowy zgoła w tej kwestii imperatorski edykt. Mądry to był władca, dalekowzroczny, o silnej woli i niezłomnym charakterze. Te przemiany uczyniły go cesarzem, zbierającym u historyków same dobre na ogół noty. Miał też swego mola — kulejącą gospodarkę. Doszedł wreszcie do przeświadczenia, że dla zahamowania potęgującego się wskutek inflacji zubożenia ludności, konieczna jest ingerencja państwa.

I oto w 301 r. naszej ery wydał ostro zredagowany dekret o cenach i zarobkach. Była to ciekawa pod każdym względem próba jednoczesnego zamrożenia cen i płac. Edykt nakreślał górne granice wynagrodzeń. Nie wolno było ich naruszać pod groźbą kar przykładnych i dotkliwych. To samo dotyczyło cen.

Krótkie z tego edyktu wyjątki...

...obserwuje się z bólem i niepokojem szalejące na targowiskach ceny i rozpanoszoną wszędzie zbrodniczą żądzę zysku... ceny rosną, towarów brakuje, choć zaopatrzenie powinno być dobre, gdyż zbiory mieliśmy w tym roku całkiem niezłe... znaleźli się przestępcy, którzy obniżają poziom życia ludności, byle tylko nabić własną kiesę poprzez windowanie cen ponad wszelką przyzwoitość... żądza posiadania rozpleniła się na całym świecie i pora ją ukrócić...

Dioklecjan zamierzał spekulanckie kliki rozbić, jak byśmy to dziś powiedzieli i unieszkodliwić. Doniesiono mu wszak, że grupy pomysłowych oszustów i perfidnych malwersantów umyślnie wytwarzają na rynku brak wielu towarów. Produkty skupują, po czym ukrywają, grając na nową zwyżkę cen. Ogałacają ludność z pieniędzy, sami zaś pomnażają swój zbytek.

Aby inflacyjnej hydrze położyć tamę raz na zawsze, objęto edyktem zboża, mięso, ptactwo domowe i warzywa. Zakres sztywnych cen rozszerzono poza tym na obuwie, wina i owoce. A zarazem określono, ile kto może zarabiać. I tak robotnik rolny, pomijając bezpłatne locum i wyżywienie, miał pobierać dzienną zapłatę równą dzisiejszemu dolarowi. Murarz, cieśla, piekarz i kowal otrzymywali nieco więcej. O szczebel wyżej na zarobkowej drabince usadowił Dioklecjan nauczycieli, skrybów i sądowych adwokatów. Wygadany prawnik inkasował od sprawy 18 współczesnych dolarów. Mógł za nie nabyć 15 kilogramów wieprzowiny, 30 kurczaków bądź 15 litrów wybornego wina.

Tak więc Dioklecjan zaatakował inflację od strony cen i od strony zarobków. Frontalny to był atak prowadzony zaciekle i nieustępliwie. Wróżył sukces. Jednak Dioklecjan, działając w dobrych przecież intencjach, doznał druzgocącej klęski. Jego antyinflacyjna polityka doznała bezprzykładnego fiaska. Przydługi edykt o 37 paragrafach wypalił, a jakże, lecz kulą w płot.

Edykt spowodował niebywałe rozdęcie biurokracji. Na miasta wyległy kohorty inspektorów rynkowych i kontrolerów podatkowych. Pochylano się nad najmniejszym straganem. Zaglądano, do piekarni, masarni, brano na spytki golibrodów. Pod lupę trafiało wszystko. Rychło jednak się pokazało, że kuci na cztery kopyta handlarze bez trudu odnajdują furtki, żeby bezpiecznie się przemknąć i spokojnie paragrafy edyktu pomijać.

Litera prawa stała się bezsilna wobec twardej rzeczywistości nagiego życia i nieubłaganych reguł, przeto niewzruszonego prawa popytu i podaży. Niemal nazajutrz po opublikowaniu edyktu wiele artykułów poznikało z rynku jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Odnalazły się po jakimś czasie na czarnym rynku po nieporównywalnie wyższych cenach. Bumerang zdzielił prawodawcę.

Spekulacja nie to że zmalała, ale rozrosła się do rekordowych rozmiarów.

W ten oto sposób Dioklecjan spadł z deszczu pod rynnę.

Pojął wszelako, że nie tędy droga. Cichcem przymknął wpierw jedno oko na rosnące, mimo edyktu, ceny. Potem przymknął drugie oko na rosnące, mimo edyktu, zarobki. Skłoniły go, do tego niebezpieczne rozruchy w miastach i powtarzające się niepokoje w patrycjuszowskich latyfundiach. Formalnie edykt obowiązywał nadal. Uchylił go dopiero następca Dioklecjana, więc Konstantyn Wielki.

Zabrakło Dioklecjanowi łutu szczęścia? Skądże, uległ po prostu złudzeniu, że twardym jak stal prawem popytu i podaży daje się zza kulis manewrować jak pajacykiem na sznurku.

Koniec końców Dioklecjan ugiął się pod brzemieniem władzy i utrudzony nad wyraz władaniem, zdjął dobrowolnie cesarski wawrzyn ze swej skroni. Usunął się w zacisze dalekiej Dalmacji. Oddał się nad Adriatykiem uprawie kapusty, głosząc chwałę wielką warzyw i owoców. Jako jeden z pierwszych dowiódł, że kto pragnie żyć długo przy dobrym do tego zdrowiu, kosztować winien jak najwięcej zieleniny. Istotnie przeżył lat 86.

Tak oto skończyła się przygoda cesarza wszechrzymskiego imperium ze schorowanym pieniądzem, który próbował wzmocnić i uleczyć przy pomocy odgórnych dekretów.

Dioklecjan udzielił nam wszystkim wymownej nader i pouczającej lekcji. Żadnym edyktem nikt pieniądza nigdy nie ustabilizuje, rynku nie zrównoważy, inflacji nie powstrzyma. Co dedykuję mędrcom wszelakim, nawołującym w kraju nad Wisłą do uzdrowienia gospodarki poprzez jednoczesne i radykalne zamrożenie cen i zarobków. Zbyt byłoby to proste, aby mogło się udać. Już Dioklecjan dosiadł tego konika, uzbrojony nie w takie edykty, a wrócił na tarczy i skończył w ogródku z kapustą.

JAN BĄBIŃSKI

WYJAŚNIENIE NADESŁANE Z UL W TURNIE

Uprzejmie proszę o wydrukowanie następującego sprostowania.

Z niepokojem przyczytałem artykuł: „Śliczna gębulka ody do młodości" Jolanty Wrońskiej, zamieszczony w waszym piśmie 4 kwietnia 1987 r., który jest świadectwem odpowiedzialności dziennikarskiej za słowo. Dziennikarz, który decyduje się pisać artykuł interwencyjny, powinien oprzeć się o sprawdzone, wiarygodne informacje. Krytyka taka wymaga także znajomości faktów, a i podstawowej merytorycznej wiedzy o idei i funkcjonowaniu Uniwersytetów Ludowych w Polsce i na świecie.

A co czytamy w artykule?

„W kwietniu 1986 roku Rada Uniwersytetów Ludowych przy Zarządzie Głównym ZSMP powołała do życia Uniwersytet Ludowy w Turnie na bazie istniejącego wcześniej ośrodka, jako trzynastą z kolei tego typu placówkę pod patronatem ZSMP".

Informacja powinna brzmieć: Prezydium ZG ZSMP powołało do życia Uniwersytet Ludowy — Młodzieżowy Ośrodek Twórczości Ludowej ZSMP w Turnie (taka jest pełna nazwa), jako dwunastą z kolei placówkę działającą pod patronatem ZSMP.

Bez komentarza pozostawiam znajomość historii ruchu młodzieżowego po wojnie w następującym fragmencie oraz kulturę języka.

„Instytucje uniwersytetów ludowych, o przedwojennym spółdzielczym i „Wiciowym" rodowodzie działają obecnie w większości pod skrzydłami ZSMP, na mocy przejęcia masy spadkowej po dawnym ZMW, w chwili tworzenia w latach pięćdziesiątych jednej ogólnokrajowej organizacji młodzieżowej".

Dalej czytelnik zostaje jeszcze bardziej precyzyjnie informowany.

„Ich współczesny statut reguluje Umowa o Uniwersytetach Ludowych i Robotniczych zawarta pomiędzy Ministerstwem Oświaty i Wychowania a Zarządem Głównym ZSMP".

Statutem Uniwerystetów Ludowych ZSMP jest statut związku, a nie umowa. Natomiast status działalności Uniwersytetów Ludowych reguluje umowa zawarta pomiędzy Ministerstwem Oświaty i Wychowania a ZG ZSMP.

Następne fantastyczne wieści:

„Piec elektryczny jest darem Szwedów w ramach współpracy podobnych placówek".

Piec elektryczny jest produkcji krajowej i zakupiony został przez UL MOTL. W ramach współpracy pomiędzy UL MOTL Turno a UL Lunnevads Szwecja, otrzymaliśmy od Szwedów warsztat tkacki-kasetonowy, który Jolanta Wrońska oglądała w pracowni tkackiej.

„W październiku 1987 roku ukazał się (to znaczy, że dopiero się ukaże) *w „Kurierze Polskim" anons: Uniwersytet Ludowy w Turnie ogłasza zapisy na pierwszy kurs dla młodzieży pragnącej zdobyć zawód w specjalności tkacza, ceramika, sztukatora, stolarza-cieśli-snycerza i kowala artystycznego".*

Tu następuje zasadnicza dezinformacja, która konsekwentnie jest wykorzystana w następujących wypowiedziach. A przecież, Uunwersytet Ludowy ogłosił dwa zupełnie różne anonse: jeden dotyczył rekrutacji na studium (a nie na kurs — dlatego nieporozumienia w interpretacji programu) dla kandydatów ubiegających się o tytuł „Artysta rzemieślnik" w następujących specjalnościach: sztukatorstwo, stolarstwo-snycerstwo oraz kowalstwo artystyczne, drugi informuje o dwuletnim studium „Animator sztuki ludowej" ze specjalizacjami: ceramika sztuki ludowej, tkactwo sztuki ludowej. W naszym UL MOTL działają dwa zupełnie niezależne kierunki o różnych programach, które Jolanta Wrońska (w wiadomym celu) łączy przy omawianiu. Poruszając problemy kierunku „Artysta — rzemieślnik", tworzy chaotyczny obraz całego UL MOTL.

Czytamy dalej...

„Po złożeniu koniecznych egzaminów ze zdobytej wiedzy słuchaczy kierunku „Artysta rzemieślnik" będzie Uniwersytet kierować na 3-letnie praktyki zawodowe do Pracowni Konserwacji Zabytków na terenie całego kraju, z którymi to PKZ zawarte zostaną stosowne umowy".

Otóż informuję, że w naszym kraju działają Przedsiębiorstwa Państwowe Pracowni Konserwacji Zabytków, a z Oddziałem PP PKZ w Kielcach Uunwersytet Ludowy podpisał porozumienie 17 listopada 1986 roku. Porozumienie reguluje uzgodniony ze stronami program nauczania oraz zobowiązania wobec słuchaczy. Z tekstem porozumienia zapoznała się Jolanta Wrońska, dlatego dziwi interpretacja — „podpisywania umów".

W sprawach obietnic i rozczarowań wyjaśniam:

„Miały być podobnież wstępne rozmowy kwalifikacyjne przed przyjęciem. Nie było. Pewnie dlatego, że spodziewali się 60-70 ludzi, a przyjechało ledwie ponad dwudziestu, więc przyjęli wszystkich hurtem".

W dniu 15 października 1986 r. odbyły się rozmowy kwalifikacyjne oraz sprawdzenie wymaganych zdolności manualnych. Rozmowy prowadzone były przez dwie komisje. Przewodniczącym komisji kwalifikacyjnej „Animator sztuki ludowej" był dyrektor Muzeum Okręgowego w Radomiu, mgr Janusz Pulnar, a przewodniczącym komisji kwalifikacyjnej „Artysta rzemieślnik", mgr inż. arch. Ryszard Kański. Na 48 zgłoszonych kandydatów w wyniku rekrutacji zostało przyjętych 36 słuchaczy:

22 — słuchaczy na kierunek „Animator sztuki ludowej"

— 14 słuchaczy na kierunek „Artysta rzemieślnik".

W roku szkolnym 1986/87 do naszego Uniwersytetu uczęszczało 36 słuchaczy z całego kraju i czterech stypendystów ze Szwecji.

„Powiedzmy jasno, że jak chłopak ma dwadzieścia lat i nie skończone liceum, to on po pierwsze ucieka przed wojskiem. Żeby zrobić maturę musiałby wrócić do normalnej szkoły albo do wieczorowej. I wojsko go bierze od ręki".

Jolanta Wrońska sugeruje czytelnikowi, że Uniwersytet nasz *„jest ucieczką przed wojskiem".* To jest jeszcze jedno domniemanie. Część naszych słuchaczy odbyła zasadniczą służbę wojskową. Ponadto UL MOTL nie reklamuje w przypadkach powołania do wojska słuchaczy.

„— Obiecano, że będą stypendia jak na normalnych studiach na czas nauki". Kto obiecał? W ogłoszeniach była wzmianka i dotyczyła słuchaczy z kierunku „Artysta rzemieślnik". Cytuję: *„Słuchacze mogą otrzymać stypendium"* — ale tego zdania, niestety Jolanta Wrońska zapomniała podać przy omawianiu anonsu.

Wszyscy słuchacze kierunku „Artysta rzemieślnik" otrzymują stypendia od listopada 1986 roku do dnia dzisiejszego w wysokości 4.000 zł miesięcznie.

„Słuchacz nie może mieć stałej pracy, a szefową kierownik zabronił podejmowania pracy na własną rękę".

Jeśli kiedykolwiek Jolanta Wrońska będzie odpowiedzialna za ludzi, zrozumie dlaczego. Natomiast chcę poinformować, że w maju br. samorząd słuchaczy UL MOTL w Turnie, zorganizował spółdzielnię, w której przeszkoleni z zakresu bhp słuchacze, mogą zarobkować.

„Nikt nie jest ubezpieczony i nie wiadomo, co robić w razie choroby". Wszyscy słuchacze są ubezpieczeni. W przypadku choroby, udziela porad Rejonowa Przychodnia Lekarska w Białobrzegach.

„Jak to działa?" — pyta dalej Jolanta Wrońska. Tu zaczyna sugerować czytelnikowi, że koszty utrzymania UL MOTL w Turnie są bardzo duże, między innymi z następujących powodów.

„No i godziny zlecone dla dojeżdżających wykładowców — 15 osób po 22 zł za godzinę..." Czy nie sądzi pani że to bardzo tanio?

Ale, *„Do tego mieszkanie kierownika w budynku biurowym ośrodka, no i żona i dwoje dzieci mieszkających na miejscu, żywiących się itd.".*

Jak wiadomo, według „karty nauczyciela", mieszkanie służbowe przysługuje wszystkim nauczycielom wiejskim. Synowie żywią się w stołówce Uniwersytetu i zgodnie z instrukcją ZG ZSMP płacę za ich wyżywienie, co nie obciąża budżetu UL MOTL.

Natomiast małżonka moja, niestety, musi jadać w kiepskich barach, ponieważ jest starszym lustratorem w WZKiOR i z racji wykonywanych obowiązków wyjeżdża z domu o godz. 5.00, a wraca późnym wieczorem. Zastanawiające, że tych faktów nie chciała sprawdzić, wyjaśnić Jolanta Wrońska przebywając w Turnie — sądzę że świadomie.

A na zakończenie chce nam udowodnić, że:

— *„Praktycznie kierunek „animator sztuki" nie działa. Chętni po prostu chodzą na inne zajęcia z kierunku sztukator, tkacz, stolarz-snycerz albo ceramik. Dokładnie nie wiadomo właściwie jak wygląda gryplan".*

Uważny czytelnik zorientuje się w tym miejscu, jak wiarygodne i logiczne są wywody Jolanty Wrońskiej, która umiejętnie ale bez znajomości realiów układa wypowiedzi słuchaczy. Wiadomo już teraz — *„jak wygląda gryplan"*, bo jak może nie funkcjonować kierunek „Animator sztuki ludowej", skoro słuchacze uczęszczają na zajęcia z tkactwa i ceramiki!

Zatem, co tu jest nieporozumieniem?

Czytelników, którzy chcą zapoznać się z działalnością merytoryczną, metodami pracy Uniwersytetu Ludowego MOTL ZSMP w Turnie, zachęcam do przeczytania artykułu „Trzy fazy słonecznika" Julity Twardowskiej, który ukazał się w czerwcowym numerze miesięcznika społeczno-kulturalnego „Przemiany". W artykule znajdują się także autentyczne (nie anonimowe) wypowiedzi naszych słuchaczy.

Z poważaniem
Dyrektor UL MOTL
BOGDAN BETZ

Wyjaśnienie z Uniwersytetu Ludowego w Turnie drukuję z mieszanymi uczuciami. Po pierwsze dlatego, że artykuł Jolanty Wrońskiej ukazał się przed trzema miesiącami i Czytelnik ma prawo już nie pamiętać, o co tam chodziło. „Prawo prasowe" w art. 33, pkt. 4 pozwala redaktorowi naczelnemu nie publikować sprostowania lub odpowiedzi, jeśli zostało „nadesłane po upływie miesiąca od dnia opublikowania materiału prasowego, chyba że zainteresowana osoba nie mogła zapoznać się wcześniej z treścią publikacji, nie później jednak niż w ciągu 3 miesięcy od dnia opublikowania materiału prasowego". Bogdan Betz nie podał żadnych istotnych powodów, dlaczego nie mógł wcześniej zareagować na krytyczne uwagi zawarte w artykule Jolanty Wrońskiej. Ale nie bądźmy drobiazgowi. Krytykowany powinien mieć prawo do obrony. I takiego prawa Bogdanowi Betzowi nie mogę odmówić.

Muszę natomiast do jego wyjaśnienia dopisać kilka uwag zasadniczych, które zmieniają jakość i wagę zarzutów. Otóż Jolanta Wrońska pisząc swój artykuł zastosowała taką metodę, że cytowała wypowiedzi słuchaczy UL w Turnie oraz je komentowała lub uzupełniała. Przy czym cytowane wypowiedzi drukowane były kursywą. Łatwo więc można rozróżnić, co jest wypowiedzią krytyczną słuchaczy, a co pochodzi od samej autorki. Natomiast Bogdan Betz w swoim wyjaśnieniu wszystko wrzuca do jednego worka, sugerując tym, że to tylko Jolanta Wrońska wyrażała się krytycznie o działalności UL w Turnie. A to nieprawda.

W powyższym wyjaśnieniu cytaty z artykułu Jolanty Wrońskiej również drukujemy kursywą. Ale trzeba do tego dodatkowo wyjaśnić, że cytaty zaczynające się od słów: „W kwietniu 1986 roku Rada Uniwersytetów", „Instytucje uniwersytetów ludowych...", „Ich współczesny statut...", „Piec elektryczny...", „W październiku 1987 roku...", „Po złożeniu koniecznych egzaminów...", „Słuchacz nie może mieć..." oraz „Nikt nie jest ubezpieczony..." są cytatami pochodzącymi z wypowiedzi autorki. Reszta są to cytaty z wypowiedzi słuchaczy. Drobna to, ale istotna różnica, bo to na przykład nie „Jolanta Wrońska sugeruje czytelnikowi, że Uniwersytet nasz „jest ucieczką przed wojskiem", a jedynie cytuje wypowiedź słuchacza na ten temat.

Myślę, że kilka innych zarzutów dałoby się wyjaśnić podobnie, a niektóre — jak choćby owe 22 złote za godzinę — niedopatrzeniem korekty. A to już wina redakcji, a nie autorki.

Lojalnie muszę poinformować Czytelnika, że otrzymałem też pismo Samorządu UL w Turnie podpisane przez Ryszarda Kamalę, Monikę Reszel, Andrzeja Chonę, Jacka Stępnia i Witolda Smolarczyka. List ten nie wnosi nic nowego, ani nie odnosi się w sposób rzeczowy do faktów, a więc zgodnie z art. 31, pkt. 1 i 2 „Prawa prasowego" mogę go nie opublikować. Co też czynię.

Publikując powyżej wyjaśnienie Bogdana Betza, które w swojej istocie nie podważa w niczym przedstawionych przez Jolantę Wrońską zarzutów, uważam tym samym sprawę za zakończoną i nie uważam, aby było celowe powracać do niej na łamach „Odgłosów". Nie oznacza to, że tym samym odmawiam Bogdanowi Betzowi prawa do szukania innego sposobu dochodzenia swoich racji.

Łódź, 1987.07.16.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

INFORMUJEMY

NAGRODA LITERACKA IM. TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ŁODZI

Zarząd Przyjaciół Łodzi wznawia Nagrodę Literacką im. Towarzystwa Przyjaciół Łodzi (pierwszą przyznano w roku 1964).

Nagrodę przyznaje się za utwory prozatorskie, zbiory wierszy, esejów, reportaży oraz opracowania syntetyczne i popularno-naukowe z zakresu nauk społeczno-humanistycznych wydanych w formie książkowej.

Tematyka utworu powinna dotyczyć samej Łodzi lub Łodzi i regionu łódzkiego.

Nagroda ma charakter indywidualny i będzie przyznawana co dwa lata w rocznicę założenia TPŁ tj. 27 listopada.

Do nagrody można zgłaszać utwory wydane w ostatnich dwóch latach kalendarzowych poprzedzających termin jej przyznawania.

Wniosek o przyznanie nagrody mogą przedkładać na piśmie i z uzasadnieniem pod adresem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi związki, stowarzyszenia twórcze, społeczno-kulturalne, wydawnictwa do dnia 15 września 1987 r. Wysokość nagród oraz skład Komisji Nagrody TPŁ podany będzie w odrębnym komunikacie.

Szczegółowy regulamin do wglądu w biurze TPŁ przy ul. Ogrodowej 15, w godzinach 10—15 codziennie oprócz sobót, tel. 57-73-92.

■

Pierwsze wrażenia z podróży na Ukrainę i do Mołdawii

Komu salutowali milicjanci?

EUGENIUSZ IWANICKI

Podróż z Warszawy do Kijowa trwa siedemnaście godzin. W Warszawie termometr wskazywał +9 st. C, tu wpadłem w trzydziestostopniowy ukrop. Ponadto, jak to bywa w takich przypadkach nikt po mnie nie wyszedł. Łapiąc z wysiłkiem gorące powietrze, powlokłem się w stronę „Intouristu" z nadzieją, że być może tam znajdę pomoc.

Tu małe wyjaśnienie: docelowym miejscem mojej podróży był Kiszyniów, stolica Mołdawii. Sęk jednak w tym, że pociągi z Kijowa do Kiszyniowa odchodzą w godzinach rannych, a skoro przyjechałem tu dopiero o 16°° muszę więc co najmniej siedemnaście godzin spędzić w nieznanym i obcym mi mieście. Co prawda w Warszawie zapewniano mnie, że na dworcu będą mnie oczekiwać, w praktyce jednak okazało się, że nikt nie wyszedł.

Powlokłem się do „Intouristu". Przed wejściem zabiegł mi drogę obrośnięty, młody człowiek pytając czy aby nie jestem pisarzem z Polski i czy nie nazywam się Eugeniusz Iwanicki.

Od tego momentu zaczęła się moja przygoda z Kijowem.

WRAŻENIE PIERWSZE

Wsiadam do nowiutkiej „Czajki", w której wnętrzu mógłby zmieścić się co najmniej pluton żołnierzy. Jest to przestronna, elegancka limuzyna z klimatyzacją, z dodatkowymi rozkładanymi fotelami, z jakimiś schowkami i urządzeniami. Zapadam głęboko w mleczno-kawową kanapę. Niemal leżę. Ale największe wrażenie wywarł na mnie fakt, iż w czasie przejazdu przez Kijów ustępowały nam z drogi wszystkie samochody, nawet trolejbusy zjeżdżały na bok, a milicjanci z GAI salutowali wyprężeni na baczność. Nie muszę mówić jak się czułem! Ręką pozdrawiałem zarówno przedstawicieli władzy, jak i licznych przechodniów starających się zajrzeć w głąb limuzyny.

— Ho,ho! — myślałem. W tym kraju literaci mają nie tylko swoich zagorzałych czytelników, ale i ogromny mir, skoro tak ich się wita.

Kiedy dojechaliśmy do hotelu „Zowtniewa" na ulicy Róży Lukśemburg, zapytałem dyskretnie mojego cicerone o ten niezwykły objaw szacunku i zainteresowania, jaki zauważyłem w czasie przejazdu.

— Milicjanci salutują władzę — powiedział. — Ta „Czajka" wozi przewodniczącego Rady Najwyższej Ukrainy.

WRAŻENIE DRUGIE

Wieczorem w tv słucham wystąpienia Olesia Honczara, jednego z czołowych przedstawicieli literatury ukraińskiej. Jest to znaczące i ważne wydarzenie. A jednocześnie jest to także głos nawiązujący do głośnego już plenum Prezydium Związku Pisarzy ZSRR, jakie się odbyło w Moskwie w dniach 27-28 kwietnia br., a było poświęcone tematowi „Współczesność i literatura". Oleś Honczar mówi o dyskryminacji, jakiej była poddawana kultura ukraińska w ciągu minionych dziesięcioleci. A przecież każdy naród, nawet najmniejszy, ma prawo do własnego języka, do własnych tradycji i do własnej historii. Nastał teraz czas, by o tym wszystkim mówić otwarcie i głośno. Pieriestrojka — to przebudowa nie tylko stosunków społeczno—ekonomicznych, to także przebudowa stosunków wewnątrz wielonarodowej rodziny, jaką jest Związek Radziecki.

Przemówienie Olesia Honczara jest długie. Potem, gdy zjawiam się w Kijowie po dwóch tygodniach, mówią mi, że kiedy transmitowano jego wystąpienie w tv, prawie cały Kijów zebrał się przed telewizorami. Bo takie tu jest silne poczucie odrębności narodowej i pragnienie, by tę odrębność zachować w jej wszelkich możliwych przejawach. Zdarza się nawet — czego doświadczyłem osobiście — że to poczucie u niektórych ludzi, szczególnie młodych, przybiera formy demonstracyjne. Zwiedzając Kijów zapuściłem się w zaułki starego miasta i, co tu dużo mówić, straciłem orientację! Pytani w języku rosyjskim o drogę młodzi ludzie odpowiadali mi po ukraińsku, choć doskonale znają język rosyjski. Inny przykład: spędziłem kilkanaście godzin z dwoma docentami tamtejszego uniwersytetu. Jeden z nich od razu zaczął mówić po rosyjsku, natomiast drugi — wyczuwałem to — demonstrował swoją narodowość zwracając się do mnie po ukraińsku. Na szczęście na tyle znam ten język, że nie stanowiło to dla mnie przeszkody w porozumiewaniu się, oczywiście znam ukraiński biernie, więc na jego pytania po ukraińsku odpowiadałem w języku rosyjskim).

Pisarze ukraińscy narzekają na poligrafię. Odpowiedziałem, że u nas jest z tym jeszcze gorzej. Ależ nie o to chodzi — oburzył się mój cicerone, który okazał się być przedstawicielem tamtejszej, liczącej półtora tysiąca, organizacji pisarzy. — Książki w języku ukraińskim czekają na druk trzy lata, a nieraz i dłużej. A pierwszy drukarz działający na Ukrainie i Rusi w XVI wieku Iwan Fiodorow drukował na prymitywnym sprzęcie książkę w ciągu pół roku! Jak to wytłumaczyć?

Pytałem różnych ludzi o „pieriestrojkę". Jak oni ją pojmują, jak ją rozumieją i czym ona jest w ich osobistym życiu. Odpowiadali mniej więcej tak: od 1.500 lat na Ukrainie nie było demokracji. Teraz mamy jej coraz więcej. I co? Okazało się, że ludzie nie wiedzą co z tym robić. Jeszcze nie przywykli.

Dla nas, ludzi mieszkających w dorzeczach Odry i Wisły i mówiących jednym językiem, może wydać się to wszystko niezrozumiałe. Ale w Związku Radzieckim, w którym wydaje się książki w 78 językach, problem odrębności kulturowych jest niezwykle skomplikowany. Przez całe dziesięciolecia mniejszości narodowe były, jak teraz sami mówią, dyskryminowane, w wielu republikach nie było szkół narodowych, całe pokolenia wychowywały się w oderwaniu od swojego języka, kultury, historii. Teraz chcą to nadrobić i to bardzo szybko. Stąd ta niecierpliwość i pośpiech, ten gwałtowny powrót do korzeni.

Przypomniało mi się sympozjum, jakie odbyło się w Łodzi w końcu czerwca pod nazwą „Dni młodej literatury radzieckiej", podczas którego wiele mówiono o odrębnościach poszczególnych literatur narodów ZSRR oraz o losach literatur małych narodowości. Zapamiętałem wystąpienie przedstawiciela Azerbejdżanu. Powiedział z goryczą: u nas pisarz czeka na książkę w języku ojczystym prawie 7 lat, natomiast jeśli chce ją wydać po rosyjsku, zaledwie 2 - 3 lata!

WRAŻENIE TRZECIE

Na ulicach Kijowa nie ma zakazu używania przez samochody sygnałów dźwiękowych. Więc trąbią wszyscy i przy lada okazji. Za to miasto jest wspaniałe. Ktoś powiedział, że jest to „Matka rosyjskich miast", a inny dodał, że „jest to miasto w lesie, albo las w mieście".

Kijów rozciągnął się na wzgórzach. Wyciągniętą dolinę zajmuje najważniejsza promenada — Kreszczatik, w który niczym w potężną rzekę, wlewają się ze stromych zboczy dziesiątki ulic i uliczek. Sam Kreszczatik (wulica Chreszczatik) został odbudowany po wojnie, bowiem w przededniu niemieckiej okupacji wysadzono go w powietrze (ocalały zaledwie cztery domy, które teraz pokazuje się turystom). Odbudowywano Kreszczatik w okresie realizmu socjalistycznego nie dbając o zharmonizowanie nowej architektury ze starymi budowlami i cerkwiami. Rdzenni mieszkańcy Kijowa nie są z tego zadowoleni, twierdzą, że należało przywrócić dawne, zburzone budowle, jak to zrobili Polacy ze Starym Miastem w Warszawie.

Natomiast stare uliczki spadające stromo ku Dnieprowi są pieczołowicie remontowane, na niektórych jezdniach zrywa się asfalt i kładzie bruk, a środkiem puszcza rów odpływowy. Konserwatorzy starają się, aby miasto zachowało swój wygląd, aby nazwa „stare" nie była pustym dźwiękiem.

Jedną z takich krętych, cichych i sennych uliczek, zwaną Andriejewskij izwiz dotarłem do pospolitego domu oznaczonego numerem 13. Tu mieszkał Michaił Bułhakow, autor „Mistrza i Małgorzaty". Na frontonie jest tylko tablica pamiątkowa i wyryty konterfekt twarzy wielkiego pisarza. Mieszkanie po rodzinie Bułhakowów zajmuje kto inny i nie wpuszcza ciekawskich do środka. Nie ma natomiast w Kijowie muzeum poświęconego autorowi „Białej gwardii".

Uzupełnieniem krajobrazu są liczne cerkwie pieczołowicie odrestaurowywane i odnawiane. Ich złote kopuły ostrym blaskiem odcinają się od ciemnej zieleni gęsto rosnących drzew.

WRAŻENIE CZWARTE

Co kilkadziesiąt metrów na ulicach są ustawione saturatory z wodą sodową. We wgłębieniach — szklanki (i wcale nie są przymocowane łańcuchami). Ludzie tłoczą się, piją. Nikt tych szklanek nie kradnie, nie tłucze, nikt nie pilnuje saturatorów.

W parkach ławki (całe), na latarniach licznie płonących wśród drzew, pęki szklanych kloszy (też całe!). Ulice czyste, ocienione lipami, kasztanami. Na skwerach plantacje róż. Akurat kwitł jaśmin białymi gwiazdkami i jego intensywny zapach mieszał się z miodowym aromatem lip. Sennie szemrzą fontanny odbijając światła latarń.

Nad Dnieprem, na skarpie pomnik w kształcie tęczy symbolizujący połączenie się Ukrainy z Rosją. Ze skarpy rozciąga się wspaniały widok na leżącą w dole rzekę, na ogrody i parki. Dniepr płynie wieloma odnogami wokół ciemnozielonych wysp i wysepek. Gdzieś w tej zbitej zielonej leśnej masie dudnią przejeżdżające pociągi. Wyżej — tama i elektrownia.

Kijów ma bogatą przeszłość. Tędy wiodły szlaki handlowe z Grecji do Skandynawii i z Europy do Azji, tu w początkach IX wieku rodziła się Ruś Kijowska. Samo miasto w swej historii przechodziło różne, burzliwe koleje: zajmowali go Tatarzy, należało do Księstwa Litewskiego, do Rzeczypospolitej, w końcu do Rusi. Dziś liczy około 3 mln. mieszkańców i jest jednym z najpiękniejszych miast ZSRR.

Podróżny przybywający do Kijowa, a mający do dyspozycji zaledwie kilkadziesiąt godzin, nie wie co wpierw podziwiać: współczesność czy przeszłość, ulice, fabryki, port rzeczny przyjmujący nawet statki o wyporności do 5000 DTW czy urok ponad tysiącletnich budowli sakralnych? Czy może ludzi tłoczących się na placu Żowtniewoj Rewolucji, gdzie rozłożyli swoje obrazy malarze, gdzie za jedyne dziesięć rubli można zamówić sobie na poczekaniu portret w kolorze i gdzie tryska fontanna gigant w otoczeniu sześciu pomniejszych? A może zwyczajnie pospacerować w zapadającym zmierzchu po ruchliwym i barwnym Kreszczatiku?

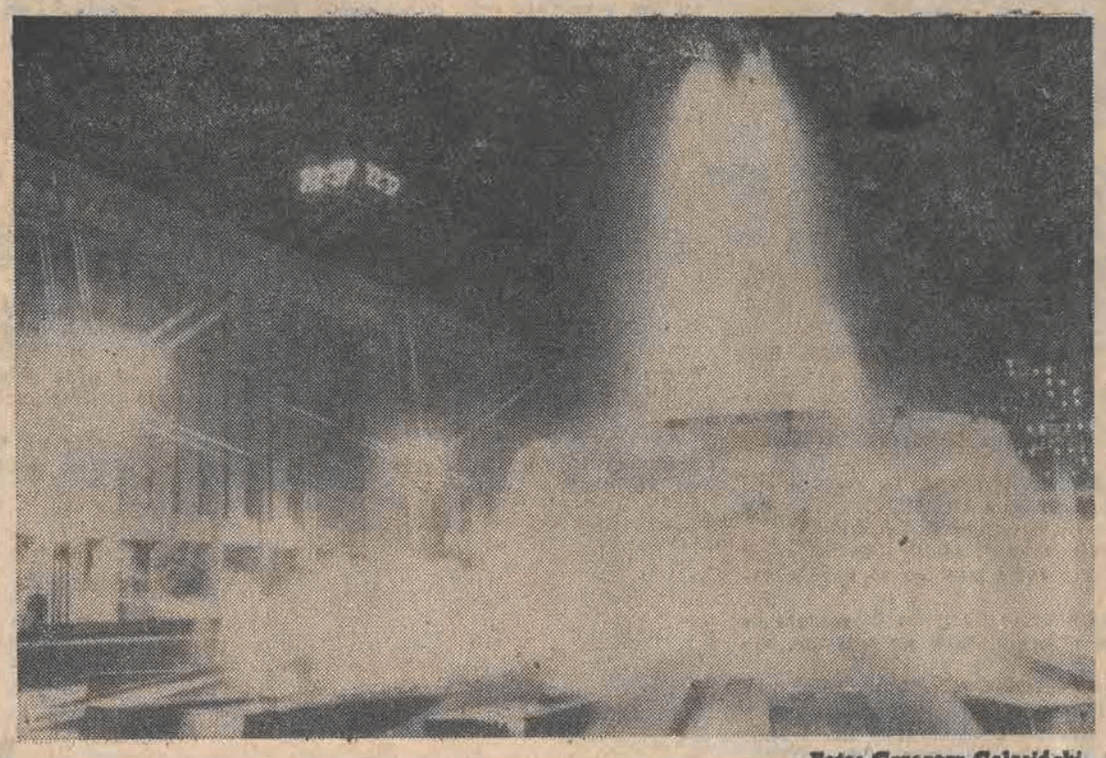

Fotos Grzegorz Galasiński

Algieria Architektura i woda

WŁODZIMIERZ KĄŁCZAK

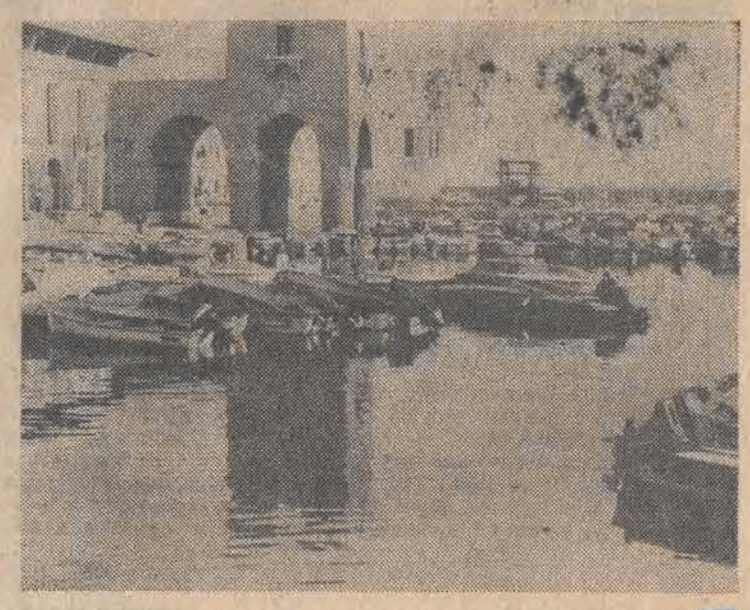

ze str. 1

Jak Fiodor Raskolnikow został „wrogiem ludu"

Owym oficerem był Fiodor Raskolnikow, ale autor wspomnień nie wymienił jego nazwiska, gdyż wiedział, iż od 1938 roku wspomnienie o Fiodorze Raskolnikowie w prasie stało się niemożliwe.

W numerze 12 miesięcznika „WOPROSY ISTORII KPSS" z 1963 roku W. Zajcew, który „na polecenie" najwyższych organów partyjnych uczestniczył w badaniu „sprawy" Raskolnikowa, napisał:

„Po XVII zjeździe partii, znajdując się za granicą, z niepokojem obserwuje rozwój kultu jednostki Stalina. W wyniku przemocy i bezprawia bezmyślnie ginęły leninowskie kadry partii i państwa radzieckiego, wybitni dowódcy wojskowi, których Raskolnikow znał osobiście z wojny domowej oraz dyplomaci niewygodni dla Stalina. Wszystko to niepokoiło Raskolnikowa. Pracując w Bułgarii, zaczął zauważać jak posłani przez Jeżowa, a później przez Berię agenci śledzili go.

W lipcu 1939 roku, przebywając we Francji, Raskolnikow dowiaduje się, że w ojczyźnie został ogłoszony „wrogiem ludu" i postawiony poza prawem.

Właśnie wówczas, znajdując się w niezwykle trudnych warunkach, F. Raskolnikow postanawia rozpocząć walkę z kultem Stalina. 22 lipca publikuje otwarte oświadczenie „Jak uczyniono ze mnie „wroga ludu", w którym zdecydowanie występuje w obronie samego siebie i innych niesłusznie represjonowanych, wybitnych działaczy partii i państwa radzieckiego".

W latach 1936—1937 Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych wielokrotnie wzywał go z Sofii do Moskwy rzekomo na rozmowy o nowej nominacji to do Meksyku, to do Czechosłowacji, to do Grecji, to do Turcji. Czując *„zdecydowanie niepoważny charakter"* tych pretekstów (jak można było je traktować inaczej, jeśli na przykład z Meksykiem nie było stosunków dyplomatycznych?) Fiodor Raskolnikow nie przyjmował tych propozycji oświadczając, iż *„zadowolony jest ze swojego pobytu w Bułgarii"*. Wreszcie Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych zażądał jego niezwłocznego przyjazdu do Moskwy, obiecując nieokreśloną *„bardziej odpowiedzialną"* nominację.

„1 kwietnia 1938 roku — pisał później Fiodor Raskolnikow w oświadczeniu — *wyjechałem z Sofii do Moskwy, o czym tego właśnie dnia zawiadomiłem telefonicznie Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych... Cała kolonia radziecka w Bułgarii odprowadziła mnie na dworzec".*

Jednakże do Moskwy Raskolnikow nie przyjechał. Zdarzyło się coś nieoczekiwanego. We wspomnianym oświadczeniu opowiadał o tym tak:

„5 kwietnia 1938 roku, zanim zdążyłem dojechać do granicy radzieckiej, w Moskwie stracono cierpliwość i kiedy byłem jeszcze w drodze, w sposób skandaliczny zwolniono mnie ze stanowiska pełnomocnego przedstawiciela ZSRR w Bułgarii, o czym, ku swojemu zdziwieniu, dowiedziałem się z gazet zagranicznych. Nie zachowano przy tym nawet minimum przyzwoitości i nie nazwano mnie towarzyszem. Jestem człowiekiem obytym politycznie i rozumiem, co to znaczy, kiedy kogoś zdejmują ze stanowiska tak gwałtownie i informują o tym przez radio cały świat.

Po tym wszystkim stało się dla mnie w zupełności jasne, iż po przekroczeniu granicy zostanę niezwłocznie aresztowany.

Nie miałem też wątpliwości co do tego, że podobnie jak wielu innych starych bolszewików, stałem się winnym bez winy. Wszystkie natomiast propozycje odpowiedzialnych stanowisk od Meksyku do Ankary były potrzaskiem, sposobem zwabienia mnie do Moskwy. Takimi niegodziwymi sposobami, niegodnymi państwa, oklamano wielu pełnomocnych przedstawicieli. L. Karachanowowi usilnie proponowano stanowisko posła w Waszyngtonie, kiedy natomiast przyjechał do Moskwy, został aresztowany i rozstrzelany. W. Antonow-Owsiejenko został wezwany z Hiszpanii pod pretekstem nominacji na Ludowego Komisarza Sprawiedliwości RFSRR. Żeby dodać tej nominacji większej siły przekonywania decyzja o niej została nawet opublikowana w „IZWIESTIACH" i „PRAWDZIE". Czy ktokolwiek z czytelników gazet podejrzewał, że linijki te zostały wydrukowane specjalnie dla jednego Antonowa-Owsiejenki?

Podróż do Moskwy po decyzji z 5 kwietnia 1938 roku, zgodnie z którą zwolniono mnie ze służby jako przestępcę, którego wina została dowiedziona i nie budzi wątpliwości, byłaby czystym szaleństwem, równoznacznym z samobójstwem".

Pozostając za granicą Fiodor Raskolnikow *„bez względu na niesłychanie oburzający sposób zwolnienia ze stanowiska"* był powściągliwy i lojalny wobec rządu radzieckiego. 12 października 1938 roku został wezwany do pełnomocnego przedstawiciela ZSRR we Francji, gdzie ambasador J. Suric, informując iż rząd radziecki *„oprócz samowolnego przebywania za granicą, żadnych pretensji politycznych"* do niego nie ma, zaproponował Raskolnikowowi wyjazd do Moskwy, gwarantując, iż po przyjeździe *„nic mu nie grozi"*. Jednakże Raskolnikow doskonale wiedział, że sam tylko *„samowolny pobyt za granicą"* — niezależnie od tego, czym został spowodowany — uważany był wówczas za zdradę ojczyzny ze wszelkimi wynikającymi z tego następstwami.

18 października 1938 roku wysłał list do Stalina, w którym oświadczył, iż nie uznaje za uzasadniony jedyny wówczas zarzut pod swoim adresem, a jego czasowy pobyt za granicą *„nie jest samowolny, lecz wymuszony"*.

„Nigdy nie odmawiałem powrotu do ZSRR — pisał Fiodor Raskolnikow. — *Od tego czasu żadnych nowych żądań powrotu mi nie stawiano. Moja prośba do paryskiego przedstawicielstwa pełnomocnego o przedłużenie paszportu pozostała bez odpowiedzi".*

W oświadczeniu „Jak zrobiono ze mnie „wroga ludu", napisanym 22 lipca 1939 roku stwierdził między innymi:

„Dowiedziałem się z gazet o zorganizowanej 17 lipca farsie sądu zaocznego. Zmusiwszy mnie do wyjazdu z Sofii, ogłoszono mnie „dezerterem"; samowolnie zwolniwszy ze służby, ogłoszono, że odmówiłem powrotu z zagranicy, ignorując całkowicie moje udokumentowane oświadczenie złożone Stalinowi, że nigdy nie odmawiałem i nie odmawiam powrotu do ZSRR.

Moją lojalność uznano za „przejście do obozu wrogów ludu". *Werdykt ten jeszcze raz rzuca snop światła na stalinowski wymiar sprawiedliwości, na inscenizowanie ostawionych procesów, przekonująco pokazuje, w jaki sposób fabrykowano niezliczonych* „wrogów ludu" *i jakie uzasadnienie jest wystarczające dla Sądu Najwyższego, by skazać na najwyższy wymiar kary. (...)*

Postawienie mnie poza prawem zostało podyktowane ślepą wściekłością wobec człowieka, który odmówił pokornego położenia głowy na szafocie, ośmielił się bronić swojego życia, wolności i honoru. Protestuję przeciwko takim kpinom z wymiaru sprawiedliwości i domagam się jawnego rozpatrzenia sprawy oraz dania mi możliwości obrony".

Pod koniec sierpnia 1938 roku, przebywając w Nicei, Raskolnikow zachorował na zapalenie płuc i w ciężkim stanie został przewieziony do szpitala. Wkrótce u chorego wywiązało się zapalenie opon mózgowych, którego nie przetrzymał i 12 września 1939 roku zmarł. Jego prochy spoczywają w grobowcu rodzinnym jednej z rodzin francuskich w Nicei.

Na krótko przed śmiercią Fiodor Raskolnikow, zapamiętale wierzący w siły moralne swojego narodu, napisał list otwarty do Józefa Stalina, w którym wyraził nadzieję, iż niedaleki jest czas, kiedy reżim przemocy i bezprawia wprowadzony przez Stalina, zostanie zdemaskowany i zwyciężą sprawiedliwość, za którą oddały życie całe pokolenia rewolucjonistów. Czasy takie nadeszły. Zainicjowały je w życiu Kraju Rad XX i XXII Zjazd partii. 10 lipca 1963 roku, decyzją plenum Sądu Najwyższego, werdykt z 1939 roku w „sprawie" Raskolnikowa został anulowany *„z braku w jego działaniach znamion przestępstwa"* i przywrócono mu prawo członka partii komunistycznej, której służbie oddał 30 lat swojego świadomego życia.

LIST DO JÓZEFA STALINA Z 17 SIERPNIA 1939 ROKU

Po ćwierćwieczu przemilczania i znieważania nazwiska Fiodora Raskolnikowa dowiedzieliśmy się, że wszystko to oparte było na złośliwych pomówieniach. „WOPROSY ISTORII KPSS" napisały czarno na białym, iż sława bohatera Października i wojny domowej pozostała niesplamiona, że do końca swoich dni Fiodor Raskolnikow *„pozostał bolszewikiem, leninowcem, obywatelem Związku Radzieckiego. Przebywając na wygnaniu nie skompromitował się niczym".* Wówczas też, w grudniu 1963 roku, dowiedzieliśmy się o liście otwartym Fiodora Raskolnikowa do Stalina z 17 sierpnia 1939 roku. Okazało się, że w partii również w latach kultu Stalina były zdrowe siły, które nie godziły się z samowolą i odchodzeniem od leninowskich norm życia społecznego, podniesionymi do rangi polityki rządowej.

W. Bonch-Brujewicz — *autor wspomnień „Włodzimierz Iljicz Lenin i flota", w których opisał — bez wymienienia nazwiska — bohaterskie czyny Fiodora Raskolnikowa.*

W liście do Józefa Stalina Fiodor Raskolnikow pisał:

„Przy pomocy brudnych fałszerstw zainscenizowaliście procesy sądowe, przechodzące w bzdurności oskarżeń znane wam z podręczników w seminarium średniowieczne procesy czarownic. Zmusiliście ludzi idących z wami w męczarniach i z obrzydzeniem do stąpania po kałużach krwi wczorajszych towarzyszy i przyjaciół. W kłamliwej historii partii, napisanej pod waszym kierownictwem, okradliście martwych, zabitych i znieslawionych przez was ludzi oraz przypisaliście sobie ich bohaterskie czyny i zasługi".

List Fiodora Raskolnikowa pozwala prześledzić ewolucję ówczesnych zjawisk, dotrzeć do ich źródeł, zwraca uwagę na czynniki określające ich żywotność, bez których ujawnienia niemożliwe jest ich wykarczowanie. Charakterystyczne dla Fiodora Raskolnikowa — i w tym tkwi nauka, jaką daje nam bolszewik leninowskiego pokolenia — było bezlitosne obnażanie tworzącego się zła bez taryfy ulgowej dla *„obiektywnych"* przyczyn, które są często świadomie wykorzystywane dla jego usprawiedliwienia.

„Ogłaszając obłudnie inteligencję „solą ziemi" — pisał Fiodor Raskolnikow — *pozbawialiście minimum wewnętrznej swobody pracę pisarza, uczonego i malarza. Ścisnęliście sztukę w kleszczach, w których dusi się i obumiera. Bestialstwa zastraszonej przez was cenzury i zrozumiała bojaźliwość redaktorów odpowiadających za wszystko głową, doprowadziły do skostnienia i paraliżu literaturę radziecką. Pisarz nie może drukować swoich utworów, dramaturg wystawiać swoich sztuk na scenach teatrów, krytyk nie może wypowiadać swojego osobistego zdania, jeśli nie ma na nich oficjalnej pieczątki. Dławicie sztukę radziecką domagając się od niej dworskiego luzusostwa, jednakże ona woli milczeć, żeby nie śpiewać wam „hosanna". Narzuciście pseudosztukę, która natrętnie jednostronnie opiewa waszą osławioną, budzącą odrazę „genialność". Pozbawieni talentu grafomani sławią was jako półboga, zrodzonego przez księżyc i słońce, a wy, jak wschodni despota, upajacie się kadzidłem ohydnych pochlebstw. Bezlitośnie niszczycie utalentowanych, lecz osobiście wam niewygodnych pisarzy. Gdzie jest Borys Pilniak? Gdzie Siergiej Triatiakow? Gdzie A. Arosiew? Gdzie Michaił Kolcow? Gdzie Galina Seriebriakowa, której wina polegała na tym, że była żoną Sokolnikowa? Stalin, wy ich aresztowaliście!"*

Dopiero niedawno stało się w prasie radzieckiej „nowością" to, iż w latach stalinowskich odbywali kary więzienia pod bzdurnymi zarzutami Siergiej Korolow, Dimitrij Lichaczow i inni działacze kultury, nauki i techniki. Dlatego też odbiera się jak sensacje fakty ujawnione przez Raskolnikowa w tym czasie, kiedy wszystko to się działo.

„Pozbawiliście uczonych radzieckich — pisał do Józefa Stalina, autora hasła „kadry decydują o wszystkim" — *zwłaszcza w dziedzinie nauk humanistycznych, minimum swobody myśli naukowej, bez której praca twórcza staje się niemożliwą. Zadufani w sobie ignoranci przy pomocy intryg, kłótni i nagonek nie pozwalają pracować uczonym w uniwersytetach, instytutach i laboratoriach. Wybitnych rosyjskich uczonych o światowych nazwiskach, akademika Ipatiewa i Czicibabina, proklamowaliście na cały świat „uciekinierami" mając zamiast znieslawić ich w ten sposób, ale skompromitowaliście tylko siebie informując cały kraj i światową opinię publiczną o sromotnym dla waszego reżimu fakcie, iż najlepsi uczeni uciekają z waszego „raju" zostawiając was z waszymi „dobrodziejstwami" — samochodami, mieszkaniami i kartkami na obiady w stołówce Rady Komisarzy Ludowych. Przetrzebiliście utalentowanych uczonych rosyjskich. Gdzie jest najlepszy konstruktor radzieckich aeroplanów Tupolew? Nie oszczędziliście nawet jego. Aresztowaliście go, Stalinie! Nie ma dziedziny i nie ma zakątka, gdzie można spokojnie zajmować się ulubioną dziedziną. Dyrektor teatru, świetny reżyser, wybitny działacz sztuki W. Meyerhold nie zajmował się polityką, ale wy aresztowaliście również Meyerholda, Stalinie!"*

Fiodor Raskolnikow napisał list do Józefa Stalina 17 sierpnia 1939 roku, na dwa tygodnie przed napaścią Niemiec faszystowskich na Polskę. W tym czasie Stalin znajdował się pod wpływem złudzenia, iż można zapobiec wojnie z Niemcami i nie uwolnił się od tego ani w 1940, ani w 1941 roku. Fiodor Raskolnikow bił na alarm. Oceniał sytuację jako *„groźną godzinę niebezpieczeństwa wojennego, kiedy ostrze faszyzmu wymierzone jest w Związek Radziecki".* W działaniach wojennych, które prowadziły już Niemcy i Japonia w Europie Zachodniej i w Chinach, widział *„jedynie przygotowywanie pozycji wyjściowej dla przyszłej interwencji przeciwko ZSRR"* uważając, że *„głównym celem agresji niemiecko-japońskiej jest ZSRR".* W obliczu narastającej groźby Raskolnikow odbierał szczególnie ostro podważanie przez Stalina obronności kraju poprzez wyniszczania najcenniejszych kadr.

„W przededniu wojny — pisał do Józefa Stalina — *niszczycie Armię Czerwoną, miłość i dumę kraju, podstawę jego potęgi. Pozbawiliście dowództwa Armię Czerwoną i Czerwoną Marynarkę. Zamordowaliście najbardziej utalentowanych dowódców, wychowanych na doświadczeniach wojny światowej i domowej, którzy przebudowali Armię Czerwoną zgodnie z najnowszymi osiągnięciami techniki i uczynili ją niezwyciężoną. W chwili największego niebezpieczeństwa wojennego w dalszym ciągu niszczycie dowódców armii, średnie kadry i młodszych dowódców. Gdzie jest marszałek Blucher? Gdzie marszałek Jegorow? Wy ich aresztowaliście, Stalinie. Dla uspokojenia oburzonych umysłów okłamujecie kraj, iż osłabiona aresztami i egzekucjami Armia Czerwona stała się jeszcze silniejsza. Wiedząc, iż prawo nauki wojennej wymaga jednoosobowej odpowiedzialności w armii od wodza naczelnego do dowódcy plutonu, wskrzesiliście instytucję komisarzy politycznych, która zrodziła się w początkach Armii Czerwonej, kiedy nie mieliśmy jeszcze swoich dowódców, zaś nad specjalistami wojskowymi starej armii potrzebna była kontrola polityczna. Nie dowierzając czerwonym dowódcom, wprowadzacie do armii dwuwładzę i niszczycie dyscyplinę wojskową. Pod naciskiem narodu radzieckiego obłudnie wskrzeszacie kult rosyjskich bohaterów historycznych — Aleksandra Newskiego, Dymitra Dońskiego i Kutuzowa, mając nadzieję, iż w przyszłej wojnie pomogą wam więcej niż represjonowani marszałkowie i generałowie. Korzystając z tego, iż nie dowierzacie nikomu, agenci gestapo i wywiadu japońskiego rzeczywiście bez przeszkód łowią ryby w mętnej, wzburzonej przez was wodzie, obficie podrzucają wam fałszywe dokumenty, szkalujące najlepszych, utalentowanych i uczciwych ludzi. W stworzonej przez was gnilej atmosferze podejrzliwości, wzajemnego niedowierzania, powszechnego ścigania i wszechwładzy Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, któremu oddaliście na pastwę Armię Czerwoną i cały kraj, wszelkiemu „przechwyconemu" dokumentowi wierzy się, lub udaje się, że się wierzy, jak niezbitemu dowodowi..."*

Jak wynika z obliczeń dokonanych przez generała porucznika A. Todorskiego wynikiem represji stalinowskich było zgładzenie trzech spośród pięciu marszałków (A. Jegorow, M. Tuchaczewski, W. Blucher), trzech spośród pięciu dowódców armii pierwszej rangi, wszystkich dziesięciu dowódców armii drugiej rangi, 50 spośród 57 dowódców korpusu, 154 spośród 186 dowódców dywizji, wszystkich 16 komisarzy armijnych pierwszej i drugiej rangi, 25 spośród 28 komisarzy korpusu, 58 spośród 64 komisarzy dywizji i 401 spośród 456 pułkowników.

„Wasze bezmyślne bachanalia nie mogą trwać długo — pisał pod koniec listu Fiodor Raskolnikow. — *Lista waszych zbrodni nie ma końca. Nie ma końca lista waszych ofiar, nie można ich po prostu wyliczyć. Wcześniej czy później naród radziecki posadzi was na ławie oskarżonych jako zdrajcę socjalizmu i rewolucji, głównego sabotażystę, rzeczywistego wroga ludu, organizatora głodu i fałszerstw sądowych".*

Partia potępiła kult Józefa Stalina i ujawniła fakty nadużywania przez niego władzy. Pozostało dogłębne przestudiowanie przyczyn i warunków rodzenia się kultu oraz historycznych doświadczeń walki z nim. Listy Fiodora Raskolnikowa stanowią cenne źródło dla takich badań, bowiem pokazują, iż w szeregach partii bolszewików wyrośli pod kierunkiem Lenina nieugięci bojownicy, którzy zachowali na zawsze wierność sztandarowi marksizmu i zdolni byli w nadzwyczajnych okolicznościach bronić honoru partii i czystości ideałów socjalizmu.

Fiodorowi Raskolnikowowi trudno było zdecydować się na otwarte potępienie stalinizmu, do czego przyznaje się w liście z 17 sierpnia 1939 roku. Niemniej znalazł w sobie dość sił, by przemóc ból oraz obawy i powiedzieć prawdę, o której mało kto decydował się mówić.

Opracował:
JÓZEF RZESZUT (PAP)

CDN.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

30 lipca — ANDRZEJ MAKOWIECKI — godz. 10—16

6 sierpnia — JERZY KWIECIŃSKI — godz .10—16

Czytelnicy z irytacją wypominają Domowi Handlowemu „Central" że pozbył się kłopotu ze skupem opakowań szklanych, realizując jedynie wymianę butelek z pustych na pełne. Surowce wtórne, skup butelek, słoików po dżemach oraz utylizacja miejskich śmieci, są to problemy rangi uniwersalnej, znacznie przekraczającej wymiar nudnej codzienności. Jak słusznie utrzymuje Jan Pietrzak, w Polsce nie udało się jeszcze tych kwestii rozwiązać!

Zgłosili się do redakcji studenci, których pozbawiono kartek na mięso. Studenci wyjeżdżają na wakacje do kraju kapitalistycznego od połowy lipca do połowy sierpnia. I na sierpień (po powrocie do kraju) nie będą mieli kartek. Bo kwestor uczelni nie wyda kartek na podstawie paszportu. Natomiast studenci wyjeżdżający latem do krajów socjalistycznych na podstawie dowodów osobistych, wróciwszy w połowie miesiąca, kłopotów takich nie mają. Wynika z tego, że zdaniem prawodawcy dowód osobisty jest dokumentem upoważniającym do jedzenia mięsa, a paszport zmusza do wegetarianizmu.

Pofatygował się do redakcji pan Tadeusz Gortat przedstawiając dzieje swej trzyletniej batalii z Zakładem Ubezpieczeń Społecznych o uznanie do podstawy wymiaru emerytury ...3 (słownie trzech) dni. Przedstawiając stos poświadczonych dowodów i dokumentów, Czytelnik dowiódł, że należy mu się renta inwalidzka za przepracowanie 28 lat w gospodarce uspołecznionej, zaś ZUS utrzymuje, że bynajmniej, renciście należy się świadczenie za 27 lat, 11 miesięcy i 28 dni. Oznacza to różnicę 600 złotych miesięcznie, co może dla ZUS nie liczy się wcale, ale dla rencisty jak najbardziej. Mamy pytanie. Jak brzmi nazwisko osobnika, który z takim uporem opiera się od czterech lat trzem dniom, Marzy nam się znajomość z człowiekiem tak skrupulatnym.

Czytelników doprowadza do pasji rozkład jazdy pociągów na Dworcu Fabrycznym. Stoi w nim, że do Katowic — na przykład, jedzie tylko jeden pociąg pośpieszny w ciągu doby. Tymczasem kilka pociągów pospiesznych lub osobowych jedzie przez Katowice, ale o tym rozkład milczy. Podróżni zamiast o tym przeczytać na planszy, fatygują panienkę z okienka informacji.

Drodzy podróżni! PKP nie jest bynajmniej stworzoną do ułatwiania życia włóczykijom. Nadto w dobie reformy i atestacji należy dowieść ponad wszelką wątpliwość, że zatrudnienie pań i panien w dziale informacji jest konieczne i celowe.

Czytelniczka, o której kłopocie z zamianą mieszkania kwaterunkowego z mniejszego na większe pisaliśmy tydzień temu, zadzwoniła, że jej sprawa została skierowana do tego samego urzędnika, który przez cztery lata nie potrafił wyobrazić sobie załatwienia tejże.

Popieramy zawsze odsyłanie skarg na inercję danego urzędu do tego właśnie urzędu.

Pan zamieszkały na Stokach obawia się, że prawdziwa jest akcja dzielnicowego Wydziału Handlu, by zlikwidować dwa sklepy alkoholowe przy ulicach Gazdy i Zbocze, a w zamian zamienić sklep spożywczy przy ul. Górskiej na wódczany. Czytelnik się boi, że okoliczni pijaczkowie skutecznie zatrują życie w tym spokojnym i pielęgnowanym przez mieszkańców zakątku.

Zadzwonił do nas pacjent leczący chore płuca w szpitalu w Łagiewnikach. Zdarzyło się, iż w środku nocy zasłabł jeden z chorych w jego sali. Natychmiast potrzebny był tlen. Jednakowoż okazało się, że zaginął tajemniczo klucz, przy pomocy którego otwiera się reduktor butli z tlenem. Obudzono piętnastu pacjentów, którzy przyznali się do umiejętności posługiwania się narzędziami mechanicznymi, próbując zmusić ich do wykombinowania sposobu otwarcia butli bez klucza. Pielęgniarka zapytana odrzekła, że ona nie musi umieć otwierać butli — bo tego jej nie uczono. Pacjent umierał, klucza nie znaleziono, pomógł „francuz" ściągnięty z sąsiedniego oddziału. Pacjenci mieli rozrywkę, pielęgniarka mogła uściślić zakres swych kwalifikacji zawodowych, a duszący się chory miał możność doświadczyć przeżyć z tamtej strony, co w końcu nie każdego spotyka, a nadto zdążył nie utracić wiary w operatywność doczesną służby zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności. Czy ktoś jest niezadowolony z tak emocjonującej egzystencji?

REDAKTOR DYŻURNY

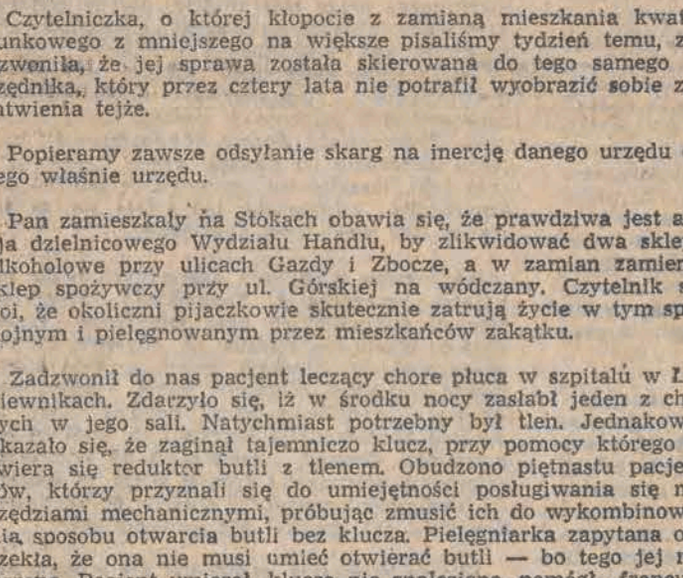

Rys. Sławomir Zaczyński

Przypominamy!

Konkurs na całe lato trwa do 30 września 1987 roku Konkurs lipcowy tylko do 31 lipca 1987 roku

Na ten pierwszy można przysyłać do 10 zdjęć, na ten drugi do 6. Na KONKURS NA CAŁE LATO przysyłamy zdjęcia spoza Łodzi, na KONKURS LIPCOWY tylko z Łodzi. W obu przypadkach zdjęcia czarno-białe w formacie nie mniejszym niż 13 na 18 cm.

Zdjęcia przysyłamy wraz z kuponami wyciętymi z „Odgłosów"!

Już nadesłano pierwsze prace. Najlepsze będą nagrodzone i publikowane w „Odgłosach". Z KONKURSU LIPCOWEGO już w sierpniu.

Oto nasz adres:
„ODGŁOSY"
ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro,
90-113 Łódź
A oto kupony:

KUPON KONKURSOWY NA CAŁE LATO
Imię i nazwisko . . . . . .
Dokładny adres . . . . . .
Zgłaszam na KONKURS NA CAŁE LATO zestaw .... zdjęć.

KUPON KONKURSU LIPCOWEGO
Imię i nazwisko . . . . . .
Dokładny adres . . . . . .
Zgłaszam na KONKURS LIPCOWY zestaw..... zdjęć.

Nie zwlekajcie! Czas szybko mija!

Z pamiętnika statysty

Słońce wyszło właśnie nad horyzont, a wróble zaczęły ćwierkać jak oszalałe, gdy z głową rozrywaną przez resztki snu i wypity poprzedniego dnia alkohol spędzony zostałem wraz z tłumem młodzieży i garstką osób starszych pod bramy wytwórni filmowej.

Potrzebowano statystów.

Reżyser nie zjechał jeszcze. Darła się więc asystentka, a jej ruda czupryna, ruchliwa jak ogień, i słodki bas miały zapobiec wszelkim trudnościom.

Młodzież odziana w mundurki gimnazjalistów z początku wieku. Rozległ się przy tym płacz i zgrzytanie zębów — dla kilku zabrakło. Skonkludowałem, że ma to być film historyczny, ale nam, robotnikom sztuki, nie ujawniono szczegółów.

Jako prawie znajomy asystentki (już wcześniej pętałem się jako major Wojska Polskiego w jednej z innych scen tego filmu) zyskałem należny mi z tego tytułu szacunek statystycznej czeladzi, zaś garderobiana wytrzasnęła skądś modny naonczas garnitur oraz płaszcz i kapelusz, tak że wyglądałem jak co najmniej dwóch Toliboskich.

Scenę miano kręcić na Dworcu Kaliskim, a że było nas ze trzy setki, oddelegowany autobus MPK musiał obrócić dwa razy.

W drodze przyjaźnie machaliśmy do ludzi w tramwajach i na przystankach, i było bardzo przyjemnie. Przynajmniej część z nich brała nas pewnie za wariatów albo zespół muzyczny najnowszej generacji.

Dworzec Kaliski jest wymarzonym obiektem do fotografowania scen stacyjnych nawet z niemowlęcego wieku kolejnictwa i tylko przelatujący tu co jakiś czas tabor kolejowy zdaje się wskazywać ostatnią ćwierć stulecia.

Przy najbardziej stylowym peronie, nad którym dach, lat około stu, chroni podróżnych przed deszczem i słońcem, stał przywieczony nie wiadomo skąd zasuszony jak emeryt pociąg, a że obsługa rachitycznej ciuchci trzymała parę, pociąg-staruszek dyszał w miarę rześko. Tablice z napisem „Posen" i kilku mężczyzn o rozmiękczonych alkoholem twarzach w mundurach pruskich żandarmów, z których jeden przechadzał się wzdłuż i wszerz i sprawiał wrażenie właściwego człowieka na właściwym miejscu, uświadomiło mnie, że oto za chwilę znajdę się pod brutalnym uciskiem germańskiego buta.

Młodzian o kruczoczarnych włosach, smagłej cerze, dobrze odpasiony i pewnie niedoszły sierżant, skoszarował nas na małym odcinku peronu i darł się jak wieprzek na dziatwę, która wdarła się do wagonów i była krnąbrna.

Mimo całej swojej charyzmy asystentka traciła kontrolę nad sytuacją i dopiero długo oczekiwane przybycie na plan reżysera rozładowało napięcie.

Bóg filmu nie zawiódł moich oczekiwań. Wyłącznie siłą swego autorytetu zlikwidował wszelkie antagonizmy. W kilku słowach wyjaśnił o co chodzi: scena złożona z trzech ujęć to pożegnanie rekrutów odjeżdżających na front, by walczyć za cesarza Wilhelma. Tak podniesiony na duchu oddałem się na pastwę jego talentu.

Początkowo wszystko wskazywało na to, że mój udział w tym przedsięwzięciu będzie więcej niż skromny.

Podczas próbnych ujęć stałem dość daleko od kamery i żegnałem mięso armatnie pod postacią niezbyt rozgarniętego wyrostka. Patrzył na mnie spode łba i jako przypuszczalny krewny nie okazywał żadnych należnych z tego tytułu względów. W trakcie zdjęć mieliśmy się ściskać i z bólem żegnać. Nie szło nam to najlepiej, tym bardziej, iż przybity tą bezinteresowną niechęcią zacząłem modlić się w duchu o krzyż żelazny przypięty do jego przestrzelonej piersi.

Na szczęście obok przystanęła asystentka.

Żagwie jej oczu płonęły i świdrowały mnie na wylot jak laser. Zachwiałem się wewnętrznie i już miałem mówić o pryncypiach, gdy ta pociągnęła mnie jako worek pod sam nos kamery.

Dałem z siebie wszystko, ale i tak nie ujrzę się na ekranie — fotografowano wyłącznie moje plecy i pośladki. Wpadałem na peron, ściskałem się w pożegnalnym rytuale z jakimś, na szczęście mniej ponurym, łebkiem, wreszcie ścigałem się z pociągiem, który kilkanaście razy odjeżdżał na dobre sto metrów i po wyłączeniu kamery wracał jak niepyszny.

Aktorstwa było trochę: nawet jedna taka, w której kochałem się, dzieckiem będąc.

Reżyser perswadował, krzyczał i zachowywał prestiż. W końcu zachrypł i nikt już nie wiedział o co chodzi...

TOMASZ KUBIK

Z rynku

TYM RAZEM będzie to rynek usługowy, dotyczący jednej tylko, motoryzacyjnej branży. Samochodów nam przybywa, nie w takim tempie, jakiego życzyliby sobie potencjalni nabywcy, ale jednak na drogach robi się coraz ciaśniej. Ponadto w naszej kulturze motoryzacyjnej coraz dotkliwiej zaznaczają się dwa negatywne zjawiska: pierwsze, obserwowane przez cały rok i nasilające się, to średni stan techniczny naszych maluchów, polonezów itp. Połowa z nich mimo aktualnych stempli kontroli technicznej nadaje się jedynie na złom — z racji sędziwego wieku. Utrzymanie ich w ruchu wymaga nieustannych napraw i wymiany części.

Zjawisko drugie dotyczy tylko sezonu letniego, kiedy to ludzie, którym stanowczo należałoby odebrać prawa jazdy, wyciągają swoje pieszczochy z rozmaitych szop, gdzie w przytulnym cieple spędziły zimę. Także i te samochody, niewłaściwie eksploatowane przez nieudolnych kierowców, psują się ciągle i powiększają kolejki w warsztatach. Stanowią one, licząc szacunkowo, około 25 proc. wszystkich pojazdów prywatnych.

ZAPOTRZEBOWANIE NA USŁUGI samochodowe stale rośnie — a latem jest zdecydowanie większe niż w pozostałych porach roku. Tymczasem — jak we wszystkich branżach w lipcu i sierpniu najchętniej wykorzystują urlopy prywatni rzemieślnicy i pracownicy państwowych stacji obsługi. W warsztatach czynnych często bezradnie rozkładają ręce — zrobilibyśmy, ale... chwilowo brak części, a zresztą wolny termin dopiero za miesiąc.

CHOĆ TROCHĘ DOŚWIADCZONY kierowca stara się mieć „swojego" mechanika, do którego jeździ wykonywać wszystkie poważniejsze naprawy i drobne zabiegi konserwacyjne, którego (do czasu) wychwala przed znajomymi, a za to niekiedy uda mu się „upchnąć" samochód poza kolejką.

ZE „SWOIMI" TEŻ RÓŻNIE BYWA — posłużę się własnym przykładem. Kiedy polecono mi pana Tadzia, był on właścicielem niewielkiego warsztatu. Miał dwóch pracowników, z których jeden genialnie ustawiał zapłon, ale część napraw wykonywał sam. Termin przyjęcia do naprawy wyznaczał w dwa, trzy dni po zgłoszeniu. Pan Tadzio pracował solidnie, klientów przybywało, zapewne również pieniędzy — i rzemieślnik postanowił powiększyć interes.

Obecnie ma już wielką stację obsługi, świadczącą pełny serwis od smarowania zwrotnic po remonty kapitalne silników i blach. Ma także kilku uczniów i ciągle zmieniających się stażystów, którzy niewiele potrafią i wymagają stałego nadzoru doświadczonego mechanika. Oprócz tego posiada nowoczesne urządzenia diagnostyczne, wyjazdową pomoc drogową kalkulator i sekretarkę do utrzymywania porządku w rosnących stosach papierów. Tym sposobem dobry rzemieślnik zmienił się w prywatnego menedżera. Pozostała tylko jedna zaleta — w tym zakładzie nigdy nie brakuje części, nawet łańcuszków rozrządu. Poza tym wraz z rozwojem przedsiębiorstwa pojawiły się i wady: pana Tadeusza na ogół nie ma, bowiem jeździ w Polskę w poszukiwaniu części lub załatwia rozmaite interesy w różnych instytucjach, nie dopilnowani uczniowie i stażyści pracują nie najlepiej (bywa, że już w chwilę po wyjechaniu z warsztatu trzeba wracać do poprawki), kolejki urosły do paru tygodni — obecnie, w sezonie letnim, przekraczają miesiąc, a ponadto zmienił się sposób rozliczeń.

DO PANA TADEUSZA zniechęcił mnie ostatecznie właśnie rachunek. Samochód wymagał zrobienia tzw. geometrii. Odstawiłam więc, zapisałam na kartce rodzaj usługi i następnego dnia, zgodnie z umową, zgłosiłam się po odbiór. Odebrałam samochód z nie ustawionymi kołami — bo właśnie zepsuło się jakieś urządzenie — odebrałam także rachunek a na nim następujące pozycje: przyjęcie samochodu do naprawy — 350 zł, sprawdzenie ustawienia kół — 600 zł, wydanie samochodu z naprawy — 350 zł. Razem 1300 zł. **Tylko naprawa nie została wykonana.**

Rozstałam się ze „swoim" mechanikiem i pojechałam szukać innego punktu, gdzie mogłabym wykonać tę drobną naprawę — szybko, bo za dwa dni wybierałam się w dłuższą podróż.

W CECHU RZEMIOSŁ MOTORYZACYJNYCH podano mi kilka adresów rzemieślników, świadczących ten rodzaj usługi. Jeden z nich — na urlopie, w kilku następnych — *mogą przyjąć* za kilkanaście dni. W kolejnym (też odległy termin) spotkałam znajomą — stałą klientkę — i dzięki jej protekcji mechanik zgodził się przyjść rano, w wolną sobotę i ustawić koła. Cały zabieg trwał 45 minut — mechanik pracował a ja spędziłam ten czas na gadaniu głupstw w rodzaju „ach jak panu to sprawnie idzie, wszyscy znajomi bardzo pana chwalą" — a wszystko po to, aby zapewnić sobie nowego „swojego" mechanika. Udało się.

AGATA

ZP i PP
„POLOPREN"
w Zgierzu
ul. SZCZAWIŃSKA 42
oferują do sprzedaży każdą ilość praktycznych zmywaków kuchennych potrzebnych w każdym gospodarstwie domowym. Zmywaki wykonane są z pianki poliuretanowej i włókniny ściernej, która nie uszkadza powierzchni czyszczonej. 1788-k

Adiutant Pana Marszałka

W starej anegdocie Jan Styka malował Pana Boga na kolanach, aby podkreślić tym swój dla niego szacunek. Bóg miał się zdenerwować i krzyknąć do malarza:

— *Ty mnie nie maluj na kolanach, ty mnie maluj dobrze!*

W ostatnich latach coraz częściej mówi się, że ktoś coś robi na kolanach. Na kolanach pisze się książki, artykuły, przemówienia, recenzje i tak dalej. Niby z takiego szacunku i poważania. Ale czy dobrze?

Właśnie zakończyłem lekturę arcyciekawej książki, o której mogę powiedzieć, że jej autor pisał ją już nie na kolanach, a leżąc plackiem na brzuchu. Żywoty świętych przy tej książce mogą się wydać bluźnierstwem.

We „Wspomnieniach ze stulecia" Czesław Bobrowski napisał: *„W latach sześćdziesiątych Michał Kalecki przypomniał mi moje ironiczne powiedzonko sprzed trzydziestu lat: „rzeczywistość polska podciąga się do kawałów". Ponurym kawałem dla wszystkich, którzy znali tę osobistość, była nominacja Leona Kozłowskiego na premiera. Na jej tle mówiono, że ministrem skarbu w jego gabinecie powinna zostać Zula Pogorzelska. Ukazanie się książki Sławoja-Składowskiego o marszałku Piłsudskim zrodziło inny dowcip: „Pamiętnik psa o swoim panu".*.

Ten pamiętnik to „Strzępy meldunków". Książka już słynna. W zbiorze „Józef Piłsudski w opiniach polityków i wojskowych", pomieszczono jej fragmenty. Kto chce niech tam zajrzy. Ale myślę, że niezależnie od wszystkiego warto byłoby ten dokument pewnego rodzaju mentalności, dokument przeszłości opublikować w całości, tak jak to stało się obecnie z „Pamiętnikiem adiutanta Marszałka Piłsudskiego" Mieczysława Lepeckiego.

Ciekawym, jaki zrodziłby się dowcip o tej książce, gdyby ukazała się tak, jak była planowana, jesienią 1939 roku. Przeszkodziła wojna. Zachował się maszynopis. I oto właśnie, prawie po pięćdziesięciu latach, ukazał się wedle tego maszynopisu, ze znakomitym wstępem Andrzeja Garlickiego.

Major Mieczysław Bohdan Lepecki urodził się w 1897 roku, zmarł w 1969 roku. Był zawodowym żołnierzem, legionistą, podróżnikiem i pisarzem. Jesienią 1931 roku został adiutantem marszałka Józefa Piłsudskiego i zamieszkał z nim razem w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych. Był przy nim aż do śmierci w maju 1935 roku.

Legendę Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego — bo taki miał tytuł w pełnym brzmieniu — zaczęto budować jeszcze wówczas, gdy marszałkowską buławę nosił jedynie w marzeniach. Tę legendę utrwalano i rozbudowywano, gdy żył i po jego śmierci. Karol Irzykowski zanotował w „Notatkach z życia. Obserwacje i motywy":

„Skończyła się bajeczna kariera, ale teraz postać jego rośnie w czwartym wymiarze, ulegnie przekształceniom opinii. Piękna i dumna jest jego ostatnia wola. Serce u stóp matki; mózg zapisuje uczonym, bo zapewne wykryją w nim znamiona genialności — ciało na Wawelu między królami. Gesty, jak z legendy. Ale teraz zobaczymy, czy i jak się to wszystko sypać zacznie".

Książka Mieczysława Lepeckiego „Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego" miała być jednym z elementów tej legendy. Miała właśnie pokazać genialność Pana Marszałka, człowieka, o którym wszyscy myśleli, że mieszka na co dzień w Belwederze, a on samotnie spędzał noce w GISZ, szedł spać nad ranem, kazał się wcześnie budzić i był bardzo niezadowolony, gdy litowano się nad jego snem i budzono później niż tego żądał. Do Belwederu jeździł tylko na przyjęcia oficjalnych osobistości i do żony Aleksandry i córek Wandy i Jagody.

Kapitan — bo był wówczas kapitanem — Mieczysław Lepecki wchodził do pokoju marszałka Józefa Piłsudskiego o północy, przynosił plik pism ilustrowanych i pytał o rozkazy na następny dzień. A Józef Piłsudski długo jeszcze nie spał i rozmyślał nad sprawami Polski.

„Długo jeszcze w nocy — wspomina Mieczysław Lepecki — *dochodziły mnie z gabinetu wzburzone słowa Marszałka, który prowadził sam z sobą jakąś dyskusję, a niekiedy bił pięścią w stół, aż echo szło po pokojach".*

A gdy on tak w nocy myślał o tym, jak urządzić Polskę, to *„Polska spała spokojnie i nie tylko Polska „sanacyjna", ale i „opozycyjna". Nie było przecież nikogo tak zarozumiałego, kto by w głębi duszy nie był przekonany, chociaż się nawet za nic przyznać do tego nie chciał, że nawy państwowej nikt lepiej od Piłsudskiego nie poprowadzi. Z tej pewności wynikał spokój o przyszłość i losy kraju".* Jak z tego widać mit o „jedności moralno-politycznej narodu" stare ma w Polsce tradycje.

Muszę przyznać, że Mieczysław Lepecki umiejętnie i niewątpliwie z talentem buduje postać Pierwszego Marszałka Polski. Jest on ponad wszystkim i wszystkimi, bo na to zasługuje. Ale jest człowiekiem. Ma swoje przywary, niechęci — na przykład nie znosił lekarzy podczas choroby — swoje słabości, był uparty, ale wszystko to można mu było wybaczyć, gdyż był wielki, genialny. Nic się w kraju nie mogło dziać bez jego wiedzy i zgody. Inni wiernie i bezkrytycznie wykonywali jego rozkazy. Te nie mogły podlegać wątpliwościom. Były jedyne i najlepsze. Ale ten rys człowieczy wielkiego marszałka ma przecież swoje granice.

Oto Mieczysław Lepecki dokładnie opisuje pobyt Józefa Piłsudskiego na Maderze. Z opisu tego wynika, że nie towarzyszyła marszałkowi na Maderę żadna kobieta. A w książce Darii i Tomasza Nałęczów „Józef Piłsudski — legendy i fakty" jest zdjęcie z Madery, na którym Józef Piłsudski siedzi obok... dr Eugenii Lewickiej. Mieczysław Lepecki raz tylko o niej wspomina. Jest to zapis dotyczący 22 maja 1932 roku:

„Dnia 22 maja odbyło się posiedzenie Rady Wychowania Fizycznego pod przewodnictwem Marszałka. Sekretarzem tej Rady przez dłuższy czas była dr Eugenia Lewicka, zmarła w lecie 1931 roku. Na posiedzeniu tym gen. dr Stanisław Rouppert, szef departamentu zdrowia Ministerstwa Spraw Wojskowych, wygłosił pośmiertne wspomnienie o niej".

Wszystko wskazuje na to, że Józef Piłsudski poznał Eugenię Lewicką w 1924 roku w Druskiennikach. W latach następnych bywał w tym nadniemeńskim kurorcie bez żony i córek. Po zamachu majowym w lutym 1927 roku powołał Państwową Radę Naukową Wychowania Fizycznego pod swoim przewodnictwem, a miesiąc wcześniej Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, w którym to kierowniczką sekretariatu została dr Eugenia Lewicka. Po powrocie z Madery w czerwcu 1931 roku znaleziono ją nieprzytomną z objawami zatrucia w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego na Bielanach. W dwa dni później zmarła w szpitalu. Za jej trumną kroczyło wiele osobistości z premierem Aleksandrem Prystorem. Marszałek był w kościele na Powązkach przed uroczystościami pogrzebowymi. Po Warszawie krążyły pogłoski — wspomina o tym Marian Romeyko w książce „Przed i po maju" — że nie była to śmierć samobójcza, że się do niej przyczynili ci, którzy bali się, że za jej pośrednictwem mogą przenikać do Józefa Piłsudskiego niewygodne im informacje.

Ale to już nie mieściło się w tak skrzętnie budowanej legendzie.

WITOLD BOROWY

1 Nagle zastępstwo

Towarzystwo im. króla Heroda

Jest nas już pięć miliardów! — obwieściły radośnie wszystkie publikatory, jakby się było z czego cieszyć... Przypuszczałem, że miano „pięciomiliardnika" zagarnie jakiś gówniarz, noworodek rozwrzeszczany a nie szacowny obywatel, ot choćby mój przyjaciel, felietonista Zenon Porowaty. A gdzie tam! Sam sekretarz generalny ONZ przyszedł do kliniki, żeby tego pętaka pobłogosławić w imieniu całej ludzkości.

Dzieciństwo, proszę państwa, smarkateria, szczeniactwo i małolactwo pleni się bezczelnie jak nigdy dotąd. Wystarczy się tylko rozejrzeć. Mówi się, że słabością Polski międzywojennej były m.in. mniejszości narodowe, czyli niejednonarodowa struktura społeczna. Stąd pomysły, żeby Białorusinów spolszczyć, Niemców oblaskawić a Żydów posłać na Madagaskar. Wielka była krótkowzroczność ówczesnych „wielkopolaków". Nie Żydzi a dzieci trzeba było posłać na Madagaskar!

Jest tego coraz więcej i szaleje się toto, prawdziwa groźna, choć wcale nie milcząca większość. Pomińmy aspekt ekonomiczny — jest to armia bezproduktywnych darmozjadów — trudno, zatrudniają rzeszę nauczycieli i przedszkolanek, którym psują nerwy i niszczą zdrowie — też trudno. Ale jest tego coraz więcej, coraz to bardziej hałaśliwe, dokuczliwe i bezczelne! Na dodatek — o zgrozo! — jest to szczeniactwo coraz starsze! Za moich czasów do liceum chodzili już prawie dorośli ludzie a studiowali już zupełnie dorośli. A teraz? Coraz częściej słyszę, że jakieś dzieci znajomych zdają na studia! Do czego to dojdzie? Miejsca na wyższych uczelniach zajmuje petactwo nieletnie! Stypendiów się domaga, miejsc w domach akademickich, tych różnych rocków i dyskotek, koszmar jeden...

Złośliwość dzieci, małpie maniery itp. przymioty tego odłamu ludzkości znane są i opisane w dziejopisarstwie — o ile mi wiadomo już starożytni Egipcjanie zapisywali na ten temat papirusy gorzkimi łzami je zraszając. Ale to, co się dzieje dzisiaj przekracza wszelkie granice! Coraz częściej słyszę o jakichś prawach dzieci, o obowiązkach dorosłego społeczeństwa a nawet państwa wobec tej hałastry... Tymczasem gówniarstwo i tak ma przywileje, nieznane dorosłym. Oto czytam w gazetach, że ktoś tam dostał parę miesięcy aresztu za „zakłócenie spokoju publicznego w stanie nietrzeźwym". A na co dzień, na każdym kroku obserwuję, jak szczeniactwo zakłóca spokój publiczny i porządek, i to zupełnie na trzeźwo! Milicja udaje, że nic nie widzi, bo ta zdziczała hałastra to są „nasi milusińscy". Hańba!

Głosi się hasła „wszystkie dzieci są nasze". Ja jestem przeciw! Dzieci są ich rodziców, tych lekkomyślnych nieszczęśników, którzy całymi latami płacą zdrowiem i własnym honorem (nie licząc pieniędzy) oraz licznymi wyrzeczeniami za chwile słabości, za karygodne zaniedbanie, jakiego się dopuścili...

Istnieje nawet „Towarzystwo Przyjaciół Dzieci". Podobnie jak inne tego typu związki np. przyjaciół zwierząt, ma ono za zadanie dbanie o najróżniejsze przywileje dla wszystkich, tylko nie dla normalnych ludzi. Rzucam śmiałą myśl: załóżmy wreszcie Towarzystwo Opieki nad Normalnymi, Zdrowymi Ludźmi w Wieku Średnim. Towarzystwo może nosić imię Heroda. To był wielki król!

Piszę to wszystko w nadziei, że małolactwo, zresztą i tak nienawykłe do poważnej lektury, nie przeczyta tego numeru tygodnika nawet przez przypadek, bowiem od kilku tygodni zajmuje się trwonieniem społecznych pieniędzy na różnych koloniach i obozach. No i dobrze, przynajmniej przez te dwa miesiące można w mieście pożyć w miarę normalnie. A swoją drogą: Jakby tak kolonie i obozy trwały przez cały rok? Można by w góry i nad morze przenieść wszystkie szkoły i przedszkola, wszystkie te dyskoteki i co im tam jeszcze do szczęścia potrzeba. Ogrodzić to wszystko drutem kolczastym i spokój.

Ech, marzenia...

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem

Potrzebne pilnie lekarstwo

W kilkunastu sklepach Łodzi, a są takie sklepy we wszystkich większych miastach kraju, można kupić piękne, eleganckie, niepowtarzalne elementy damskiego stroju. Można kupić bluzeczkę bawełnianą z kilkoma zakładkami za kilkanaście tysięcy złotych albo włochaty sweterek za czterdzieści parę tysięcy, albo damski kostium kąpielowy dwuczęściowy, ale to są właściwie dwie cząsteczki nie części, maleńkie po dwa, trzy decymetry kwadratowe powierzchni — cena kilkanaście tysięcy złotych. To import z Włoch, za waluty wymienialne czyli za dolary.

W kilkunastu aptekach miasta nie można dostać niczego. Najbardziej elementarnych leków, ratujących ludzkie życie jak insulina, bez której diabetycy nie mogą po prostu egzystować. Zresztą po co tu wymieniać łacińskie nazwy, większość z nich jest powszechnie znana, chociażby z rozpaczliwych alarmów w prasie: Szukam „Denolu", „Quinaxu" — to są leki importowane, za dolary.

Przez apteczne lokale przewijają się dziennie tłumy, kolejki przesuwają się tu szybko, bo prawie każdy klient bardzo szybko usłyszy słowa „nie ma" i idzie dalej w swoim biednym krążeniu po mieście. Nie ma leków za dolary, są za dolary piękne, eleganckie sweterki. Nie ma leków dla setek tysięcy ludzi, chyba już nieprodukcyjnych lub mniej produkcyjnych, boję się pomyśleć, że może dlatego nie ma dolarów na zakup tych leków, a są dolary na zakup mini mini minikąpielowych kostiumów.

Domyślam się: import bardzo drogich przedmiotów luksusowych potrzebny jest po to, żeby likwidować nawis inflacyjny w kraju, żeby wypompować z ludzkich kieszeni złotówki. Tu prawdopodobnie dolar kalkuluje się w przeliczeniu na złotówki wysoko, w odniesieniu do leków taka kalkulacja jest niemożliwa. No tak, ekonomicznie wszystko się zgadza, ekonomiczne prawa nie ograniczane żadnymi innymi względami tak właśnie będą działać. Ale jeśli mamy, nie zważając na nic, powierzyć losy naszego społeczeństwa i losy każdego człowieka żywiołowym prawom ekonomicznym, to powiedzcie mi proszę, po co za takie ogromne miliardy budujemy dobrze wyposażone szpitale, po co łożymy wielkie sumy na ciągłe reorganizacje służby zdrowia, na szkolenie lekarzy i pielęgniarek, skoro później tych biednych pacjentów w bogatych szpitalach nie ma czym leczyć?

Z tym trzeba coś zrobić, to jest sytuacja wołająca o pomstę do nieba. Możemy, a w wielu wypadkach powinniśmy, znieść wszystkie priorytety, ale nie możemy znieść priorytetu lekarstw i wszystkiego co wiąże się z ludzkim zdrowiem i życiem. Inaczej wszystkie zabiegi gospodarcze tracą przecież sens. To jest nie do zniesienia, że leki stają się przedmiotem spekulacji, że niezbędne specyfiki kupuje się na ręczniaku w brudnych straganach, w budach jarmarcznych, po cenach astronomicznych, przekraczających wielokrotnie ceny rynkowe. Coś z tym trzeba koniecznie zrobić!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Pod prąd

„Normalka"

Jak każdy mężczyzna w kwiecie wieku, czyli tuż przed emeryturą, mam swoje przyzwyczajenia, których nie chciałbym się wyzbywać za żadną cenę i pod żadnym pozorem. Ale jak każdy Polak co rusz muszę godzić się z prawdą, że nic nie trwa wiecznie, a wszelkie zmiany są znamieniem postępu, czyli tego, co wszyscy popieramy. Żyję więc na co dzień i od święta z rozdartym sercem, bo przecież jednego z drugim — przynajmniej u nas — pogodzić niepodobna.

Był przy „mojej" ulicy mały sklepik mięsny pamiętający jeszcze czasy, gdy sprzedawano w nim po 10 dekagramów szynki na śniadanie i — uwaga młodzi czytelnicy! — świeże, chrupiące bułeczki. Słowo honoru. Robiłem tam zawsze zakupy — bez kartek i już z kartkami — gdyż obsługa była miła i — dwa kroki do domu. Trzy albo cztery lata temu zrobiono w sklepiku remont, po którym na szybie pojawił się napis: mrożonki. Zdębiałem na jego widok i zły jak osa poczłapałem do rzeźnika (tak się dawniej mówiło) dwie ulice dalej, gdzie od tej pory skazany jestem na stanie w dwa razy dłuższej kolejce.

Tuż obok mojego domu od niepamiętnych czasów znajdowała się budka telefoniczna, z której często korzystałem, dzwoniąc do dyrektora Okręgowego Urzędu Telekomunikacji z pozdrowieniami i niezmiennym pytaniem: w którym tysiącleciu — tym, czy dopiero następnym — będę miał telefon w mieszkaniu? Pewnego pięknego dnia jednak budka zniknęła — zapewne dlatego, by okoliczni chuligani nie mieli już czego demolować, za to w jakiś czas później zainstalowano nowy automat (już bez budki) na ścianie budynku jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Niby nic się nie stało, bo — wiadomo — ruch to zdrowie, a mimo to, tak byłem wściekły na wspomnianego wyżej dyrektora, że przestałem do niego dzwonić z pozdrowieniami. Zresztą automat ów prawie stale jest uszkodzony i to wcale nie z powodu chuliganów.

W najbliższym parku był kiedyś staw, w którym latem łowiłem „robaczki" dla moich rybek, zimą zaś — służył za dyżurną ślizgawkę dla dzieciarni, co także mnie, jej wiernemu obserwatorowi sprawiało przyjemność. Przyszły jednak lata suszy, woda wyparowała lub też wsiąkła, a błotniste dno stawu porosło jakimś zielskiem, zamieniając się wkrótce w cuchnące śmietnisko. Niedługo obchodzić będę jubileusz dziesięciolecia, jak w przypływie gniewu rozbiłem akwarium z rybkami i zrezygnowałem ostatecznie z zimowych spacerów po parku.

Nie, proszę Szanownych Czytelników, ja się nie użalam, nie narzekam, nie biadolę. Ja przedstawiłem po prostu trzy pierwsze z brzegu przykłady wszechogarniającej nas niekonsekwencji w działaniu, bezmyślności, braku wyobraźni i gospodarności. Gdybym chciał podać wszystkie, z jakimi przyszło mi się zetknąć w ostatnich tylko latach, mógłbym sam zapełnić chyba pół numeru „Odgłosów", a koledzy bez trudu zapisaliby co najmniej pozostałe strony, umieszczając na końcu: cdn.

Wybudowane z trudem, a zamknięte na głucho miejskie szalety, bezpańskie i zdewastowane osiedlowe boiska do siatkówki i koszykówki, tzw. ścieżki zdrowia w podmiejskich lasach z różnymi urządzeniami gimnastycznymi, których nikt nie konserwuje, unieruchomiona jedna połowa drzwi w tramwajach (żeby pasażerom wygodniej było wysiadać!), nieczynne całe miesiące stoiska w niektórych sklepach — czyż nie spotykamy się z tym każdego dnia? Ależ tak, często i — co? Ano — nic. Przyzwyczailiśmy się, nie reagujemy, nierzadko nawet już nie widzimy, bo to — jak mawia mój syn — „normalka".

A przecież chodzi nie tylko o to, że ktoś wyrzucił w błoto nasze (a nie jakieś „państwowe"!) pieniądze, że jest nam trudniej żyć, ale również — że żyjąc otoczeni niekonsekwencją i bezmyślnością, sami przynajmniej po części stajemy się niekonsekwentni i bezmyślni. Powiedziałbym nawet — trochę nienormalni, gdyż trudno uznać choćby tylko opisane na wstępie przypadki za rzecz normalną.

Kolejki w sklepach towarzyszą nam już od dawna, choć ostatnio jakby częściej i prawie po wszystko — w tym także po pieczywo, co dawniej zdarzało się najwyżej kilka razy w roku. Teraz — widzę w pobliskiej piekarni — ludzie czekają na gorący chlebek od poniedziałku do piątku, kiedy to kolejkowe szaleństwo osiąga swe apogeum. Wchodzę kiedyś — właśnie w piątek — i ze zdumieniem pytam: „Za czym kolejka ta stoi?", gdyż świeże pieczywo spokojnie leży na półkach. Okazuje się — leży długi chleb, a kolejka czeka na okrągły i do tego gorący. Innym razem jednak jest okrągły, lecz wszyscy pragną długiego i też stoją — godzinę, półtorej, dwie. Czy to jest normalne? Szczególnie, że oba wspomniane gatunki chleba różnią się między sobą jedynie kształtem, nazwą i ceną.

JÓZEF RETMAN

4 Sport

Wakacje

Na ogół uważa się, że wakacje są po to, aby znakomicie wypocząć. I ja się z tym poglądem zgadzam. Mam natomiast wątpliwości, co do sposobu wypoczywania. Otóż jako osoba wysoce wyrozumiała powinnam powiedzieć, że każdy tak wypoczywa, jak uważa za stosowne, jak mu jest najlepiej. Jedni jadą za granicę, aby zahandlować, inni poznają świat i ludzi, inni przez całe wakacje grają w karty. Są tacy, którzy łowią ryby i tacy, którzy zabierają ze sobą na wczasy telewizor. Ale ponieważ nie jestem osobą aż tak wysoce wyrozumiałą, uważam, że każdy powinien zażywać jak najwięcej ruchu. I wcale nie dlatego, że ja tak robię, tylko dlatego, iż to potrzebne jest dla zdrowia.

W „Trybunie Ludu" Andrzej Lewandowski napisał, że „jesteśmy narodem telewizyjnym" i że „gdyby tylko udało się każdemu pół serialu telewizyjnego tygodniowo zamienić na sportowy ruch" bylibyśmy już prawie narodem sportowym. Jednak do takiej zamiany potrzeba nie tylko złych seriali w telewizji, bo te już posiadamy, ale także zmiany sposobu myślenia. I na dodatek drobnostki: dostatku odpowiedniego sprzętu na półkach sklepów sportowych. Od kilku tygodni szukam wygodnych butów na lato typu „adidas" i znaleźć nie mogę, choć podobnego obuwia w sklepach nie brakuje. Ale mnie chodzi o obuwie skórzane, a proponuje mi się tekstylne lub mieszane. Wielu rzeczy zresztą w sklepach sportowych nie uświadczysz lub ich ceny zniechęcają nas do sportu i ruchu. Nie wszyscy przecież lubią tylko leniwe spacerowanie.

W samym prawie środku wakacji przewodniczący GKKFiT — Bolesław Kapitan zasiadł przy dyżurnym telefonie „Rzeczypospolitej" i przez dwie godziny rozmawiał z jej czytelnikami o sporcie. Temat frapujący skoro ludzie mimo upałów i wakacji znaleźli czas i chęć, aby zgłosić swoje pretensje i żale.

Bolesław Kapitan zgodził się z krytyczną oceną stanu sportu w Polsce i zapowiedział szereg przedsięwzięć GKKFiT, które powinny przyczynić się do poprawy sytuacji. Wszakże największym zagrożeniem jest brak „zaplecza", czyli szerokiego ruchu sportowego wśród młodzieży, z której można byłoby „awansować" wyczynowców. I tu nie pomogą ani najlepsze chęci, ani najmądrzejsze zarządzenia, ani apele i tłumaczenia. Rację ma Andrzej Lewandowski, gdy pisze w „TL", że trzeba zacząć od nauczycieli i lekarzy. Oni powinni zrozumieć znaczenie kultury fizycznej dla wychowania i zdrowia narodu, i uczyć tego od przedszkola do samej starości. Ale to wymaga zmiany sposobu myślenia, o co zawsze jest najtrudniej.

BOGDA MADEJ

Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu 6

Niespełna dwa lata minęło, jak rozstałem się z maszyną do pisania i krajem, a w ilu już zawodach próbowałem swych sił! Szofer (pół godziny), taper, motorniczy (kilka dni), pikolak, drwal, tragarz. Byłem jeszcze poganiaczem wielbłądów, woźnicą, nauczycielem, skoczbruzdą, ale to dalsze dzieje mojej wojennej wędrówki. Na razie, pracując na liesopowale, przyjąłem pół etatu u pana Krawca, jako jego osobisty służący.

Racja, przecież nie wiecie kto zacz. Imć pan Krawiec również wykonywał obowiązki drwala u Eljana, poza tym codziennie rano z kimś jeszcze, za lepsze talony i garbuszki, taskał kilkadziesiąt kilogramów chleba dla całej brygady, a że apetyt miał nieposkromiony, po powrocie z robót zgłaszał się do skrobania kartofli. Fasował za to z kuchni resztki jedzenia — zupę, groch, kaszę, omaszczone ziemniaki. Z wypełnioną posudą wracał do baraku i zabierał się do konsumpcji, ćkając i mlaszcząc potwornie.

— Panie Krawiec — zwróciłem mu kiedyś uwagę — niech pan je trochę ciszej, tu leżą głodni, to denerwuje...

— Jak się komuś nie podoba, niech się nie patrzy! Zasrany inteligent!

Z nikim się nigdy nie podzielił. Rano wyrzucał na śmietnik nie dojedzone, skwaśniałe żarcie, szedł do roboty, ażeby wieczorem, gdy zmordowani kładliśmy się spać, znowu odbyć pielgrzymkę do kuchni.

Utykał na jedną nogę, jego chód przypominał dreptanie kaczki. Bez względu na pogodę nie rozstawał się z wytłuszczoną małachajką, a wyszczerbioną, drewnianą łyżkę zatykał za cholewą walonek.

— Panie inteligent! — zawołał kiedyś z wysokości swej pryczy. — Mam dla pana propozycję. Nie chce mi się chodzić z talonami po jedzenie. Pan będziesz mi przynosił, ja będę pana podkarmiał! A tu masz pan zadatek! — rzucił mi kromkę czerstwego chleba.

„Gdzie woda była, tam woda będzie" — pomyślałem i ofertę przyjąłem. Gdy humor mu dopisywał, tytułował mnie „panie inteligent", gdy go coś ugryzło, dodawał „zasrany". Przy lada okazji rzucał mięsem, żeby to chociaż była cielęcina, kawałek schabu, ale takimi smakołykami nas nie karmiono. Wziąłem srogi odwet na mym prześladowcy, to było po kilku latach, kto ciekaw — odsyłam do mojego „Reportera przed konfesjonałem".

Narzędzia do pracy, piły, topory kliny pobieraliśmy i oddawaliśmy na miejscu robót, w instrumentarce. Władał nią diadia Siemion, siwowłosy starzec, ze śmiesznie sterczącymi na czubku nosa okularami. Był nieocenionym źródłem informacji o tym, co się dzieje na świecie. Wprawdzie przed kancelarią, w gablotach za szkłem, wylepiano gazety, ale przychodziły z opóźnieniem, a diadia miał najświeższe wiadomości z radiotoczki. Poza tym nie każdy z nas umiał czytać po rosyjsku.

— Niechoroszo, riebiata — kręcił głową. — Germańcy nastupajut. Idą przez Białoruś i matuszkę Ukrainę. Wczoraj zajęli Lwów...

Przed oczyma stanęła mi postać kochanej pani Soni, jej męża. Czy zdążyli uciec? Niestety, jak się później dowiedziałem, obydwoje zginęli z rąk hitlerowskich siepaczy. Gdyby mnie wtedy przypadkowo nie zabrano z Jerzym i Mietkiem, niechybnie podzieliłbym los Melmanów...

Wojna trwała już kilka tygodni. Zaskoczone armie radzieckie cofały się, oddając miasto za miastem. Nad nami niebo było czyste, ale na jak długo? Każdej chwili można się było spodziewać nalotu i bombardowania.

W drodze po jedzenie jak zwykle zatrzymałem się przed gablotą z „Prawdą" i „Izwiestiami". Konfrontowałem uzyskane od diadi Siemiona informacje z komunikatami Sowinformbiuro o wydarzeniach na frontach walk. Prześliznąłem się wzrokiem po nieatrakcyjnie łamanych kolumnach. Artykuły mobilizujące do wytężonej pracy przy zbiórce zboża nie interesowały mnie, moja chata skraja, niczewo nie znaju, tak samo posiedzenia komitetów partyjnych.

Już chciałem zawrócić, gdy uwagę moją przykuła krótka notatka, wciśnięta między problemowy artykuł na dwie szpalty a doniesienia z zagranicy: w imieniu polskiego rządu emigracyjnego generał Sikorski podpisał ze Związkiem Radzieckim układ o wznowieniu stosunków dyplomatycznych! Gazeta była z lipca 1941 roku.

— Panowie! — zawołałem, wpadając jak bomba do baraku. — Sensacja! Zostały wznowione stosunki dyplomatyczne między polskim i sowieckim rządem!

Nowina nie wywołała entuzjazmu, jakiego się spodziewałem.

— Co to nam da? — wyraził ktoś swe wątpliwości, wybierając łyżką resztki kaszy z manierki. — Czy to jest dobre dla nas?

Przypomniała mi się moja babka. Gdy dziadek wracał z miasta z jakąś nowiną, a mogła to być wiadomość o zamachu na cara, albo o zainstalowaniu latarni gazowej na naszej ulicy, czy o przeprowadzce znajomych, babcia nieodmiennie zadawała jedno pytanie: „A czy to jest dobrze dla Żydów?".

— To jest bardzo dobre dla nas wszystkich! Nie rozumiecie, że w ślad za tą umową zmieni się kurs w obozie, będą nas lepiej traktować, możemy oczekiwać aktu łaski, wyjścia na wolność!

Ten i ów sceptycznie pokręcił głową.

— Obóz opuścimy, to pewne. Niemcy nacierają ze wszystkich stron. Przeniosą nas gdzie indziej dalej od działań wojennych, może na Sybir?

Nie byłem nigdy zbyt mocny w polityce, słabo orientowałem się w zawiłych meandrach dyplomatycznych, jednakże ta wiadomość miała dla mnie swój niezaprzeczalny ciężar gatunkowy

Na razie w sytuacji naszej nic się nie zmieniało. Chciałem wykręcić się od pracy fizycznej. Zaproponowałem prorabowi: będę redagował gazetkę obozową, aktualne wiadomości, zarządzenia, wierszyki dla pokrzepienia ducha. Zapalił się do tego nie mniej niż ja.

— Oczen' choroszo! Dam tiebie skolko ugodno bumagi i czernila. Pisz sobie ile chcesz po przyjściu z lasu!

Toś ty taki cwaniak? Śmierć frajerom! Z gazetki zrezygnowałem, za to po paru dniach błysnąłem nowym pomysłem, który miał mnie wydźwignąć w hierarchii obozowej bardzo wysoko i podporządkować mojej skromnej osobie wszystkie polskie brygady.

Wyznaczono nam nowy odcinek pracy: budowę nasypu pod kolejkę wąskotorową, przeznaczoną do przewozu budulca. Teren, na którym pracowaliśmy, był nierówny, miejscami wznosił się nad ustalony poziom, miejscami opadał. Ziemię ze wzniesień przewoziliśmy taczkami, wysypywaliśmy w pobliżu, skąd zabierały ją inne grupy i również taczkami transportowały do nizinnych miejsc, gdzie ziemi brakowało.

Pomyślałem: a gdyby tak ziemię od razu wozić z wzniesień do nizin, z pominięciem bezproduktywnego wysypywania po drodze? Dało to kolosalne oszczędności czasu. W dodatku piorunem obliczyłem ile metrów sześciennych ziemi zawierać będzie formowany nasyp. Gdy prorab biedził się nad liczydłami, przerzucając nerwowo drewniane paciorki na drutach, zastosowałem wzór geometryczny, jedyny zresztą jaki mi został w pamięci ze szkolnej edukacji. Dodałem podstawę nasypu (miał w przekroju kształt trapezu) do jego wierzchołka, otrzymaną sumę przemnożyłem przez laufmetry i obwieściłem triumfalnie:

— Etowo budiet, graždanin prorab, dwadcat' czetyre tysiaczi piat'sot kubikow!

Jeszcze kilka minut męczył się z liczydłami i z uznaniem poklepał mnie po ramieniu.

— Mołodiec! Toczno ugadał!

Po czym odwołał mnie na stronę, zapytał o to i owo.

— Zaproponuję, żebyś został dziesiatnikiem. Masz łeb na karku.

Prorab już wcześniej zwrócił na mnie uwagę. Na liesopowale nie było szaletów. Zastępowały je kopane przez nas doły, które dla przyzwoitości zasłaniało się szczytami, dwuskrzydłowymi parawanikami.

— Ciekawe, kiedy te doły zapełnią się? — medytował głośno któryś z naszych drwali.

— To zależy też od tego, ile będziemy dostawali chleba — dorzucił mądrze inny I zaczął obliczać: dół ma tyle a tyle metrów sześciennych, jest nas dwudziestu czterech, licząc po kilogramie chleba na każdego, to...

Wtrąciłem się do dyskusji, wytłumaczyłem, że kilogram zjedzonego chleba, to nie kilogram tego, co oddamy, że proces spalania, wpływy atmosferyczne...

Prorab przysłuchiwał się naszej rozmowie, potakiwał moim słowom, a gdy jeszcze teraz błysnąłem nowatorskim pomysłem i dokładnym wyliczeniem kubików nasypu, nie miał żadnych co do mnie wątpliwości.

Do awansu nie doszło. Wieczorem komendant wezwał do siebie Feichenfelda, a gdy ten wrócił z kancelarii, nie mógł z siebie wydobyć słowa, dygotał na całym ciele.

— Pan.. panowie... Wychodzimy... na wolność!!!

W polskiej zonie zakotłowało się. Radosna nowina lotem błyskawicy obiegła baraki. Bractwo obległo Feichenfelda prosząc o szczegóły, termin.

— W najbliższych godzinach nadejdą szczegółowe instrukcje. O, Boże!... Koniec naszej niewoli... Wolność, wolność!...

Twarda sztuka Feichenfeld, który nieraz nie szczędził nam ostrych słów i w ryzach trzymał brygady, rozkleił się jak dziecko. Łzy ciekły mu po pooranych bruzdami policzkach. Wszyscy pociągali nosami, padaliśmy sobie w objęcia.

Nazajutrz nie wyprowadzono nas na roboty. Ustawiliśmy się przed kancelarią, sam komendant wywoływał po nazwisku i uroczyście wręczał udostowierienije o zwolnieniu z okozu pracy przymusowej. Postaram się z pamięci odtworzyć treść tego historycznego dokumentu.

„Na osnowanii dogowora miežду sowietskim a polskim prawitielstwom amnistirujetsa polskowo graždanina... Imiejet on prawo swobodnowo prożiwanija na territorii Sowietskowo Sojuza za iskliuczenijem obłastnych gorodow, zaprietnych zon i miestnosti obrazowannych na wojennom położenii".

Chyba nie trzeba tłumaczyć. Zostaliśmy objęci amnestią i mamy prawo przebywania w dowolnie wybranej miejscowości na ziemiach radzieckich z wyjątkiem miast wojewódzkich, zamkniętych stref i terenów objętych działaniami wojennymi.

Dokąd chcecie jechać? W zależności od wybranej trasy wyliczano dni podróży, od tego zależała suma wypłacanych pieniędzy na bilety kolejowe i ilość chleba na drogę.

Różnie, różni wybierali. Jednemu spodobały się okolice Astrachania, innego znęcił obwód kujbyszewski, jeszcze komuś przypadła do gustu Gruzja. Postanowiłem zdać się na zrządzenie losu. Podszedłem do wiszącej na ścianie mapy, zamknąłem oczy i wycelowałem palec.

— Machaczkała!

— Co was ciągnie w tamte strony? — zdziwił się komendant.

— Tam od lat mieszka moja ciotka. Dawno nie miałem od niej wiadomości...

Machaczkała, to Machaczkała! Wydano mi naprawlenije, wypłacono diety, po chleb kazano się zgłosić w dniu opuszczenia obozu.

Kilku stojących za mną kolegów wiodło ożywioną rozmowę.

— Słyszałeś? Adam jedzie do jakiejś Machaczkały. Jedźmy też, to cwaniak, miał zostać naszym dziesiatnikiem!

Proprosiłem proraba o pożyczenie podręcznika geografii. Muszę przecież wiedzieć coś bliższego o miejscowości, do której, Bóg wie na jak długo, mam się udać! I po kwadransie byłem obkuty jak przed egzaminem w szkole.

— Dlaczego pan wybrałeś akurat to miejsce? — dopytywali się ci, co poszli za mym przykładem. — Co tam jest? Można się będzie za coś załapać? Gdzie leży ta cała Machaczkała?

— Nie wiecie? To słynny port nad Morzem Kaspijskim, zatrzęsienie ryb, wytwórnie win. Bogate złoża ropy naftowej, a gdzie nafta, tam dobrobyt. To stolica Dagestańskiej Autonomicznej Republiki Rad! — popisałem się z nie ukrywaną dumą.

— Pan wybrałeś, pan wiesz najlepiej — orzekli moi przyszli towarzysze podróży. Było ich ośmiu, dziewięciu. Żałowałem, że Krawiec z nami nie pojedzie, dałbym mu szkołę.

Zgłosiliśmy się z pokwitowaniami do magazynu. Każdemu wydano wszystko, co oddał do depozytu. Odzyskałem moją kieszonkową „Cymę" ze srebrnym łańcuszkiem i dewizką, kilkaset rubli, z których bezceremonialnie ogołociłem kolegów w koszarach na Piotra i Pawła, złotą obrączkę. Ale gdy pokazałem karteluszek z pokwitowaniem przyjęcia mojego ubrania z pepity, które wręczyłem przybyłej do obozu ciężarówką ekipie, magazynier zasępił się.

— Ty też? Już tu było kilku. To jakaś afera, powiadomię komendanta.

Komendant o niczym nie wiedział. Zrozumieliśmy, że tamte rzeczy przepadły. To był bandycki najazd rabunkowy. Może członkowie tej ekipy działali w zmowie ze strażnikami, bo inaczej jak by się dostali do strzeżonego obozu?

Za bramą bez straży!

Niektórzy spośród nas zachowali swoje cywilne ubrania, koszule. Przebrali się, a ja, niestety, zostałem w tym, co miałem na sobie — w drelichowych spodniach, takiejż bluzie i trzewikach na podeszwie z opony samochodowej. W podobnych, choć nie było wówczas samochodów, wędrowali Żydzi z Egiptu.

Wymarsz wyznaczono na następny dzień. Któż zdoła opisać nasze uczucia, gdy po raz pierwszy przekraczaliśmy wrota obozu bez straży? Maszerowaliśmy zwartym szykiem jak uskrzydleni, toboły na plecach nie ciążyły.

Stacja kolejowa znajdowała się w odległości kilku kilometrów. Feichenfeld, nadal uważaliśmy go za swego przywódcę, zarządził krótki popas na polanie koło lasu.

I kiedy leżeliśmy pokotem na ziemi, gorączkowo rozprawiając o swoich dalszych planach, nagle ktoś zawołał:

— Patrzcie, kto idzie!

Polną dróżką szło dwóch wyelegantowanych facetów ubranych jak z igły, w pięknie skrojonych marynarkach, koszulach, pod krawatami, w wysokich błyszczących butach z wpuszczonymi do nich spodniami golfé.

— Szlama! Kuba!

Przypadli do nas ściskając wszystkich po kolei.

— Co się z wami działo? A myśmy was opłakiwali!

Obaj po niefortunnej ucieczce trafili do więzienia. A że jeden był dobrym krawcem, a drugi nie mniej wykwalifikowanym mistrzem kopyta, zatrudniono ich przy szyciu odzieży i obuwia dla naczalstwa.

— Ptasiego mleka nam nie brakowało. Żarcia ot tak! — Kuba sięgnął palcem pod nos. — Dostawaliśmy pieniądze, trochę się kupiło, trochę zaoszczędziło, no i sami widzicie — okręcił się dumnie na pięcie.

Na skraju lasu, na kępie mchu, wypoczywał, wyciągnięty jak długi, nasz podrabinek. Przypomniał mi się inżynier z obozowego szpitalika.

— Mam fraszkę o panu. Żyd odpoczywający jak pan na leśnym runie to „Amchu na mchu".

Na pociąg do Iwanowa, gdzie mieliśmy się poprzesiadać na pociągi zdążające w wybranych przez nas kierunkach, czekaliśmy kilka godzin. Podróż odbyliśmy w komforcie, w osobowych przedziałach, rozpierając się wygodnie na ławkach. W jakże innych warunkach i w jakże innych nastrojach jechaliśmy w tę stronę! Za oknami roztaczał się dawno nie widziany krajobraz: uprawne pola, zagrody wiejskie, pasące się krowy, kury, i ludzie, ludzie, tacy sami jak my — wolni!

Czas jazdy skracaliśmy snuciem planów na najbliższą przyszłość, opowiadaniem dowcipów, piosenkami. Na ogólne żądanie niezrównany Chaim zaśpiewał jeszcze raz smętną balladę o Kasi i Jasiu, co miał tylko jedno pole, a ja uczyłem mych towarzyszy piosenek, które przyswoiłem sobie u Melmanów, słuchając wokalnych popisów komandira z Kijowa.

Kompania podchwytywała ostatnie wersy, przedział tętnił gwarem i śmiechem. I aniśmy się obejrzeli, jak pociąg wysadził nas w Iwanowie, dawnym Iwanowo-Wozniesiensku, słynnym z przemysłu włókienniczego. Przenocowaliśmy w ewakopunkcie, a rano udaliśmy się całą grupą na śniadanie do fabryki-kuchni.

Ulicami defilowały oddziały krasnoarmiejców. Śpiewali znajomą piosenkę, ale ze zmienionymi słowami:

Jesli zawtra wojna, pieli jeszczo wczera,
a siewodnia wojna nastupiła....

Fabryka-kuchnia, gigantyczna stołówka obliczona na kilkuset konsumentów, serwowała kaszę jaglaną okraszoną roślinnym tłuszczem. Zamówiłem bodaj jedenaście porcji, inni podobnie. Miski ustawiliśmy w szeregu na stole i ku zdumieniu obecnych opróżniliśmy je, zagryzając zafasowanym w obozie chlebem. Szybko zorientowano się jacy to goście zwalili się do stołówki. Kilka kobiet podeszło do najbliżej siedzących, jedna rozdzieliła pomidory, inna opróżniła swą ceratową torbę z owoców i ogórków.

Nadszedł moment rozstania. Wymieniliśmy swoje domowe adresy w Polsce, jak się wojna skończy, koniecznie musimy się spotkać, powspominać przeżyte wspólnie dni.

Pociąg do Machaczkały odchodził pierwszy. Sporo naszych jechało w tym kierunku, po drodze czekały ich przesiadki. Ja i moja grupa podopiecznych zajęliśmy cały przedział. Współtowarzysze wyprawy prześcigali się w świadczeniu mi różnych przysług — widzieli we mnie swego przyszłego przywódcę.

Machaczkała przywitała nas niebywałym gwarem. Perony, poczekalnie dworca kłębiły się od tłumów. Pociąg za pociągiem wysadzał uciekinierów z terenów zagrożonych najazdem Niemców. Dyżurujący pracownicy ewakopunktu skierowali nas do tymczasowego miejsca pobytu.

— Dostaniecie noclegi, a tych co zechcą tu pozostać zatrudnimy w rejonie. Dla nikogo nie braknie roboty!

Ano zobaczymy. Najpierw musimy odpocząć, podjeść, dopiero potem rozejrzymy się w sytuacji.

Baraki ewakopunktu okazały się komfortem w porównaniu z obozowymi. Niezbyt duże pokoje, wygodne sienniki, poduszki, szafki na rzeczy osobiste, umywalki z bieżącą wodą, ubikacje na korytarzu.

Rano odbyliśmy krótką naradę. W Machaczkale nas nie zameldują (miasto wojewódzkie), zanim jednak przeniesiemy się do rejonu, warto na miejscu trochę podreperować kieszenie Ktoś doradził: Rybnyj zawod, wytwórnia konserw rybnych. Pojechaliśmy tramwajem wykupując bilety, jak przystało na poriadocznych obywateli, bo do Iwanowa odbyliśmy drogę na gapę.

Dyrektor wytwórni, do którego dotarliśmy dzięki moim perswazjom, że grupa polskich graždan, amnestirowanych na osnowanii itd. ma do niego bardzo pilny interes, wysłuchał nas życzliwie i powiedział:

— Nie dacie rady zarobić tu na życie. Praca trudna, wymagająca znajomości fachu. Pokaleczycie sobie ręce, rany do których dostaje się jad rybi goją się ciężko. Radzę wam z całego serca — poszukajcie czegoś innego...

Wizyta w fabryce włókienniczej również zakończyła się fiaskiem. Owszem, poszukują robotników — specjalistów, tkaczy, przędzalników, snowaczy, farbiarzy, a nikt z nas nie miał pojęcia o tych zawodach.

— Mam pomysł — powiedziałem na widok zawiedzionych min moich podopiecznych. — Widzieliście te tłumy przyjezdnych na dworcu? Będzie przybywać coraz więcej ludzi, każdy wiezie ciężkie walizy, nie jak my. Pomożemy im w przenoszeniu bagaży. Zostaniemy nosiłszczikami!

— A czy tutejsi tragarze nas nie przegonią? — wyraził obawę Popieł, ten sam, co deklamował wierszyk o mieścinie, w której mieszka „tysiąc Żydków na sto goji".

— Nic się pan nie bój. Nie widziałem ani jednego zawodowego tragarza na dworcu. Co zdrowszych wzięto do wojska, a jeśli nawet jeden, czy dwóch się zjawi, będzie to kropla wody w morzu potrzeb. Idziemy!

Pomysł okazał się trafny. Podróżni ustawiali się do nas w kolejce.

— Nosiłszczik! Nosiłszczik! — wołano ze wszystkich stron, a my chętnie świadczyliśmy usługi przenosząc bagaże do ewakopunktu, bo o znalezieniu wolnego miejsca w hotelu, nawet za bajońskie sumy, nie było co marzyć. Poza pieniędzmi wpychano nam do ręki kiełbasy, pieczywo, masło śmietankowe, owoce, czekoladę. Każdy już dysponował sporą gotówką, pieniądze chowaliśmy za koszulę w obawie zetknięcia się z karmanszczikami, masowo grasującymi złodziejami kieszonkowymi.

Tak więc do pokaźnej listy wykonywanych przeze mnie zawodów, życie dopisało mi jeszcze jeden: nosiłszczik. A propos...

Na dworzec wjechał przepełniony pociąg W oknie wagonu stanął zażyły obywatel.

— Nosiłszczik! Nosiłszczik! — zawołał.

Podszedł tragarz.

— Pobolsze, pobolsze!

„Ten to dopiero musi mieć bagaż" — pomyśleli tragarze i jeden za drugim zmierzali do pociągu.

— Wsie! Wsie nosiłszcziki ka mnie!

A gdy przy wagonie skupiło się dwudziestu kilku tragarzy, graždanin z okna zawołał, wznosząc rękę w powitalnym geście:

— Płamiennyj priwiet od wsiech nosiłszczików iz Taganroga!

(Gorące pozdrowienia od wszystkich tragarzy z Taganrogu!).

Nam na szczęście trafiali się lepsi klienci.

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wziali" z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień:

„Indżibio, aka!"